

HISTORIE PRAWDZIWE

# OPOWIEM CI O ZBRODNI

CRIME+  
INVESTIGATION  
POLSAT

# 2

IGOR  
**BREJDYGANT**

WOJCIECH  
**CHMIELARZ**

MAX  
**CZORNYJ**

MARTA  
**GUZOWSKA**

MALGORZATA I MICHAŁ  
**KUŹMIŃSCY**

JOANNA  
**OPIAT - BOJARSKA**

KATARZYNA  
**PUZYŃSKA**

ze wstępem  
**MICHAŁA FAJBUSIEWICZA**

HISTORIE PRAWDZIWE

# OPOWIEM CI O ZBRODNI

# 2

IGOR  
BREJDYGANT

WOJCIECH  
CHMIELARZ

MAX  
CZORNYJ

MARTA  
GUZOWSKA

MALGORZATA I MICHAŁ  
KUZMINSCY

JOANNA  
OPIAT - BOJARSKA

KATARZYNA  
PUZYŃSKA

ze wstępem  
MICHAŁA FAJBUSIEWICZA

 KOMPANIA  
MEDIOWA

Redakcja i korekta: ANNA KĘDZIOREK

Projekt okładki: ANDRZEJ WĄSIK [www.andu.pl](http://www.andu.pl)

Na okładce wykorzystano kadry z programu „OPOWIEM CI O ZBRODNI”

Fotografie:

Telewizja CI Polsat/Arkadiusz Bąba (s. 13, 57, 93, 97, 143, 183, 235, 239, 283, 287, 327); Justyna Bąba (s. 17, 53, 147, 179).

Pozostałe zdjęcia: ADAM WOŁOSZ

Produkcja: LESZEK MARCINKOWSKI

Projekt wnętrza, skład i łamanie: TYPO 2 JOLANTA UGOROWSKA

Książka przygotowana we współpracy z Firmą wydawniczą SEZAMM Małgorzata Maruszkin  
[www.sezamm.pl](http://www.sezamm.pl)

Copyright © Kompania Mediowa sp. z o.o., 2019

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-954305-1-0

Wszystkie prawa zastrzeżone/All rights reserved

Wydawca:

Kompania Mediowa sp. z o.o.

ul. Macedońska 74

tel.691962519

02-761 Warszawa, Polska

[www.kompaniamediowa.pl](http://www.kompaniamediowa.pl)

[www.kmbooks.pl](http://www.kmbooks.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Wstęp. Michał Fajbusiewicz

Może. Igor Brejdygant

Łowca. Wojciech Chmielarz

Gdy pisana nam śmierć. Max Czornyj

Game over. Marta Guzowska

Szczególne potępienie. Małgorzata i Michał Kuźmińscy

Linia obrony. Joanna Opiat-Bojarska

Nie ma sprawy. Katarzyna Puzyńska

Przypisy

*Dla tych, którzy chcą dowiedzieć się  
więcej o zbrodni*



# **WSTĘP**

**MICHAŁ  
FAJBUSIEWICZ**

Rok temu na półkach księgarskich ukazał się zbiór opowiadań *Opowiem ci o zbrodni*. We wstępie pisałem wtedy:

„Twórcy telewizyjnego programu **OPOWIEM CI O ZBRODNI** przedstawili elicie polskich pisarzy kryminalnych kilkadziesiąt spraw, które w swoim czasie wstrząsnęły Polską. Pisarze mogli z tego różnorodnego wachlarza dramatycznych zdarzeń wybrać temat, który ich najbardziej zainteresował. [...] Autorzy pokazują morderców i ich ofiary trochę inaczej niż zwykle, a przede wszystkim podejmują próbę odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Żadne z tych opowiadań nie jest podobne do pozostałych, każde ma odmienny styl narracji i prowadzi czytelnika do pointy różną drogą”.

Dziś otrzymujecie Państwo drugi tom **OPOWIEM CI O ZBRODNI**. Jak widać, nasz ubiegłoroczny pomysł czytelnicy przyjęli z entuzjazmem, a wydawca poszedł „za ciosem” i powstała kolejna publikacja. Przypomnę tylko, że w poprzedniej książce nowatorsko spojrzeli na zbrodnię i w niecodzienny sposób o niej opowiedzieli: Katarzyna Bonda, Igor Brejdygant, Wojciech Chmielarz, Marta Guzowska, Małgorzata i Michał Kuźmiński oraz Katarzyna Puzyńska. Pamiętajmy, że napisanie opowiadań do książki *Opowiem ci o zbrodni* nie było dla nich jedynym wyzwaniem. Musieli też wkroczyć na teren dużo mniej im znany – do telewizji. Gdy dzięki niezwykłemu pomysłowi dziennikarzy z kanału telewizyjnego **CRIME+ INVESTIGATION POLSAT** powstał cykl programów zatytułowanych **OPOWIEM CI O ZBRODNI**, pisarze musieli wejść w nowe role: prowadzących-narratorów, a zarazem gospodarzy telewizyjnego studia. Ta próba powiodła się znakomicie – telewidzowie śledzili nowy cykl i jesienią rusza jego druga seria, osnuta wokół opowiadań składających się na książkę, którą właśnie oddajemy w Państwa ręce. Znajdziecie w niej utwory większości z autorów uczestniczących w części pierwszej, a do grona twórców dołączyli Joanna Opiat-Bojarska i Max Czornyj.

Książka *Opowiem Ci o zbrodni* to nie dziennikarskie czy też reporterskie relacje, lecz nowatorskie podejście do opisywanych zbrodni, które wydarzyły się naprawdę. Co zawiera zatem nowy zbiór „minikryminałów”?

**WOJCIECH CHMIELARZ** w telewizyjnej rozmowie wyznał mi, że zapewne nie



pisalby kryminałów, gdyby nie oglądał w młodości telewizyjnego programu „997”. Ten jeden z najbardziej poczytnych pisarzy (w czerwcu 2019 roku na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu otrzymał nagrodę czytelników w plebiscycie na najpopularniejszego autora kryminałów) jest też autorem scenariusza napisanego na podstawie *Żmijowiska* – siedmiodcinkowego serialu telewizyjnego, który startuje jesienią 2019 roku w Canal+. Chmielarz, podobnie jak rok wcześniej, wybrał do swoistej wiwisekcji zbrodnię, w której co prawda skazano zabójcę, ale do tej pory nie znaleziono zwłok. Młoda, dobrze wykształcona dziewczyna poznaje przez portal randkowy dwudziestoosmiolatek, który przedstawia się jako syn zamożnych biznesmenów, student Uniwersytetu Warszawskiego, mieszkający z ciężko chorą ciotką w apartamencie w Warszawie. W rzeczywistości przyszły morderca jest kiepskim kierowcą po rozwodzie i bez pieniędzy... Dziewczyna ślepo się w nim zakochuje i już po miesiącu planuje ślub. Czy mogło nie dojść do tej potwornej zbrodni? Na to pytanie próbuje odpowiedzieć Chmielarz.

**MARTA GUZOWSKA** – z wykształcenia archeolog – sześć lat temu porzuciła ten fascynujący zawód i z dużym powodzeniem pisze kryminały. Wybrała zbrodnię, której bohaterkami są dwie uczennice – przyjaciółki. Dziewczyny fascynuje śmierć. Jedna starannie planuje zabójstwo, druga staje się jego ofiarą. Wiktoria chciała zabić – Agata chciała umrzeć. GUZOWSKA sama jest matką nastolatków i stara się znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego nikt nie zauważył absurdalnych zainteresowań dziewczyn i nie zapobiegł katastrofie.

Duet pisarski na rynku literatury kryminalnej to rzadkość – a taki stanowią od lat wspaniale uzupełniający się w opisywaniu społeczno-ekonomicznego tła zbrodni **MAŁGORZATA** i **MICHAŁ KUŹMIŃSCY**. Antropologowie z wykształcenia (Michał uprawia też dziennikarstwo), wybrali głośną sprawę ze Śląska z 1999 roku. W jednym z bunkrów w okolicach Rudy Śląskiej grupka uczniów odprawia satanistyczną mszę. Ta jednak nie kończy się – jak poprzednie – erupcją emocji, seksem i alkoholem... To, co do tej pory wydawało się fikcją, staje się okrutną rzeczywistością. Na satanistycznym ołtarzu młodzi ludzie składają w ofierze dziewczynę

i chłopaka. Kuźmińscy starają się odpowiedzieć na pytanie, co doprowadziło do tej potwornej tragedii.

**KATARZYNA PUZYŃSKA** mimo młodego wieku ma już duże grono wiernych czytelników. Opisała historię z Warszawy, gdzie w latach 2006–2008 zamordowano księdza, biznesmena i jego córkę oraz zamożnego wielbiciela tańca towarzyskiego. Nigdy nie znaleziono ich ciał, ale śledczy z Komendy Stołecznej po latach wpadli na trop sprawcy, który w procesie poszlakowym został skazany na dożywocie. Co łączyło młodego mordercę z ofiarami i dlaczego zabijał? Na te pytania usiłuje odpowiedzieć wnikliwa Puzyńska.

Kolejna dwójka autorów to nowe nazwiska w cyklu **OPOWIEM CI O ZBRODNI**.

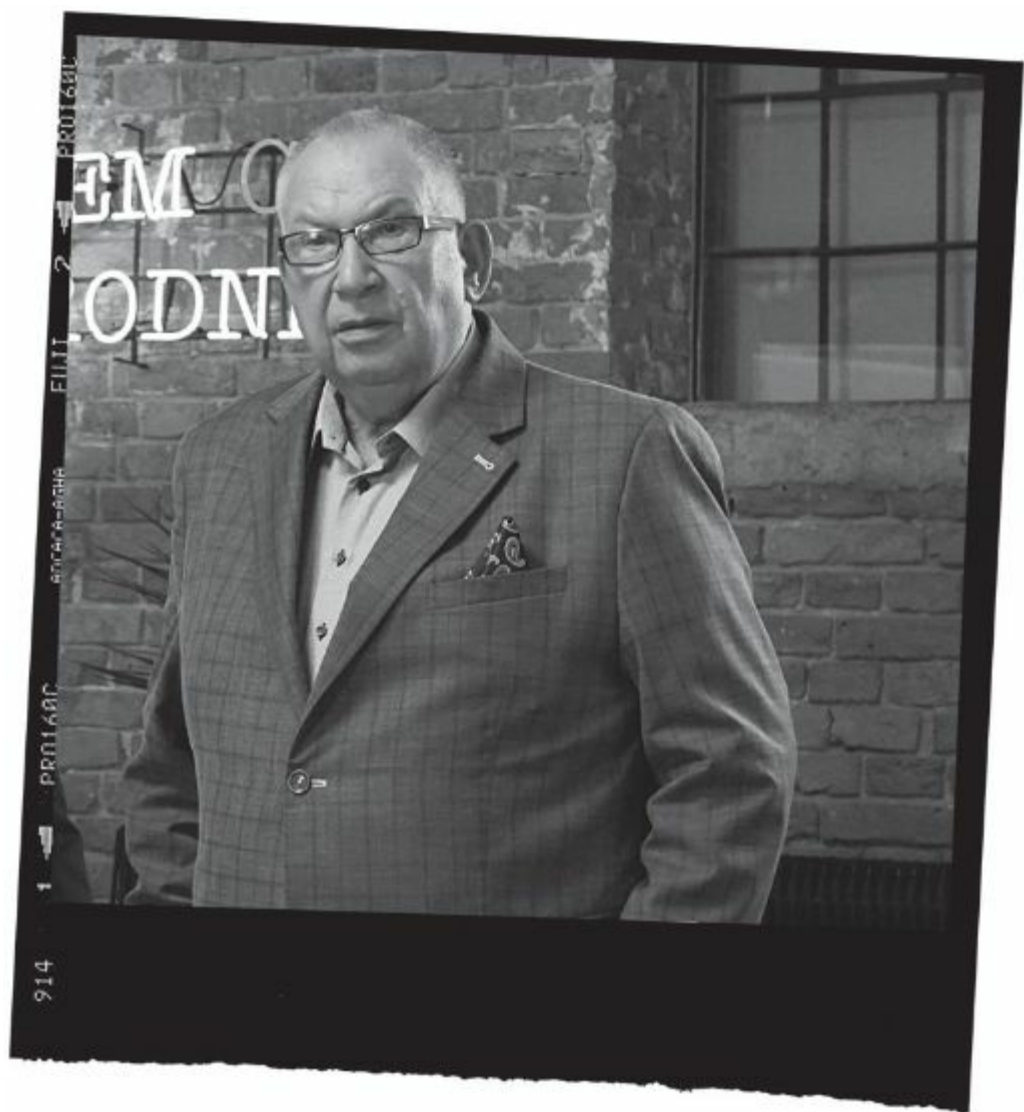
**MAX CZORNYJ**, trzydziestolatek z Lublina, przebojem wdarł się na rynek kryminalów, a jego książki mają milionowe nakłady. Z wykształcenia jest adwokatem, porzucił jednak kancelarię i poświęcił się pisaniu, co – jak twierdzi – daje mu więcej satysfakcji. Max wybrał do tego zbioru wstrząsający temat: w latach 1994–1997, w okolicach Hrubieszowa, młody mężczyzna brutalnie zamordował cztery kobiety. Czornyj plastycznie ukazuje seksualne tło tych zbrodni. Jest też wątek zoofilii – ale to już pozostawiam Państwu do przeczytania...

**JOANNA OPIAT-BOJARSKA**, ekonomistka z Poznania, została pisarką przez przypadek. Choroba przykuła ją do wózka inwalidzkiego, nie widziała dla siebie przyszłości. Kiedy wyzdrowiała, postanowiła napisać książkę o swych przeżyciach. I tak się zaczęła jej kariera, skupiona teraz wyłącznie wokół tematyki kryminalnej. Wybrała sprawę z pozoru banalną: dwie koleżanki, fajne, inteligentne dziewczyny, planują sylwestra w Barcelonie. Jednak chłopak jednej z nich nie chce się zgodzić na wyjazd ukochanej. Uknuł intrygę, która doprowadziła do zbrodni. W tym przypadku także nie znaleziono zwłok, ale zabójca został skazany na dożywocie. Jak do tego doszło?

Na koniec zostawiłem znawcę duszy kobiecej – jak piszą o nim krytycy (nagroda im. Janiny Paradowskiej na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu za znakomite prezentacje postaci kobiecych) – **IGORA BREJDYGANTA**. Igor wybrał sprawę szalenie zagadkową – sam autor do końca nie jest przekonany, czy mamy do czynienia z samobójstwem, czy ze zbrodnią (choć śledczy nie mają wątpliwości). Sprawa dotyczy młodego żeglarza z Trójmiasta, który podobno wybiera się w rejs do Nowej Zelandii...

Jeśli zainteresuje Państwa ten tom, proponuję skonfrontować zawarte w nim opowiadania z telewizyjnym programem o tym samym tytule, nadawanym w kanale **CRIME+INVESTIGATION POLSAT**. A jeśli chcą Państwo bliżej poznać autorów tych minikryminałów, to zapraszam do moich rozmów z nimi na tym samym kanale, w programie **FAJBUSIEWICZ – ROZMOWY O ZBRODNI**.

Michał Fajbusiewicz



914

1 PR0160C

ENCAR-AGHA

FUJI

PR0160C

EM O  
ODNI



**MOŽE**

**IGOR  
BREJDYGANT**

## IGOR BREJDYGANT

Urodzony w 1971 roku. Pisarz, scenarzysta, reżyser, fotograf. Autor scenariuszy do filmów fabularnych *Palimpsest* (reż. Konrad Niewolski), *Prosta historia o morderstwie* (reż. Arkadiusz Jakubik) oraz do seriali *Paradoks*, *Zbrodnia*, *Belle époque* i *Ultraviolet*. Studiował na wydziale produkcji w łódzkiej PWSFTiTV. Jako reżyser pracuje przy formach dokumentalnych – seria *Szaleńcy Pana Boga* dla Religia TV, cykl *Handlarze* dla TTV oraz fabularnych – serial *Paradoks* dla TVP2.

Napisał do tej pory trzy bardzo dobrze przyjęte przez czytelników i krytykę powieści kryminalne: *Paradoks* (2016) – na motywach scenariusza własnego autorstwa, *Szadź* (2017) oraz *Rysa* (2018). Kontynuacją *Rysy* jest thriller polityczny *Układ*, którego polska premiera odbyła się w czerwcu 2019 roku. Za powieść *Rysa* zdobył Nagrodę Specjalną im. Janiny Paradowskiej na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu w 2019 roku oraz nominację do Nagrody Wielkiego Kalibru 2019.



914

PR0160C

ASO742A-00000

F111

2

PR0160C



*Czas na mnie  
czas nagli  
(...)  
Co ze sobą zabrać  
na tamten brzeg  
(...)  
więc to już wszystko mam  
to jest całe życie?*

*Patrykowi<sup>□\*</sup>*

Morze było rzeczą, którą ukochał w życiu najbardziej. Właściwie morze nie było żadną rzeczą, było czymś znacznie więcej. Nie osobą, ale bytem jakimś większym od niego, od innych, od wszystkiego, co do tej pory poznał. Trochę jak ocean w powieści *Solaris* Lema, którą czytał kilka lat wcześniej. Miłość, myśli, emocje, szaleństwo, a jednocześnie spokój, błękit i mrok głębiny. Nadzieja i lęk. Wszystko to było w falach łagodnie rozbijających się o betonowy falochron pod jego stopami.

Siedział na murku pod schodami prowadzącymi z góry, od tarasu widokowego Oceanarium. Tylko tu nie było go widać, tylko tu on widział wszystko to, co chciał i nic poza tym. Fale zaczynały się tuż pod stopami, a kończyły – w nieskończoności. Chmury, gęste, szare, ale bardziej imponujące niż smutne, stykały się z powierzchnią wody w miejscu, w którym jedno stawało się drugim. Po prawej stronie widać było maszty jachtów kołyszących się w marinie. Lekko i bezdźwięcznie. Dalej światła miasta. Mimo że dwa dni temu zaczął się już czerwiec, wciąż było chłodno i pogoda bardziej przypominała koniec zimy niż początek lata. Było jedenaście, może dwanaście stopni. Tu, gdzie siedział, pewno było nawet chłodniej, bo wiało od morza. Plecami przywarł do betonu osłaniającego go od światła, z którym trudno było mu dojść do ładu. Tymczasem morze, które rozumiał i które rozumiało jego, dziś za wszelką cenę chciało go odepchnąć od siebie mrokiem chmur i chłodem wiatru.

Gdyby nie te chmury, które piętrzyły się z kilometr w górę, na zachodzie pewnie byłoby jeszcze teraz widać lunę kończącego się dnia – pomyślał. A może zresztą było widać, ale przecież zachód był za jego plecami, a on spoglądał na to, co przyniesie jutro, czyli wschód dnia, który nie miał się już dla niego wydarzyć.

Sporo było powodów, ale gdyby miał wymienić ten jeden, ten kluczowy, to co by to było? Może żaden nie był kluczowy? Jak w wypadkach lotniczych albo, jeszcze lepiej, w katastrofach na morzu, o których tyle czytał. Dopiero suma wielu czynników dawała ostateczny rezultat. Gdyby wystąpiły osobno – a nawet gdyby wystąpiły wszystkie oprócz choćby jednego – do wypadku by nie doszło i, co więcej, prawdopodobnie nikt nawet by sobie nie uświadamiał, jak niewiele dzieliło załogę od śmierci. A tak? A tak wszystkie klocki zaczęły się przewracać, trybiki zaskoczyły i zegar nieuchronności ruszył w ostatnią podróż, którą niechybnie musiało zakończyć zatrzymanie się wskazówek. Zegary zawsze w końcu stają – wszystko i wszyscy kiedyś się kończą, pomyślał, a chłód nocy liznął jego nagie stopy. Ile razy tu siedział? Przeważnie sam, ale przecież też z Nią. Myślał już o tym wcześniej, ale czy jest ktoś, kto w jego wieku o tym nie myśli? Inna sprawa, że chmury też nie pomagały. A na przykład takie Karaiby? Dlaczego wszyscy ludzie nie mieszkają na Karaibach? Po co tyle milionów, miliardów ludzi męczy się pod tymi chmurami, skoro są miejsca na świecie, w których chmur prawie nie znają? Zastanawiał się nad tym już tyle razy i nigdy nie udało mu się rozwiązać tej zagadki. Miejsca przecież by starczyło. Na świecie były rajskie oazy, w których prawie nikt nie mieszkał. Widział je nie raz i chciał tam wrócić. Może to był czynnik numer jeden? Zadał sobie pytanie, na które oczywiście nie miał szans odpowiedzieć. Bardzo wiele było takich pytań, chyba za wiele – i może to był czynnik numer dwa.

„Pomyśleć, że jeszcze cztery dni temu było tak ciepło, wyglądało nawet, że może długi weekend będzie udany. Chyba wszystko zrobiłem, jak należy. Maile skasowane, pieniądze mama na pewno zwróci. Może nie od razu, ale za jakiś czas. Ważne, żeby nikt nie myślał źle, żeby pamięć pozostała czysta i niezabrudzona, żeby nie było żalu, skoro już i tak będzie smutek”.

Ciekawa rzecz, że jeszcze przed chwilą, przed kilkoma godzinami myślał o Niej tak dużo – a teraz zniknęła. Z minuty na minutę przychodził coraz większy spokój. Może to fale? Rytmiczny, gładki dźwięk ich uderzeń, po

którym co jakiś czas do uszu dobiegał delikatny chłupot rozbryzgiwanej wody, a nozdrza smagała woń ryb i soli. Może to fale hipnotyzowały go teraz i usypiały czujność? Tę czujność, która, gdy nie śpi, jak brzytwa wyznacza bezwzględną granicę między życiem a śmiercią.

Przygotowania trwały oczywiście jakiś czas. Musiał wybrać miejsce, zgromadzić wszystkie niezbędne rzeczy, liny, płyty chodnikowe, dokładnie zaplanować czas. Dokładność w takich sytuacjach jest najważniejsza, a realizacja planu punkt po punkcie pozwala nawet chwilami zapomnieć o tym, czego plan dotyczy.

„Oni myślą, że tak właśnie było”, uśmiechnął się Patryk. Oni też w jakimś momencie powzięli plan. I od tamtej pory metodycznie układali go tak, żeby dotrzeć do jedynie słusznego końca. Ludzie tak mają, tak myślą, muszą w to wierzyć, bo sprawa musi mieć logiczne wytłumaczenie. Życie człowieka nie może się skończyć z przyczyn niewyjaśnionych. Nie ma takiej rubryki w prokuratorskich kodeksach postępowania. Muszą wiedzieć, więc ułożyli historię, która potoczyła się tak, jak zaczął wam właśnie opowiadać. Tak zaczął, bo to chcieliście usłyszeć.

Wszyscy, oprócz mamy.

No więc spróbujmy raz jeszcze, bo przecież mogło być zupełnie inaczej. Kłopoty zaczęły się już kilka miesięcy po rejsie luksusowym jachtem, na którym był prawie trzy lata wcześniej. Tyle że do tej pory wcale nie postrzegał tego jako kłopotów. Swoją drogą kto by pomyślał, że upłynęło już tyle czasu.

Przez pierwsze tygodnie rejsu właściwie nic się nie działo. Ocean spokojny, więc nie było nawet za dużo roboty, zresztą kapitana mieli bardzo doświadczonego i nawet gdyby zaistniały jakieś nieprzewidziane okoliczności przyrody, i tak nikt na pewno by nie ucierpiał. Szli po kursie i według planu, od wyspy do wyspy, czasem zatrzymywali się na chwilę dłużej w zatoczkach tak pięknych, jakby nie były z tego świata. Początkowo wszystko więc szło zgodnie z rozkładem. On robił to, co kochał najbardziej, czyli żeglował, do tego był w raj, a na koniec jeszcze mieli mu za to zapłacić, i to całkiem nie najgorzej. Początkowo było właśnie tak – a właściwie tak było prawie do samego końca. Dopiero trzy, a może dwa dni przed zakończeniem rejsu wszedł – trochę przez pomyłkę, a trochę może z ciekawości – do kajuty kapitana i zobaczył tam coś, co nie przydało

mu się do niczego, a co odmieniło jego życie. Przez to teraz właśnie siedział związany na pokładzie tej łodzi, a jakiś frajer, którego nigdy wcześniej nie widział i którego nie miał już na pewno zobaczyć nigdy później, zbliżał się do niego ze strzykawką zakończoną bardzo cienką igłą, którą za chwilę miał wbić w głąb jednego z jego otworów nosowych. Wtedy, tam – przypomniał sobie – na stoliku w kajucie leżało bardzo dużo torebek wypchanych czymś i szczelnie oklejonych grubą taśmą, która była biała – pewnie po to, żeby nie zepsuć harmonii kolorystycznej. Jedna z torebek była nacięta od boku, a na stoliku obok niej leżało sporo proszku w kolorze taśmy.

Może więc było tak, a może inaczej. Może o wszystkim zdecydował fakt, że kilka dni temu nie udało mu się dostać na rejs do Amsterdamu. Oczywiście nie były to Karaiby, ale on już tak bardzo tęsknił za morzem, że ucieszyłoby go nawet zlecenie przeprowadzenia łodzi z Gdyni do Świnoujścia. W sytuacji, gdy nie pływał już od tak bardzo dawna, Amsterdam jawił się jako niewyobrażalna przygoda.

Poza tym dopóki Ona była tutaj, wszystko wyglądało inaczej. Nie było wprawdzie studiów, relacje z kolegami też się ostatnio za bardzo nie kleiły, coraz więcej czasu spędzał przy komputerze, ale przynajmniej raz dziennie rozmawiał z Nią. A teraz nie było już ani Jej, ani nawet rejsu do Amsterdamu. Było to, co pewnie dojrzywało w nim od dawna – tyle że przecież to dojrzywa w bardzo wielu młodych ludziach, więc dlaczego akurat u niego miało wziąć górę? W każdym razie od czterech dni zaczął się już do tego szykować w sposób praktyczny, a kiedy ktoś taki jak on za coś się bierze, to doprowadza to do końca. Najbardziej nie lubił rzeczy zaczętych i nieskończonych – zresztą dlatego gdzieś z tyłu głowy męczyło go, że już dwa razy porzucił studia. Zmarnował czas i nic z tego nie wynikło, chaos narastał, a on najbardziej nie lubił chaosu. Dlatego teraz nie mógł dopuścić, by działania nie miały sensownego zwieńczenia. Teraz chaos nie mógł zatriumfować.

Dwa lata po nocy, w której mroku Patryk siedział na krawędzi betonowego falochronu, czekając na dogodny moment – albo na burcie łodzi dryfującej na środku Zatoki Gdańskiej, czekając na to, aż tamci wybiorą dogodny moment – prokurator wpatrywał się w zgromadzone akta i po raz nie wiedzieć który próbował nadać kształt i sens rysującemu się przed nim

chaosowi. Chwilę wcześniej dotarła do niego ekspertyza psychologiczna dotycząca nieżyjącego chłopaka, którą przygotował dla nich współpracujący z policją psycholog. Ekspertyza pozwoliła mu wreszcie odetchnąć, bo z profilu osobowościowego Patryka jasno wynikało, że mógł mieć skłonności samobójcze. Wreszcie to, co wszystkim już wcześniej chodziło po głowach jako hipotetycznie najbardziej możliwe, zdawało się potwierdzać. W całej sprawie niepokoił go właściwie tylko jeden szczegół, który zresztą nie przestał go niepokoić tak naprawdę już nigdy. Dlaczego na nadgarstkach i kostkach chłopaka patomorfolog nie znalazł żadnych śladów otarć? Przecież bez względu na to, czy Patryk został przez kogoś wrzucony do wody, czy związał się sam i sam przywiązał sobie do pasa dwudziestotrzykilowe kawały chodnikowych płyt, to kiedy już znalazł się pod wodą, kiedy zaczęło mu brakować powietrza, powinien podjąć walkę, a ta powinna zaowocować otarciami na nadgarstkach i kostkach od pętających go okrętowych lin. Dlaczego nie było otarć? Czy dlatego, że gdy chłopak znalazł się w wodzie, to wprawdzie oddychał, ale nie miał możliwości ruchu, bo jego układ mięśniowy był sparaliżowany, na przykład pavulonem? Prokurator, myśląc o tym wszystkim i tworząc najbardziej – o czym był przekonany – prawdopodobną hipotezę samobójstwa, wiedział przecież jednocześnie doskonale, że metabolity rozkładającego się w organizmie pavulonem nie mogły zostać wykryte w badanych przez patomorfologa zwłokach. Po takim czasie owe metabolity były bowiem tożsame z metabolitami innych procesów biochemicznych zachodzących w martwym już od dawna ciele chłopaka. Tak więc, choć Patryk utonął, to może, wpadając do wody, był nieprzytomny, albo, co gorsza, był przytomny, ale nie miał żadnej możliwości ruchu.



Może więc po tym, gdy w kajucie na żaglowcu Patryk zobaczył to, czego nie powinien, najpierw zwolnili go z rejsu, później jednak, jakiś czas po powrocie do Polski, świadomi ryzyka, które stanowiła dla nich jego zupełnie niepotrzebna wiedza, zaprosili go do swoistej gry? Może najpierw pojawiły się maile? Miał ich w swojej skrzynce całą kolekcję. To dlatego, zanim tamtego wieczora wyruszył na spotkanie z nimi, wykasował wszystko. Taki był honorowy warunek, a on dotrzymywał honorowych warunków, a poza tym oni wydawali się tak bardzo wszechwiedzący, że miał pewne obawy, iż jeśli nie dopełni owych warunków, to po prostu znikną wraz ze swoją ofertą – a tego bardzo nie chciał, bo była nader nęcąca. Mieli wypłynąć z portu w Hamburgu w rejs jego życia: do Nowej Zelandii. Przy czym tym razem miał mieć na łodzi uprawnienia kapitańskie, a dodatkowym celem podróży

– oprócz oczywiście tego, by jak zwykle bardzo zamożni ludzie, których bliżej nie znał, mogli sobie pobycć jakiś czas w bardzo luksusowych warunkach – miał być udział w wyprawie quasi naukowej do siedlisk ginących wielorybów. Wieloryby i ginący świat zwierząt – szczególnie tych, których naturalnym środowiskiem były jego ukochane oceany – leżały mu na sercu jak prawie nic innego. Leżały, bo Patryk ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej nie lubił śmierci.

Może byłoby inaczej, gdyby nie odszedł ukochany dziadek? Prokurator siedział nad papierami i zastanawiał się, czy przypadkiem nie to właśnie uruchomiło lawinę zdarzeń, które doprowadziły Patryka do samobójstwa. Patrzył po raz kolejny na zdjęcia ciała świeżo wydobytego z wody. Fotograf zrobił je może kwadrans po tym, gdy łódź należąca do gdańskiej policji wodnej po dwóch godzinach walki z falami w końcu dobiła do brzegu. Czternastego lipca, w godzinach popołudniowych, sternik jachtu turystycznego przepływającego w odległości mniej więcej dwóch mil morskich od linii brzegowej na niespokojnych tego dnia wodach zatoki dostrzegł dryfujący przedmiot sporych rozmiarów. Zatrzymał silniki, by bliżej mu się przyjrzeć. Chwilę później przedmiot nabrał wyraźnych kształtów ludzkiego ciała. Policjanci dopłynęli szybko, ale powrót nie był już tak prosty. Podjęte z wody do aluminiowego kosza wyłożonego plastikową siatką ciało wydawało się cięższe niż być powinno. Fala była wysoka, a wiatr cały czas się wzmacniał. Policjanci przytroczyli kosz do burty i rozpoczęli żmudną drogę do brzegu. Jeden z nich mniej więcej w połowie dystansu pomyślał, że chyba nieżyjący od Bóg wie jak dawna właściciel tej cielesnej powłoki bardzo nie chce, żeby wydobyć go z morza. Gdy po dwóch godzinach walki z żywiołem dobili w końcu do brzegu, przyczyna trudności transportowych okazała się jednak znacznie bardziej prozaiczna, choć równocześnie bardziej przerażająca. Przy próbie podjęcia ciała na ląd okazało się, że do nóg mężczyzny przyczepione były za pomocą liny dwie betonowe płyty, a konkretnie jedna płyta przełamana na pół. Oprócz fotografa na brzegu obecni byli: kryminalistyk, patomorfolog, pani prokurator, która teraz od jakiegoś już czasu nie prowadziła tej sprawy, kilku policjantów z wydziału śledczo-dochodzeniowego i gapie – bo gapie są zawsze i wszędzie, choćby nie wiadomo jak wiało i choćby rzecz działa się na samym końcu betonowego nabrzeża, tak jak w tym wypadku.

Do tego jeszcze ta rozbieżność – pomyślał prokurator. Na miejscu wyłowienia zwłok biegły określił szacunkowo, że ciało przebywało w wodzie około trzech tygodni. Potem, gdy wiadomo już było, którego dnia Patryk wyszedł z domu, w czasie badania *postmortem* w prosektorium patomorfolog stwierdził, że zwłoki znalazły się w wodzie mniej więcej sześć tygodni wcześniej. Dość zasadnicza różnica. Czy ten pierwszy mógł się aż tak pomylić? Prokurator znów zerknął na fotografie. Owszem, ciało było mocno napuchnięte. Gazy wypełniły zwłoki na tyle, że szczupły chłopiec ze zdjęcia, które dostali od mamy, nie był już szczupły. To właśnie gazy wypchnęły ciało na powierzchnię, mimo że obciążało je dodatkowe dwadzieścia trzy kilo betonu. No więc, wracając do sprawy, ciało było wprawdzie napuchnięte, ale choć prokurator za bardzo się na tym nie znał, to na jego wycucie nie wyglądało, jakby przeleżało pod powierzchnią wody sześć tygodni. Czterdzieści pięć dni w słonej wzburzonej wodzie, a powłoki ciała były nietknięte? Ale najgorzej było z węzłami – czy też z liną, którą ktoś przeciął nie wiadomo po co od razu na brzegu. Później, kiedy robili eksperyment procesowy, który miał odpowiedzieć na pytanie, czy chłopak mógł związać się sam, ta sprawa wracała dwukrotnie. Jak można dokonać rzetelnego eksperymentu procesowego, próbując odpowiedzieć na pytanie, czy ktoś mógł sam się związać, kiedy nie do końca wiadomo, jak był związany? Kto i po cholere to przeciął?! Prokurator wściekł się po raz nie wiadomo który. Jak w takich okolicznościach ustalić, czy chłopak mógł sam związać sobie ręce i nogi i przywiązać do nóg płytę chodnikową, którą wziął z pobliskiej budowy? Swoją drogą, czy ktoś sprawdził kiedykolwiek, czy na tej budowie były takie właśnie płyty? Pytania rodziły pytania. Na część z nich odpowiedzi były pewne, na wiele innych wybrali, jak się zdaje, te, które akurat najbardziej im odpowiadały. Tak było na przykład z ekspertyzą hydrograficzną, którą przygotowała Marynarka Wojenna. Zwłoki mogły zdryfować spod gdyńskiego nabrzeża, ale równie dobrze mogły trafić tam, gdzie je znaleziono, z dowolnego innego miejsca w Zatoce Gdańskiej. Wybrali pierwszą opcję, bo cały obraz układał się w mozaikę przedstawiającą Patryka przytulonego do betonowego nabrzeża na tyłach Oceanarium tamtej chłodnej nocy z drugiego na trzeciego czerwca 2010 roku. Ktoś zasugerował nawet, że być może chłopak w ten sposób postanowił uczcić swoje urodziny. Niestety, ludzie czasem mówią to, co myślą, zanim uświadomią sobie, że mogą w ten sposób kogoś boleśnie



dotknąć.

Prokurator pokręcił głową zniesmaczony.

Ale przecież Patryk rzeczywiście miał urodziny i być może wiedzieli o tym również ci, którzy umówili się z nim tamtej nocy w okolicach gdyńskiego dworca. Maile. Myślą, że skasował je, bo tak robią ludzie, którzy chcą odejść z tego świata. A skąd to wiedzą? Tamci kontaktowali się z nim prawie wyłącznie przez mail. Miał zniknąć na długo, może nawet na zawsze, o czym zresztą mówił Jej, kiedy jeszcze spotykali się bardzo często. Żeby jednak zniknąć naprawdę, trzeba było zatrzeć ślady. Powiedzieli, żeby wyrzucił całą korespondencję, którą z nimi prowadził. Jemu nie chciało się przetrząsać całej skrzynki odbiorczej, więc wyrzucił po prostu wszystko z ostatnich trzech lat, bo skontaktowali się z nim po raz pierwszy zaraz po powrocie z tamtego rejsu. Tylko czemu właściwie chciał zniknąć na zawsze, a w każdym razie na bardzo długo? Głupio mu było nawet o tym myśleć, ale chodziło głównie o to, że chciał wreszcie być sam i sam za siebie odpowiadać. Niezależność, wolność, samostanowienie. Może własne pieniądze? Na pewno własny świat. Oczywiście za miesiąc albo dwa odezwałby się do mamy. Wcześniej zdarzało się już, że, będąc na rejsach, nie odzywał się po kilka tygodni i jakoś to przeżywała. Tęskniła na pewno, ale trochę już ją do tego przyzwyczaił.



Spośród wszystkich elementów układanki do hipotezy o samobójstwie najbardziej przekonywały prokuratora dwa. Po pierwsze, Patryk wziął na rejs mało rzeczy, a przede wszystkim nie wziął ze sobą swojego ukochanego aparatu. Po drugie, kiedy go wyciągnięto z wody, nóż, który zawsze nosił przytroczone do paska z boku na biodrze, był przesunięty na plecy. Tak,

z tym nożem rzeczywiście było coś dziwnego. Gdyby go wrzucili do wody, to mogli mu go po prostu zabrać. Po co przesuwaliby go na plecy? Co innego on. Przywiązany do swojego ukochanego noża, chciał go zabrać w podróż na tamtą stronę, ale obawiał się, że pod wodą zmieni zdanie i sięgnie po niego, żeby się wyswobodzić. Może dlatego wołał uniemożliwić sobie dostęp do niego? Nóż na plecach był poważnym argumentem. Tylko czy rzeczywiście można wszystko oprzeć na jednym elemencie? A aparat? Czemu go właściwie nie wziął?

Może więc w ostatnim mailu napisali, żeby zabrał ze sobą jak najmniej rzeczy? To też nie zdziwiło go przesadnie, bo miał świadomość, że do Hamburga nie będzie podróżował sam, a na jachcie i tak dostanie kilka kompletów ubrań, które będzie nosił na zmianę przez następne miesiące. Potem tam, w nowym świecie, kiedy zejdzie w końcu z pokładu – może w Auckland, a może w Wellington – otrzyma wynagrodzenie, za które będzie sobie mógł nakupić rzeczy do oporu. Poza tym nie miał na razie pojęcia, co będzie mu się wtedy podobało, jak chodzą ubrani tamtejsi ludzie i w ogóle przecież wszystko miało i tak być już zupełnie inaczej. Nie przepadał za swoją garderobą – generalnie mało za czym przepadał w ostatnim okresie. Psycholog policyjny rozpoznał to zresztą bardzo trafnie. Tyle że kiedy ktoś za czymś w sobie i wokół siebie nie przepada, może wprawdzie się zabić, ale równie dobrze może to po prostu zmienić.

Może gdyby wzięli się za monitoringi wcześniej, na przykład wtedy, kiedy mama zgłosiła jego zaginięcie po trzech tygodniach od wyjścia z domu, może wtedy znaleźliby coś więcej, ale tak... Wszystko było hipotezą. Prokurator formułował ją z mozołem. Robił to, bo wymagali tego przełożeni. Sprawa była głośna, medialna, opinia publiczna domagała się odpowiedzi, której zresztą udzieliła już raz jego poprzedniczka, ale wtedy błędów było za wiele i teraz on musiał udzielić jej ponownie. Tym razem ostatecznie. Prokurator czuł brzemień odpowiedzialności przed przełożonymi, ale jeszcze bardziej przed własnym odbiciem w lustrze. Jak można powiedzieć, że coś wie się ostatecznie, kiedy wcale ostatecznie się tego nie wie? Jego przełożona powtarzała jak mantrę, że prawda musi wynikać z całościowego oglądu sprawy. Innymi słowy, mozaika elementów powinna dać pełen obraz. Co jednak, jeśli każdy z elementów zinterpretuje się inaczej? Ludzki umysł, a szczególnie umysł pogrążonej w rozpacz

matki, ma do tego prawo i na pewno z niego skorzysta. Co więc się stanie, jeśli każdy element zrozumie się inaczej? Wtedy całościowy obraz mozaiki zmieni się nie do poznania.

Zabił się czy go zabili?

Patryk zastanawiał się tymczasem, czy u fryzjera był dzień czy może dwa dni przed wyjazdem? Pamiętał, że długo się wahał, czy zostawić w salonie fryzjerskim swoje rozjaśnione słońcem – choć ostatnio nieco już znów pociemniałe – włosy. Powiedzą, że ściał je, bo tak robi wielu samobójców. Pewnie tak, ale też wielu tak nie robi, a za to wielu ludzi, którzy wyjeżdżają gdzieś daleko, którzy przez kolejne kilka miesięcy mają być na wodzie bez możliwości wizyty u fryzjera, też tak robi. Może więc ściał je z tej, a może z innej przyczyny. W każdym razie teraz, stojąc na deptaku przed gdyńskim Oceanarium, nie mógł sobie przypomnieć, czy było to wczoraj czy może przedwczoraj. Niepokoiło go to trochę, bo świadczyło o tym, że jednak był dość mocno zdenerwowany. Z jednej strony miał przecież świadomość, że wszystko, co działo się przez ostatnie miesiące, owe wymiany trochę dziwnych maili, w których proponowano mu rejs w zamian za... – nie do końca nawet wiedział co – w których obiecywano mu przyszłość w nowym miejscu, z nowym początkiem – wszystko to było dziwne, a może nawet niepokojąco niedorzeczne. Z drugiej strony strasznie chciał już znów pływać, a może nawet bardziej chciał odpłynąć stąd na zawsze lub w każdym razie na bardzo długo. Cel podróży był tak naprawdę mało ważny, choć przewijająca się w ustaleniach jako miejsce docelowe Nowa Zelandia ze wszech miar mu pasowała. Chciał odpłynąć, bo czuł, że, będąc tu, w jakimś sensie coraz bardziej zakleszcza się sam w sobie. Wydawało mu się, że utknął w miejscu, jak statek, który zahaczył o coś kotwicą i, nie mogąc uwolnić się i popłynąć w dalszy rejs, tkwił na płytkiej redzie przy porcie, który tak bardzo już mu się opatrzył. Może gdyby Ona jeszcze tu była, ale Jej właśnie udało się uwolnić z cum i odpłynąć w rejs ku dalszemu życiu. Wyjechała i on tym bardziej czuł się tu nie na miejscu. Wiedział od kilku miesięcy, że Ona wyjedzie i dlatego między innymi wdał się w ten dziwny układ, który, gdy tylko przychodził moment otrzeźwienia, wydawał mu się rzeczywiście mocno nierealny. Kim byli ci ludzie? Nawet tego nie wiedział. W jednym z pierwszych maili mężczyzna, z którym później

korespondował, powołał się wprawdzie na ich wcześniejszą znajomość z jednego z rejsów, ale przecież Patryk doskonale wiedział, że to akurat nie była żadna rękojmia. Mogli mieć szczerze zamiary, a mogli ich nie mieć. Pewnie w innej sytuacji w ogóle by tego nawet nie sprawdzał, ale chciał uciec, głównie od siebie, i dlatego poszedł na całość.

Chłód jeszcze się wzmaczał. W połączeniu z wilgocią ciągnącą od morza stał się wręcz przenikliwy. Patryk siedział i wpatrywał się w fale. Decyzja była podjęta. Teraz pozostawało czekać na to, co przyniesie przyszłość. Najbliższa przyszłość. W Nowej Zelandii przynajmniej chyba nigdy nie bywa tak zimno, pomyślał, a nawet jeśli zdarzają się chłodniejsze dni, to chmury nie wiszą wtedy tak nisko, nie przygniatają człowieka do ziemi z taką siłą. Nie ma się wrażenia, że aby się spod nich wydostać, trzeba by pisać się ku górze przez kilometr, a może nawet dłużej. Po czym się zresztą pisać? Może po drabinie Jakubowej? Chłopak zaśmiał się nagle z własnych myśli. Może gdyby tak jak morze umiłował sobie latanie, byłoby mu w życiu łatwiej? Gdyby został pilotem zamiast żeglarzem, to przynajmniej raz dziennie – a czasem nawet kilka – wznosiłby się ponad ten szary znój i leciałby do innych światów, gdzie woda była cieplejsza, a powietrze błękitne. Może i tak by było, ale on kochał żeglarstwo i teraz czekał na moment, w którym znów wyruszy w podróż po morzu.

O jego ewentualnym wyjeździe do Nowej Zelandii wiedziała mama, bo mówił o nim parokrotnie, i wiedziała też Ona, bo wspomniał o tym raz mimochodem w jednej z ostatnich rozmów, jakie odbyli.

Koledzy i koleżanki, śledczy i poprzedni prokuratorzy sprawdzali już wcześniej, a teraz on, prokurator kończący sprawę, sprawdził raz jeszcze, że z żadnego z okolicznych portów nic w owym okresie nie wypływało ani do Nowej Zelandii, ani nawet w tamtym kierunku. Z drugiej strony nigdzie nie jest powiedziane, że musiał odpływać z Trójmiasta – przecież mógł gdzieś przejeżdżać i dopiero potem się okrętować. Z trzeciej strony trzeba było w końcu zamknąć tę cholerną sprawę. Oczywiście można ją było pociągnąć jeszcze jakiś czas na kierunku zabójstwo, a potem umorzyć z niewykryciem sprawcy, ale takich zakończeń nikt tu nie lubił. Całościowy obraz sprawy – słowa, które usłyszał od przełożonej – wracały jak echo w jego głowie. Całościowy obraz sprawy zbudowany na podstawie

ekspertyz, ocen biegłych oraz eksperymentów procesowych wskazywał na samobójstwo. Jeśli jednak z orlej perspektywy patrzenia na całościowy obraz sprawy zeszło się nieco niżej i przyjrzało każdemu elementowi z osobna, to wszystkie zaczynały się nagle mienić wieloma odcieniami możliwych interpretacji. Prokurator nie był gotowy, żeby spojrzeć w lustro.

Patryk rzeczywiście nie należał do osób przesadnie towarzyskich – na pewno nie był ani ekstrawertykiem, ani tak zwaną duszą towarzystwa – ale kontaktów miał sporo, a problemy zdrowotne w żadnym stopniu go od tych kontaktów nie odciągały. Wolał czasem posiedzieć w internecie, bo stąd czerpał mnóstwo wiedzy o świecie, do którego się wybierał, i o ludziach, którzy go fascynowali. Ze znajomymi też kontaktował się głównie przez komputer i telefon. Ostatnio rzeczywiście przestał wychodzić, chociaż jeszcze kilka dni temu pracował w gdyńskiej marinie przy remoncie jednego z jachtów. Kontakty ograniczał między innymi dlatego, że miał świadomość, iż wkrótce go tu nie będzie. Po co miał się teraz wikłać w układy towarzyskie, wiązać się z ludźmi? Potem byłoby mu tylko bardziej tęskno, a być może im także. Z Miłoszem rozmawiał często. Dziś po południu może nie był zbyt miły, ale kiedyś mu to wynagrodzi – może zaprosi go do siebie, gdy już trochę tam osiadzie. Taka podróż do raj. Nikt by chyba nie odmówił?

Chmury wisiały nisko i coraz niżej. Prokurator przeglądał archiwum prognoz pogody Instytutu Meteorologii, który dla określonych rejonów gromadzi takie dane nawet od kilkudziesięciu lat. Przed dwunastą w nocy wiatr w zatoce w okolicach gdyńskiej mariny zelżał do siedmiu węzłów – jakieś dwanaście kilometrów na godzinę. Po północy osłabł jeszcze bardziej, do czterech węzłów – czyli prawie flauta, pomyślał prokurator. Czy chłopak skoczył, kiedy ucichło?

„Czemu nie skończyłem tych studiów na Akademii Morskiej? Nawigacja by mi się teraz przydała. Jak będzie tam, gdzie płynę? Czy jak zejść w końcu z tego jachtu w Oakland albo w innym Wellington, to znajdę tam pracę? Ze skończonymi studiami na pewno byłoby łatwiej. Może tam jeszcze zrobię, może tam coś wreszcie skończę? Może tam nie będzie tych cholernych

chmur, które zakrywają marzenia?”.

Mówili, że przyjadą koło piętnastej. Mieli dać znać na maila. Czemu zawsze ten mail, czy przez telefon nie byłoby prościej? To pytanie wciąż go nurtowało, ale w sumie co za różnica. To, że nie chcieli się ujawniać, nie oznaczało jeszcze w zasadzie nic złego. A nawet jeśli przy okazji na pokładzie miało się znaleźć coś jeszcze, to on i tak byłby kryty. Skąd miał wiedzieć, że właściciel zabrał na pokład jakieś zabronione substancje? Przecież nie jest od tego, żeby przeszukiwać kajuty, forpik czy bakisty. Gorzej byłoby, gdyby coś znaleźli w kubryku, dlatego akurat kubryk zamierzał porządnie przeszukać jeszcze przed wypłynięciem. Czy powinien się bardziej niepokoić? Pewnie tak, ale teraz nie miało to już i tak żadnego znaczenia. Chciał uciec i w zasadzie do tego się wszystko sprowadzało.

Na maila dali znać około ósmej. Potem wykasował jeszcze całą pocztę z ostatnich trzech lat, napisał do mamy, żeby oddała dług Miłoszowi i polerkę Adamowi. Mógł jej to powiedzieć później, kiedy już go odprowadzała, ale bał się, że zapomni, a w tej chwili nie było jej w domu. Około dziewiątej zaczął się pakować. Oczywiście rzeczy miał już naszykowane wcześniej, teraz musiał tylko włożyć je do plecaka i torby. Nie było tego wiele, bo i tak na początku rejsu miał dostać eleganckie ubrania jachtowe, ale o tym wspominał już wcześniej. Kiedy wziął do ręki swój ukochany aparat, zawahał się przez moment.

Nóż na plecach i fakt, że nie zabrał ze sobą aparatu – tak, to były kluczowe wskazania dla prokuratora, świadczące w jego mniemaniu o tym, że Patryk miał jednak nieczne zamiary wobec własnej osoby. Te dwa elementy nakazywały przy rozpatrywaniu całej sprawy skupić się na hipotezie o samobójstwie. Być może chodziło też po prostu o to, że nie można było jej umorzyć bez odnalezienia sprawcy, a on, prokurator rejonowy, siedział teraz i wmawiał sobie, że nóż i brak aparatu przekonują go prawie na sto procent. „Może” i „prawie” – te dwa słowa wracały jak bumerang. „Może” i „prawie”... Żałował czasem, że nie został matematykiem. W tej dziedzinie latami nie znało się rozwiązania jakiejś palącej kwestii, ale kiedy się je w końcu znajdowało, to nie było żadnego „może” ani żadnego „prawie”. Tam była prawda, a tu wciąż tylko cholerna hipoteza.

A kim w całej tej historii byli Barbara K. i jej znajomy Marek B.? Po wielu

apelach rodziców Patryka jakaś kobieta nagle zadzwoniła i powiedziała, że posiada informacje na temat śmierci ich syna. Kiedy mama Patryka pojechała na wyznaczone miejsce, żeby spotkać się z tajemniczą Barbarą, kobiety nie było, ale zadzwoniła i poprosiła o przełożenie spotkania na kolejny dzień. Nazajutrz jednak też się nie pojawiła, a potem kontakt się urwał. Mama Patryka zawiadomiła policję, która na podstawie numeru telefonu ustaliła tożsamość Barbary. Odnaleziono ją i przesłuchano. Potem w sprawie pojawił się tajemniczy Marek, który wedle jej relacji namówił ją do wykonania telefonu – kobieta nie umiała jednak albo może nie chciała ujawnić, po co. Znow to diabelne „może” – pomyślał prokurator. Jak z tak wielu „może” złożyć spójny obraz całości? Swoją drogą dlaczego ani tajemniczej kobiety, ani mężczyzny – który zresztą twierdził, że nie ma pojęcia o całej sprawie – nie przyciśnięto mocniej? Dlaczego nie założono im podsłuchów, nie poddano przynajmniej na jakiś czas obserwacji operacyjnej? Jak stworzyć spójny obraz z samych wątplych i niewyjaśnionych przesłanek?

Na pewno najważniejsza była ta noc. Patryk rozmyślał o przeszłych wydarzeniach, siedząc na zimnym betonie i wpatrując się wciąż w jeden punkt na horyzoncie. Wtedy wszystko się okazało. Wtedy zakończyła się jego podróż, choć może wcale nie jego życie. W każdym razie tamtej nocy, siedząc na gdyńskim nabrzeżu i czekając Bóg wie na co, zrozumiał, że marzenie o dalekich lądach, o ratowaniu wielorybów, o Nowej Zelandii i o spotkaniu z ginącym gatunkiem żółwi na tym świecie raczej się nie spełni. „Szkoda, że policja zaczęła mnie szukać tak późno. Wcześniej monitoringi wiele by wyjaśniły, a tak... Nawet ja nie pamiętam już dokładnie, jak to było. Tym bardziej że działo się to tak dawno. Czy poszedłem prosto na nabrzeże, czy ktoś miał wtedy się pojawić i w końcu się pojawił, a ja chwilę później wiedziałem już, że moja droga rychło się skończy i że nie będzie żadnego jachtu ani Hamburga, ani nic z tych rzeczy? Pewnie pojąłem od razu, że chcieli się mnie po prostu pozbyć, bo wiedziałem według nich coś, czego wiedzieć nie powinienem. Tylko co właściwie? Nawet tego nie mogę sobie już teraz przypomnieć, a woda pod stopami jest taka chłodna i kusząca. Pewnie wkrótce wstanie dzień, którego nie zobaczę”.



Żółw? Prokurator od godziny przeglądał internet w poszukiwaniu znaczeń przypisywanych symbolice żółwia. Miał niejasne przeczucie, że w naszyjniku, który znaleziono na szyi Patryka, tkwił klucz do całej tej popapranej zagadki.

Żółw w starożytnych kulturach był postrzegany jako podpora świata, symbol siły, miłości i mądrości. Tak od wieków uważali Hindusi. Chińczykom chodziło bardziej o długowieczność i wytrwałość. Buddyzm traktował żółwia z nie mniejszym szacunkiem. Był dla wyznawców tej religii zwierzęciem świętym i jako takie otaczano go ochroną, wyswabdzano z sieci rybackich, dokarmiano. W mitologii indyjskiej utożsamiano go z panem stworzenia. Później stał się wcieleniem Wisznu, symbolem potęgi wód, który zarazem podtrzymuje życie i go strzeże.

W tym miejscu prokurator na chwilę przerwał lekturę. Zastanowiło go, dlaczego samobójca miałby zakładać sobie na szyję rzeźbioną miniaturkę żółwia, skoro żółw symbolizował długowieczność i wedle wierzeń strzegł życia? Po chwili wrócił do Wikipedii. Dla plemienia Ajnów zamieszkujących Sachalin żółw był wysłańcem Boga wody, przekazującym mu modlitwy wszystkich ludzi. Ajnowie także czcili i szanowali żółwia, podobnie jak Sumerowie, Aramejczycy, Grecy i Rzymianie. Wszyscy zatem poważali żółwie. A czy dziś się je szanuje? Nagle prokuratorowi przyszło do głowy pytanie, które chwilę później uznał za niedorzeczne, choć może dotyczyło istoty problemu. Patryk martwił się o losy świata, o ginące wieloryby, o topniejące kry lodowe i tonące na nich białe niedźwiedzie, o wyspę plastiku na Oceanie Spokojnym, która miała już rozmiar połowy Europy. Martwił się na pewno, ale co z tego właściwie wynikało? Chciał ratować wieloryby w Nowej Zelandii, a ciężko jest ratować kogokolwiek, kiedy samemu się nie żyje. A może się po prostu poddał? Prokurator raz jeszcze wszedł do sieci. Człowiek, którego życie i śmierć próbował teraz zrozumieć, też spędził w necie mnóstwo czasu. Czego tam szukał?

Chelone, czyli żółw, w mitologii greckiej kojarzony był z jeszcze jednym, zgoła innym znaczeniem. Pewna nimfa z rajskiej Arkadii odmówiła udziału w zaślubinach Zeusa i Hery, za co została zmieniona w żółwia i skazana na wieczne milczenie. Z kolei u Azteków żółw był symbolem zdrady i tchórzostwa. Czyli z jednej strony czczony za swoje boskie przymioty,

z drugiej – traktowany jako symbol zdrady i milczenia. Żółw w zamierzonych czasach był też zabierany na wielomiesięczne zamorskie wyprawy. Niewiele wystarczyło mu do przeżycia długiego czasu, a kiedy pojawiała się potrzeba, zabijano go i całymi tygodniami żywiono się żółwim mięsem. Czy Patryk zabrał żółwia w swoją ostatnią podróż, bo chciał być silny i żyć wiecznie po drugiej stronie czasu, czy zabrał go jako źródło pożywienia, czy, umierając, powiesił go sobie na szyi w geście solidarności z ginącym gatunkiem, czy może wreszcie żółwia powiesił na jego szyi ktoś zupełnie inny, dając w ten sposób do zrozumienia, że Patryk zdradził i od teraz będzie już milczał po wsze czasy, jak owa arkadyjska nimfa?

Była druga w nocy. Prokurator ukrył twarz w dłoniach.

Patryk wziął plecak i torbę podróżną, do których spakował dwie pary majtek, dwie koszulki, dwie pary skarpet, spodenki, ręcznik i przybory toaletowe. Nie za wiele rzeczy jak na wyjazd może na zawsze, a w każdym razie na długo. Mama chciała go odwieźć samochodem, jak robiła za każdym razem, ale Patryk odmówił. Nie chciał też ani kanapek, ani pieniędzy. Twierdził, że tam, dokąd jedzie, nie będą mu potrzebne pieniądze. Może tak mu powiedziano, może miał od razu dostać zaliczkę, a na miejsce spotkania kazano mu się stawić samemu, bez żadnej osoby towarzyszącej? Wszystko to trochę niepokojące, ale nie dla niego, bo Patryk chciał uciec sprzed komputera, z mariny, w której polerował cudze jachty. Patryk chciał przede wszystkim wrócić na morze i wyrwać się spod tych ciemnych, przytłaczających chmur.

Dlaczego nigdy nie znaleziono żadnych rzeczy Patryka – ani plecaka, ani torby, ani dokumentów, ani ubrań? Prokurator patrzył w ciemność za oknem. Nurkowie badali miejsce, w którym wedle założeń jego poprzedników chłopak miał wskoczyć do wody. Tyle że miejsce znów było tylko i wyłącznie czyjąś hipotezą. Jakby pisali opowiadanie – pomyślał – a nie prowadzili dochodzenie w sprawie. Dlaczego miałby skoczyć akurat w tym miejscu? Bo w pobliżu był wymieniany chodnik i wokoło leżało sporo zdjętych betonowych płyt. Ale czy takich, jak te, które policjanci wyciągnęli z wody tamtego wietrznego dnia razem z ciałem? Jeśli torbę i dokumenty też wrzucił do wody, to morze powinno je gdzieś wyrzucić na brzeg. Z drugiej strony, jeśli rzeczywiście skoczył z płytami przywiązany do

nóg, to prawdopodobnie nie chciał, żeby go zbyt szybko odnaleziono, więc rzeczy nie wrzucałby do wody w tym samym miejscu. Co zatem z nimi zrobił?



Z mamą rozstał się około dwudziestej trzeciej. Odprowadziła go kawalek. Dalej chciał iść sam. Po mniej więcej godzinie, ale jeszcze przed północą, napisał ostatniego, pożegnalnego SMS-a.

Patryk siedział na ławce w ciemnym o tej porze parku Rady Europy i zziębniętymi palcami stukał w klawiaturę na ekranie telefonu. Było tak chłodno, że dotykowy ekran reagował z opóźnieniem i musiał naciskać litery parę razy. Niektóre wstukiwały się po kilka od razu, ale nie miał siły tego poprawiać. „No dobra już zaraz wyjazd. Będę musiał wyłączyć telefon. Pozdr. gorrrąco i głowa do góry ciao ciao”. Gdy tylko wysłał SMS-a, od razu wyłączył telefon. Może dlatego, że nie potrafił już udźwignąć odpowiedzi, którą zgodnie z jego oczekiwaniami mama wysłała kilka minut później, a może dlatego, że tak umówił się z tymi, którzy za chwilę mieli go zabrać ze sobą. Żadnych telefonów, od tej pory znikasz, będziesz mógł się skontaktować dopiero za jakiś czas. Dlaczego? Tak wiele było w całej tej sprawie pytań bez odpowiedzi, że Patryk przestał się już nawet zastanawiać. Po prostu wyłączył telefon i już.

Telefonu też zresztą nigdy nie odnaleziono. Przecież gdyby włożył go do kieszeni, to nawet po sześciu tygodniach w wodzie powinien tam być. Chyba że włożył go do torby albo plecaka, których nigdy nie odnaleziono. W miarę jak noc coraz głębiej zapadała się w siebie i zbliżał się świt dnia, w którym prokurator musiał wydać ostateczne postanowienie, całościowy obraz sprawy coraz bardziej się rozmywał. Samobójstwo albo zabójstwo z niewykryciem sprawcy. Opcje są tylko dwie. Dlaczego nie mogę po prostu napisać: „nie wiem”?

Może przyjechali po niego samochodem, a może pod gdyńską marinę przyplłynęła łódź, do której wsiadł? Na pewno nie była to łódź, którą miał z nimi popłynąć do Nowej Zelandii, bo tak duża jednostka nie mogłaby tam nawet przybić, a jeśli już, to na pewno nie uszłoby to uwadze kapitanatu portu. Rzeczy kazali zapakować do bagażnika, on sam wsiadł na tylne siedzenie i bardzo szybko zorientował się, że nie będzie żadnej Nowej Zelandii. Może zresztą przeczuwał to już znacznie wcześniej, a oni – zanim zrobili to, co zrobili – bardzo długo próbowali dowiedzieć się od niego, kto wiedział o planach, które zamierzał z nimi zrealizować, i trudno było im uwierzyć, że tak naprawdę nikt. Mówił Jej o Nowej Zelandii, ale wcześniej mówił o tak wielu innych rzeczach, których nigdy nie zrealizował, że na pewno mu nie uwierzyła. Zresztą Ona i tak zniknęła już z jego życia, więc nikt nie będzie jej za bardzo o nic wypytywał. Chociaż wiedział, że teraz to

już nic nie da, wciąż jeszcze bardzo zależało mu na tym, żeby pozyskać ich zaufanie.

Dlaczego nie wypyтали dokładniej tej dziewczyny? Ona musiała wiedzieć więcej. Na pogrzebie powiedziała coś o tym, że Patryk przebąkiwał jej kiedyś o samobójstwie, później – albo może wcześniej – wspomniała o Nowej Zelandii, ale to wszystko było niespójne i kompletnie nieprzekonujące, a przecież ona musiała wiedzieć coś więcej. On, prokurator, który za kilka godzin miał wydać ostateczne postanowienie, na pewno by ją bardziej przycisnął. Tyle że przycisnąłby ją wtedy, gdy był na to czas. Teraz, w środku nocy, która miała zdecydować o dalszych losach chłopaka, który od dwóch lat nie żył, na przyciskanie świadków na pewno nie było już czasu.

„Dlaczego ubrałem się jak na pogrzeb dziadka?”. Patryk siedząc – może na nabrzeżu pod nawisem tarasu widokowego gdyńskiego Oceanarium, a może na burcie łodzi, która wypłynęła na środek zatoki – i czekając na moment, kiedy mrok nocy zmieni się w wieczną ciemność w jego głowie, zastanawiał się nad tym, dlaczego ubrał się właśnie tak, a nie inaczej. Swoją drogą ubranie różniło się nieco od tamtego i późniejsza supozycja prokuratury była zdecydowanie za daleko idąca. Nie był ubrany identycznie, ale rzeczywiście to, co założył dziś, częściowo pokrywało się z tym, co miał na sobie tamtego dnia mniej więcej przed rokiem. Dziadek był w jego życiu bardzo ważną postacią, był łącznikiem między nim a pradziadkiem, który też był żeglarzem i pewnego jesienno dnia 1952 roku zginął w wodzie. W tej samej wodzie, tej samej zatoki, nad którą siedział teraz on. Los powtórzony? Patryk się uśmiechnął. Może dlatego to podobieństwo ubrania, choć nie zamierzone, to jednak podświadomie też powtórzone. Tak to się wszystko ze sobą przeplata. Tyle tylko, że zarówno dziadek, jak i pradziadek dożyli, jak to się mówi, swoich lat. A on? Zrobiło mu się nagle bardzo smutno. Miało być inaczej, a kończy się tak, jak się kończy. Może wszystko przez te Karaiby, może gdyby nigdy nie trafił do rajy, nie tęskniłby za nim tak bardzo i może nie siedziałby teraz na tym murku albo może nie dałby się tak łatwo zwieść tym złym ludziom, którzy za moment mieli go zepchnąć z burty w czarną otchłań wody, by mroczna kopuła chmur zatrzasnęła się nad nim po wsze czasy.

Czy wierzył w to, że po drugiej stronie otchłani jest jakaś inna historia? Prokurator schował do teczki zdjęcia z momentu wydobycia zwłok i z kostnicy. Nie chciał już dłużej na nie patrzeć. Nic nie wnosiły do sprawy, a wprowadzały go w stan, z którego trudno mu będzie otrząsnąć się przez długie tygodnie. Teraz patrzył na zdjęcie Patryka, które ktoś zrobił prawdopodobnie po powrocie z jednego z zamorskich rejsów. Pociągła twarz, na niej delikatny uśmiech, ani śladu melancholii, która mogłaby przywodzić na myśl samobójcę. Włosy nieco dłuższe, ładnie rozjaśnione solą i słońcem. Zdrowy, uśmiechnięty, przystojny młody chłopak. Dlaczego właściwie miałby mieć problemy z poczuciem własnej wartości, z dziewczynami? Profil stworzony przez policyjnego psychologa w ogóle nie przekonywał prokuratora. Każdy nieco inteligentniejszy i odrobinę bardziej wrażliwy człowiek w tym wieku miał kłopoty ze sobą. Na tym polegała uroda tego szczególnego czasu, który jedni wspominali z rozrzewnieniem, inni zaś z ulgą przyjmowali fakt, że mają go już za sobą. Patryk miał myślące oczy, więc pewnie borykał się z młodością, ale bez przesady. Pracował, pływał, studiował, miał kolegów, koleżanki, przyjaciółkę... No właśnie. Może tu był pies pogrzebany, może chłopak chciał pójść dalej w życiu, stać się mężczyzną, jak każdy z nas. Prokurator uśmiechnął się do własnych wspomnień. Mężczyzną mężczyzna staje się, kiedy wychodzi z domu rodziców i tworzy nowy dom. Pewnie to trochę staromodne, ale może Patryk był staromodny, kochał dziadka, żył opowieściami o pradziadku. Prawdziwi mężczyźni, marynarze, którzy kiedyś wyszli ze swoich domów i założyli własne rodziny. W jakimś sensie dzięki temu on, Patryk, siedział teraz na betonowym nabrzeżu albo może na burcie łodzi, co nie miało już w tym momencie większego znaczenia. Był na świecie, bo jego męscy przodkowie znaleźli swoje kobiety i wyszli za nimi ze swoich domów. Dlaczego Ona wyjechała – zastanawiał się Patryk po raz nie wiedzieć który, a dwa lata później dokładnie to samo pytanie zadawał sobie prokurator, który w czerwcową noc siedział przy biurku w swoim gabinecie, wpatrywał się w stos akt przed sobą i próbował nie zwariować od upału.



– Czemu się ostrzygłeś? – prokurator patrzył na zdjęcie Patryka.

– Trzeba się strzyć przed podróżą – Patryk uśmiechnął się lekko. – Nigdy nie wiesz, w jakim porcie wylądujesz i kiedy. Poza tym nie chodzi się do byle fryzjera.

– Też prawda – prokurator po raz pierwszy zerknął na swoje odbicie w ekranie wyłączonego komputera, a po chwili z powrotem przeniósł wzrok

na zdjęcie chłopaka. – Czyli jak to było, Patryku?

– Było jak było, woda zimna, ciemno, na szczęście szybko zmieniłem się w żółwia – chłopak trochę posmutniał.

Może zresztą prokuratorowi tak się tylko zdawało, w końcu patrzył jedynie na zdjęcie, a Patryka od dawna nie było już przecież wśród żywych.

Mama.

Mama milczy. Co dzień chodzi w dwa miejsca. Do mariny, gdzie wciąż ma nadzieję znów go zobaczyć, i na cmentarz, gdzie on wciąż jeszcze uporczywie jest. Nie ma jej w tej historii, choć prokurator doskonale wie, że być powinna, bo w życiu chłopaka była osobą najważniejszą. Nie ma jej, bo mama nie chce być w tamtej rzeczywistości. Nie odwiedza jej nawet i tylko wie w głębi serca, że Patryk nie skoczył do wody z własnej woli. Mama ma sny. W każdym z nich Patryk próbuje wezwać ją na pomoc, w każdym pojawiają się ludzie, których ona nie potrafi zidentyfikować, źli ludzie, którzy odebrali jej jedyne syna.

Grób Patryka płynie. Patrząc od strony mamy, która przychodzi go odwiedzać, grób płynie do niej. Dlatego na prawej burcie, spoglądając na dziób, ma światło czerwone, a na lewej zielone. Od drugiej strony – czyli tej, w którą spogląda Patryk – grób płynie odwrotnie. Po lewej ma światło czerwone, po prawej zielone. Patryk nie może odpłynąć, bo dwie przeciwstawne siły się sumują. Statek stoi więc na redzie, mama wciąż czeka, aż syn wróci, a prokurator próbuje zapomnieć, że wcale nie był pewien.



OPOWIEM CI  
O ZBRODNI

914  
1  
PP0160C  
ENCORE-AGUA  
EUIT  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12





**„ŁOWCA”**

**WOJCIECH  
CHMIELARZ**

## WOJCIECH CHMIELARZ

Urodzony w 1984 roku. Przez pewien czas dziennikarz, potem specjalista do spraw białego wywiadu i analizy gospodarczej. Zajmował się m.in. szarą strefą i wyłudzeniami VAT. Obecnie pisarz. Autor cyklu o komisarzu Jakubie Mortce: *Podpalacz* (2012), *Farma lalek* (2013), *Przejęcie* (2014), *Osiedle marzeń* (2016), *Cienie* (2018), cyklu gliwickiego: *Wampir* (2015) i *Zombie* (2017) oraz thrillera psychologicznego *Żmijowisko* (2018). W 2013 i w 2014 roku nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru, w 2015 roku został jej laureatem za powieść *Przejęcie*. W 2019 roku laureat nagrody „Złoty Pocisk” w kategorii najlepszy kryminał 2018 roku, którą otrzymał za książkę *Żmijowisko*. W sierpniu 2019 roku planowana jest premiera jego najnowszej powieści *Rana*. Jego powieści były tłumaczone na język francuski. Trwają prace nad ekranizacją jego książek..



## 1.

Wyobrażasz sobie, że jesteś drapieżnikiem. Łowcą. Lwem na pieprzonej sawannie. Ostatnim ogniwem łańcucha pokarmowego. Szczytowym osiągnięciem ewolucji. Panem życia i śmierci. Władcą. Tylko ty decydujesz, kto przeżyje kolejny dzień.

To musi być cudowne uczucie. Leżysz w wysokiej trawie. Twoje ciało to wazący 300 kilogramów splot mięśni i kości jak ze stali. Twój ryk niesie się dziesiątki kilometrów i na jego dźwięk drży każde żywe stworzenie.

Ale kiedy polujesz, jesteś cichy. Przemykasz wśród wysokich traw z niewiarygodną, nierealną wręcz gracją. Jesteś niewidoczny. Jesteś jak cień. Jak podmuch wiatru. Przynajmniej dopóki nie rzucisz się do biegu. Dopóki nie skoczysz daleko przed siebie. Dopóki nie zatopisz kłów i pazurów w ciele ofiary. Dopóki nie poczujesz świeżej krwi na języku.

Dopóki nie zabijesz.

Wtedy wszyscy cię widzą. Wtedy wszyscy wiedzą, że jesteś lwem.

Czujesz ich przerażenie. Jest słodkie jak krew.

Już wiesz, że było warto.

## 2.

Ale polowanie to coś więcej niż tylko bezrozumna pogoń za ofiarą. To coś więcej niż tylko ta końcowa eksplozja. To coś więcej niż ten ostatni skok, akt boskiej przemocy. To cały proces. Skomplikowana operacja, która została doprowadzona do perfekcji w wyniku toczących się miliony lat procesów ewolucji. To pojedynek między łowcą a ofiarą. Pojedynek, który właśnie się rozpoczyna, chociaż osoba, na którą polujesz, jeszcze o tym nie wie.

Etap pierwszy. Wybór ofiary. Patrzcie, jak poluje lew na sawannie. Wspaniała bestia. Jego pazury są jak noże. Kły wbijają się głęboko w ciało. Szczęki miażdżą kości. Jest silny i szybki. Kiedy rzuca się w pogoń, potrafi osiągnąć prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zmienia się wtedy w maszynę do zabijania, której nie sposób powstrzymać. Ale lew jest sprytny. Nie poluje na dowolną ofiarę. Spędza dużo czasu, wypatrując odpowiedniej okazji. Szuka młodej gazeli, która jeszcze nie nauczyła się

tajników życia na sawannie i nierozważnie odłączy się od stada. Albo osobnika starego, któremu brakuje już sił. Albo chorego. Takiego, który nie zdoła rzucić się do ucieczki. Takiego, którego łatwo będzie schwytać.

Lew jest sprytny. Dlatego ty też musisz być sprytny.

Rozpoczynasz poszukiwania ofiary. Pamiętaj, że to inne czasy. Nie rok 2019, ale 2005. Jest inaczej. Nie ma Tindera. Facebook ma zaledwie roczek. Nikt nie słyszał nawet o Naszej Klasie. W Polsce króluje portal Grono, którego dzisiaj pewnie nikt nie pamięta. Randkowanie przez internet to coś nowego i trochę wstydliwego. Słyszysz, co ludzie o tym opowiadają. Że to zajęcie dla przegranych, którzy nie potrafią sobie znaleźć partnera w prawdziwym życiu. Dla chłopaków, którzy nie potrafią wyjść do knajpy, zamówić piwa i poderwać dziewczyny. Dla dziewczyn, które są takie szpetne, że nikt się nimi nigdzie nie zainteresuje. Albo coś innego jest z nimi nie tak. Słowem, portale randkowe to królestwo nieudaczników i nieszczęśliwych kobiet.

Dlatego właśnie zakładasz sobie konto na jednym z nich.

To twoje terytorium. Tutaj będziesz polował.

Pierwszego dnia wysyłasz ponad sto wiadomości do różnych kobiet. Wszystkie brzmią mniej więcej jednakowo. Czasami zmieniasz imiona, drobne szczegóły, ale generalnie treść jest ta sama: „Cześć. Nie bardzo wiem, co mam napisać na początku, ale dopiero się zarejestrowałem i nie wiem dokładnie, jak to działa. Nazywam się Arek i mieszkam w Warszawie. Zapisałem się, bo trochę znudziło mi się już bycie w pojedynkę. Teraz, mając trzydziecie na karku, chciałbym znaleźć kogoś bliskiego”.

Podaję, że jesteś dumny z treści tego maila. To kamuflaż i pułapka w jednym. Każde słowo zostało starannie przemyślane. Żadne nie jest przypadkowe. Ten początek. Dopiero się zapisałeś, nie do końca wiesz, jak to działa. Jesteś więc kimś nowym. Odrobinę bezradnym. Wkroczyłeś na nowy, nieznan ci łąd. Te słowa to trochę prośba o pomoc. Sugestia, że potrzebujesz kogoś, kto weźmie cię za rękę i pokaże, co i jak. Odwołanie do instynktu macierzyńskiego? Opiekuńczego? Ale takie nienachalne. Delikatne. Nie jesteś dzieciakiem, którym trzeba się zajmować dzień i noc. Po prostu kimś, kto rozpoczyna nową przygodę i potrzebuje wsparcia. Sprytnie. Jedziemy dalej. Nazywasz się Arek i mieszkasz w Warszawie. Znudziło ci się życie w pojedynkę. Masz trzydzieści lat i chciałbyś znaleźć

kogoś bliskiego. Czyli jesteś dojrzałym facetem. Facetem, który już się wyszalał. Za tobą też szalony, czasami zabawny, a czasami żenujący okres pijaństw, podrywania przypadkowych kobiet, związków na jedną noc, miłostek, które skończyły się, zanim się zaczęły. Nie jesteś jednym z tych facetów, którzy zwodzą kobiety, opowiadają im niestworzone historie, a którzy tak naprawdę śmiertelnie boją się poważnego związku. Nie. Ty wiesz, kim jesteś, i wiesz, czego chcesz. Nazywałeś się Arek i chciałbyś mieć kogoś bliskiego.

Która kobieta by się na to nie skusiła?

Okazuje się, że jest ich zaskakująco wiele.

Co poszło nie tak? Czy wyczuły jakiś fałsz? Może chodziło o nick, którego użyłeś? „Atilla”. Dość dziecinny. Nieprzystający do tego, co napisałeś w wiadomości. Pojawia się tu jakiś zgrzyt. Wyczuły to? A może po prostu nie były tobą zainteresowane? Lub zamieściłeś fotografię, na której wyglądasz mało atrakcyjnie? Napisałeś o sobie za mało? Za dużo? Trudno powiedzieć.

Wysłałeś ponad sto wiadomości do różnych kobiet. Pod koniec flirtowałeś przez internet z ponad dwudziestoma. Zastawiałeś kolejne sieci? Szykowałeś się do kolejnego polowania?

Ważne jest to, że odezwała się ta jedna.

Na imię miała Edyta.

### 3.

Wymieniacie wiadomości. Na początku powoli, potem coraz szybciej. Jestem pewien, że w pewnym momencie oboje tylko siedzicie przed komputerem i oczekujecie powiadomienia o pojawieniu się kolejnego maila. Za każdym razem to zastrzyk adrenaliny i serotoniny w jednym. Teraz się trochę na to uodporniliśmy – przynajmniej taką mam nadzieję – ale wtedy to była absolutnie odurzająca mieszanka. Ciężko było się jej oprzeć.

Nie ma jeszcze smartfonów. Nie ma internetu w komórkach. Nie można w każdej chwili sięgnąć do kieszeni i sprawdzić skrzynki odbiorczej. Zwykła podróż do pracy w momencie, gdy toczy się internetowy flirt, musi być niewiarygodnym cierpieniem. Samo oderwanie się od komputera i wyjście



z domu wymaga wielkiej siły woli. Zwłaszcza dla niej. Dla Edyty. Wydaje mi się, że lubiłeś to sobie wyobrażać. Jej niecierpliwość. To, jak pędzi do pracy, jak odpala komputer. Nie z gorliwości, nie po to, żeby zająć się swoimi obowiązkami, ale po to, żeby zalogować się na portal randkowy i sprawdzić, czy czegoś do niej nie napisałeś; żeby dowiedzieć się, czy zrozumiałeś dowcip w drugim akapicie; żeby poznać odpowiedzi na dręczące ją pytania; żeby dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. A jesteś fascynującą osobą.

A przynajmniej tak o sobie piszesz.

O! Czego ty o sobie nie piszesz! Mówią, że papier wszystko przyjmie. Mail przyjmie jeszcze więcej.

Jak łatwo się kłamie drogą elektroniczną.

Przypominam. Jest rok 2005. To dość dziewicze czasy. Pełne naiwności. Prasa co dwa, trzy miesiące ogłasza wszem i wobec, że globalna sieć zbawi świat. Z perspektywy czasu to nawet zabawne. Dla naszej sprawy ważne jest natomiast jedno – ciągle jeszcze nikt w internecie nie wie, że naprawdę jesteś lwem.

Pytanie: sam jej wszystko piszesz, czy czekasz, aż zada pytania? Ten drugi scenariusz jest lepszy. A może wszystko dzieje się jakby samo z siebie? Wyobrażam sobie, że mogła cię po prostu zapytać o nazwisko. Że zabawne. Że takie samo nosił ten słynny reżyser. Ten, który nakręcił te wszystkie śmieszne filmy, które ludzie ciągle cytują. A ty wtedy bez wahania piszesz, że tak, to twój dziadek. Ona jest pod wrażeniem, a ty gratulujesz sobie refleksu. Jesteś drapieżnikiem. Jesteś lwem. Potrafisz skorzystać z okazji, kiedy ta się trafia.

A potem piszesz jej też inne rzeczy. Że trenowałeś kick-boxing, a teraz prowadzisz sekcję dziecięcą na AWF. Co za cudowna zbitka. Trenowałeś, więc jesteś wysportowany. Kobiety lubią wysportowanych. No i kick-boxing. Czyli możesz ją obronić, jakby przyszło co do czego. Edyta może się czuć przy tobie bezpiecznie. A teraz trenujesz dzieciaki. Kolejna sugestia. Jesteś facetem, który potrafi zająć się dziećmi. Potrafisz z nimi pracować. Takim, który nie chce już być sam. Jesteś gotowy na poważny związek. Jesteś gotowy na założenie rodziny.



Jesteś też bogaty. Nie ostentacyjnie. Nie podajesz się za syna Kulczyka, o nie! Może i kobiety marzą o księciu z bajki, ale kobiety mają też swój rozum. Wiedzą, że bajki nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Żaden syn Kulczyka nie zwróci uwagi na zwykłą księżową. Ale już chłopak, który mieszka w stumetrowym apartamencie z chorą ciotką, jak najbardziej. To twoje kolejne sprytne posunięcie, prawda? Masz stumetrowy apartament,

czyli jesteś zamożny. Chora ciotka, czyli nie można cię odwiedzać, bo nie będziemy przecież staruszce przeszkadzać. Mieszkacie razem, a więc się nią opiekujesz. Jesteś taki wspaniały. Taki odpowiedzialny. Tak bardzo można na ciebie liczyć. Ideal.

Przeszedłeś przeszkolenie wojskowe. Tutaj widzę pewien zgrzyt. Fałszywy ton. Coś mi tu nie gra. Z jednej strony, jakby rozumiem. Przeszkolenie wojskowe. Potrafisz strzelać, rzucać granatem. Za mundurem panny sznurem. Jesteś prawdziwym facetem. Ojczyzna wzywa, więc ty odpowiadasz. Nie uchylasz się od obowiązku, odpowiedzialności.

Ale czy na pewno tak to działa? Czy naprawdę kobiety teraz i wtedy zwracały na to uwagę? Czy to było takie ważne? Może tak. Może wyczytałeś to z jednego z maili od niej. Jakąś tęsknotę za czasami, kiedy mężczyzna był mężczyzną? A może – odnoszę takie wrażenie – zrobiłeś to bardziej dla siebie? Bo nie byłeś w wojsku. Może chciałeś, ale dostałeś kategorię D. I słyszałeś, co mówią – facet bez wojska to nie facet.

A ciebie nawet nie chcieli wziąć, mój lwie.

Ale nawet jeśli mam rację, to jednak drobiazg. Może nawet nie zwróciła uwagi na ten fragment. Zasypywałeś ją przecież informacjami. Jesteś studentem Wydziału Administracji i Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Wiadomo, poważna sprawa. Kawał solidnego wykształcenia. Lekarz i prawnik, od zawsze top 5 w matrymonialnym rankingu zawodów. Ale oprócz tego prowadzisz firmę informatyczną. Informatyka już wtedy liczyła się coraz bardziej. Wszyscy mówili, że to przyszłość.

A ty przecież jesteś przeszłością Edyty.

Opowiadasz jej, że twoi rodzice sprzedali dom w Warszawie i przeprowadzili się do Włoch. Do cudownego miasteczka Trabucco. Kolejne sprytne posunięcie. Z jednej strony rodziców nie ma. Wyjechali. Nie możecie się z nimi spotkać. Nie możecie z nimi porozmawiać. Są daleko. Ponad tysiąc kilometrów na południe. Ale z drugiej strony jest też w tej opowieści marchewka. Ona już pewnie sobie wyobraża te rodzinne wypady do teściów. Te rodzinne wakacje spędzane wspólnie w słonecznej Italii.

Kłamstwo i obietnica w jednym.

Jest tylko jeden problem. Nie ma takiego miasta jak Trabucco. Tak nazywa się pewna konstrukcja dla wędkarzy, rodzaj pomostu, dość

popularnego w jednym z włoskich regionów. To także marka sprzętu wędkarskiego, a ty podobno lubisz łowić. Ale ten błąd nie będzie miał żadnych konsekwencji. Jest rok 2005. Google maps pojawiło się zaledwie kilka miesięcy temu. Nie mamy jeszcze tego nawyku, żeby wszystko sprawdzać w internecie. Żeby z Google Street View wędrować uliczkami miasteczek, których nigdy nie odwiedzimy. Ale dziwi mnie, że nie wymyśliłeś niczego innego. Że nie chciało ci się sięgnąć po zwykły atlas geograficzny, pojeździć trochę palcem po mapie i znaleźć jakąś romantyczną nazwę prawdziwego miasteczka.

Zrobiłeś się leniwy, mój lwie.

Ale przecież w całej tej korespondencji, w tych wszystkich nieprawdach, znalazło się jeszcze jedno kłamstwo, wręcz banalne. Jedno z tych, które mężczyźni często wypowiadają. Pewnie słyszała je większość kobiet. Ale odpowiednio wygłoszone zawsze miło łechce. Wypowiada się je w różny sposób, ma różną treść, ale sens zawsze jest ten sam. W waszym przypadku napisałeś Edycie, że byłeś już kiedyś w związku. Z dziewczyną o imieniu Anna. Ale tamta (w przypadku spotkania twarzą w twarz musisz przybrać teraz lekceważący ton) była zwykłą lalką Barbie. A tobie już nie o to chodzi w życiu.

#### 4.

Spotykacie się po tygodniu. Dość szybko, ale na co czekać? Świat pędzi przecież do przodu. Park Kępa Potocka na warszawskim Żoliborzu. Urokliwe miejsce. Jest zielono. Niedaleko Wisła. Oddzielona co prawda wstęgą Wisłostrady, więc zamiast szumu rzeki spacerowiczom towarzyszy raczej szum samochodów, ale i tak jest miło.

Zastanawiam się, które z was było bardziej zdenerwowane. Ty czy ona. Ona szła spotkać się z mężczyzną ze swoich snów. Żyła marzeniami. Na pewno była stremowana. Widziałeś jej zdjęcia, może nawet wymieniliście się jakimiś nowymi. Takimi, których nie zamieściła jeszcze na swoim profilu na portalu randkowym. Ale oglądać się na fotografiach a stanąć twarzą w twarz to coś zupełnie innego. W realu nie można zwalić niedoskonałości na słabe oświetlenie. Nie można nieustannie odwracać się tym lepszym profilem. Oczywiście, zawsze jest makijaż, drogie kosmetyki, podkłady, cienie do powiek, szminki, tusze do rzęs i tysiące innych

kosmetyków. Są porady stylistów w kolorowej prasie. Ale prawda jest taka, że każda wada, każdy dodatkowy kilogram, każda zmarszczka prędzej czy później wyjdą na jaw.

Z tobą jest inaczej. Jesteś zdenerwowany, ale z innego powodu. Ty wiesz więcej. Rozumiesz, jaki jest prawdziwy cel tego spotkania. Jaka jest stawka. Jesteś lwem. Ona gazelą. Ostrożnie skradasz się do niej przez trawy sawanny.

No więc Park Kępa Potocka. Warszawa i wrzesień. Babie lato. Podobno najpiękniejsza pora roku w tym mieście. Jest jeszcze ciepło, zielono, słonecznie. Ale upał już odpuścił. Wieczory są przyjemnie chłodne. Powietrze rześkie. Da się żyć. Można odpocząć.

Idziesz w jej stronę. Uśmiechasz się. Musisz się uśmiechać. A dla niej ten uśmiech znaczy wszystko.

Wyobrażam sobie, że przynosisz jej kwiaty. Nie ma tego w aktach. Nie ma tego w żadnym z reportaży, ale jestem pewien, że je miałeś. Wręczyłeś jej bukiet róż, a ona była szczęśliwa.

Potem spacerujecie. Rozmawiacie. Opowiadasz o sobie, a potem zamieniacie się rolami. Przyszła jej kolej na zwierzenia. Opowiada więc o tym, że jest księgową. Pracuje w austriackiej firmie. Że ją tam szanują, że nieźle sobie daje radę. A ty sobie myślisz, że skoro to zagraniczna firma, że skoro księgowa, to pewnie dobrze zarabia. Potem dowiadujesz się, że ma mieszkanie. Swoje, własne. Że pomaga trochę finansowo rodzinie. A ty już dodajesz w głowie kolejne tysiące.

Spodobałeś się jej. Napisała o tobie swojej koleżance: „dobrze zbudowany (to po treningach), troszkę wyższy ode mnie, ale nie za dużo. Bardzo spokojny, ciepły, z poczuciem humoru, mający ogromną wiedzę z historii i mitologii itd. Po prostu humanista. Raczej domator. Uwielbia spacerować, długie rozmowy, nie jest typem imprezowicza, nie cierpi marketów, lansowania się, wykorzystywania itd. Nie umie tańczyć, hi hi”.

Znowu patrzę na ten tekst i myślę, że jesteś sprytny. „Raczej domator”, „nie jest typem imprezowicza”, „nie cierpi marketów”, „lansowania się” i wreszcie na koniec: „nie umie tańczyć”. Już wtedy ją przygotowywałeś. Już wtedy budowałeś sieć wymówek, dlaczego nie będziecie nigdzie wychodzić, spotykać się z jej znajomymi i tak dalej.

W końcu to pierwsza zasada polowania: odciąć ofiarę od stada.

## 5.

I tak się rzeczywiście dzieje. Jesteście razem prawie dwa miesiące. Bardzo intensywne dwa miesiące. Zasypujesz ją komplementami. Odwiedzasz. Pisziesz. Dzwonisz.

Edyta zwierza się koleżance: „byliśmy w parku na spacerze. Mówi, że coś dla mnie ma. Żebym mu przypomniała, jak będziemy się rozstawać. Ale wcześniej dał mi to do kieszeni kurtki. Na takiej ładnej karteczce było napisane: *kocham cię*. Później przyjechał do mnie jeszcze wieczorkiem do domu. Zapytał, czy widziałam karteczkę. Mówię, że tak. A on do mnie: *kocham cię mocno, moja gwiazdeczko, i ty dobrze o tym wiesz*”.

Edyta zakochuje się po same uszy. Jest jak w gorączce. Ślepa i głucha. Nierozważna. Nic jej nie dziwi. Ani to, że nie chcesz poznać jej rodziców. Ani to, że nie chcesz spotkać się z jej znajomymi. Wiadomo, „raczej domator”. Ale jej to nie przeszkadza. W każdym razie jeszcze nie. Ale ty się śpieszysz. Kujesz żelazo, póki gorące. Wiadomo, jesteś łowcą, lwem. Drapieżniki to zazwyczaj świetni sprinterzy, ale nie długodystansowcy. Dokładnie tak jak ty. Nie jesteś w stanie za długo utrzymać tej iluzji. W pewnym momencie zaczniesz naciskać, żebyś pojechał na obiad do jej rodziców. Albo będzie chciała poznać twoich. Może nawet w przypływie jakiegoś szaleństwa kupi bilet lotniczy do Włoch. Albo będzie gdzieś chciała wyjść ze swoimi znajomymi. Nie chcesz ich poznawać. Albo inaczej: nie chcesz, żeby oni poznawali ciebie. Im mniej wiedzą, tym lepiej. Niech nie wiedzą, jak wygląda twoja twarz, jak brzmi twój głos. Ale przede wszystkim boisz się, że kiedy się poznacie, jakaś jej przyjaciółka zacznie zadawać pytania. Wyrażać wątpliwości. Sugerować, że może coś jest nie tak. A Edyta – znasz ją już – Edyta najpierw zaprzeczy. Nawet może się pokłócić. Ale ziarno zostanie zasiane. Nie wiadomo, co z niego wyrośnie. Nie zamierzasz ryzykować.

Zaczynasz się śpieszyć.

Oświadczasz się. Ona się zgadza. Wszystko dzieje się błyskawicznie. Edyta wierzy jednak w przeznaczenie. Wierzy, że połączyło was coś wyjątkowego i wspaniałego.

Zaczynacie snuć wspólne plany. Ślub cywilny już w grudniu. Nie ma na

co czekać. Ślub kościelny oczywiście też będzie, uspokajasz ją. Ale kiedyś. Kiedy będą już pieniądze i trochę spokoju. To wszystko trzeba przecież bardzo dobrze przygotować, zaplanować. Zwłaszcza że ślub kościelny ma się odbyć we Włoszech!

Ale wcześniej załatwiacie inne plany. Potrzebujecie mieszkania. Większego niż jej kawalerka. No a przecież nie będziecie mieszkać razem z twoją ciotką w tym apartamencie. Mówisz, że masz pieniądze. Że o wszystko zadbasz. Ona się cieszy. Jesteś zaradnym facetem. Takim, który się nią zaopiekuje. Potem przy kolejnym spotkaniu robisz smętną minę. Ona się niepokoi. Pyta, co się stało. Ty na początku może trochę się opierasz, ale w końcu przyznajesz, że być może wasze plany będzie trzeba przełożyć na nieco później. Powód jest banalny. Pieniądze. Coś źle policzyłeś, biznes nie poszedł tak jak planowałeś, okazało się, że trochę ci brakuje. Ale Edyta nie powinna się martwić. Masz na oku świetny interes. Chodzi o zakup części elektronicznych po dobrej cenie. A ty wiesz, gdzie je sprzedać. Mówisz, że dałeś już siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych zaliczki. Ale żeby dopiąć interes, potrzebujesz kolejnych osiemdziesięciu. Chyba się waha. Nie jest pewna. Może w jej głowie po raz pierwszy pojawiły się wątpliwości. Postanawiasz więc je rozwiać. Mówisz, że rozmawiałeś już o tym z Anną, z lalką Barbie, ze swoją byłą dziewczyną.

I ona zgodziła się pożyczyć ci te pieniądze.

## 6.

Edyta chyba się ciągle waha, prawda? Albo po prostu postanowiłeś ją dodatkowo przycisnąć. W każdym razie wysyłasz do niej maila ze skrzynki pocztowej, którą dla ciebie założyła Anna. Bo ciągle się z nią spotykasz. Przez cały czas, kiedy mamisz Edytę, równocześnie utrzymujesz relację z Anną. To pewnie dlatego jesteś taki zmęczony, nieprzytomny. Prowadzisz podwójne, może nawet potrójne życie. To męczące.

W każdym razie Anna zakłada na twoją prośbę skrzynkę mailową. Tylko ty masz do niej dostęp. I wysyłasz z niej wiadomość do Edyty. Nie znalazłem nigdzie dokładnej treści tego listu, ale jestem pisarzem. Jestem w stanie go odtworzyć.

„Cześć – piszesz, bo to dobry początek, jak każdy inny – nie znasz mnie, ale ja znam ciebie (delikatna groźba w pierwszym zdaniu, żeby podgrzać

atmosferę). Nazywam się Anna i zabrałaś mi faceta. Ale nie na długo. Pożyczę Arkowi pieniądze, których potrzebuje, nie mam ich jeszcze, ale wytrzasnę je choćby spod ziemi i Arek wtedy zobaczy, że naprawdę go kocham i naprawdę w niego wierzę. A TY NIE! Przejrzy wtedy na oczy! Zobaczy, na kogo naprawdę może liczyć. A wtedy zostawi cię! Zostawi cię! (Powtarzasz to dwa razy, żeby się utrwaliło). I wróci do mnie! A ty znowu będziesz sama! Sama jak palec!”. (Znowu powtórzenie, żeby dobrze to zapamiętała!)





A może przesadzam. Nigdzie nie znajduję informacji, żebyś miał jakiegokolwiek zdolności literackie. Może twój mail jest zwyczajny, suchy: „Cześć, jestem Anna. Była dziewczyna Arka. Zwrócił się do mnie z prośbą o pożyczkę. Ponieważ ciągle go kocham, pożyczę mu te pieniądze. Dzięki temu on do mnie wróci, bo zobaczy, że go kocham. A ciebie zostawi. Pozdrawiam, Anna!”.

Jakikolwiek był ten mail, odniósł zamierzony skutek. Edyta jest przerażona. Zaczyna szukać pieniędzy dla ciebie. W jednym z banków zaciąga kredyt w wysokości dwudziestu czterech tysięcy złotych. Z drugiego dokłada jedenaście tysięcy plus osiemnaście tysięcy pożyczki ekspresowej. W swojej firmie bierze dziesięć tysięcy pożyczki. Łącznie zdobyła sześćdziesiąt trzy tysiące. Dużo, ale ciągle za mało. Zaczyna chodzić po rodzinie i znajomych. Jedna z jej ciotek daje jej dziesięć tysięcy. Od siostry i przyjaciół dostaje kolejne trzynaście tysięcy. Łącznie ma osiemdziesiąt sześć tysięcy. Więcej niż prosiłeś. Obiecujesz, że oddasz nie później niż do piętnastego listopada. Edyta to samo obiecuje swojej rodzinie i znajomym.

Osiągnąłeś swój cel. Dostałeś pieniądze. Część przelewem na konto. Resztę w gotówce. Ale to jeszcze koniec, prawda? Czas na ostatni etap twojego polowania.

## 7.

Wynajmujesz kawalerkę w Warszawie. Właścicielka jest zdziwiona, bo według dowodu jesteś zameldowany w stolicy. Wymyślasz na szybko historię o tym, że pracujesz dla firmy informatycznej w Łodzi, która oddelegowała cię do Warszawy. Ale tutaj mieszkasz z rodzicami i młodszym rodzeństwem. W takich warunkach nie da się pracować w spokoju. Dlatego firma dała ci pieniądze, żebyś mógł wynająć mieszkanie tylko dla siebie. Szczególnie że – dodajesz jeszcze – równocześnie piszesz pracę magisterską.

Właścicielka kiwa głową ze zrozumieniem. A może tylko udaje. Ale to przecież nie jej sprawa. Taka hojna firma wydaje się jej może podejrzana, ale w sumie ważne jest tylko to, żeby pieniądze wpływały na konto. A ty się nie targujesz. Od razu zgadzasz się na podaną przez nią cenę.

Masz tylko jedno pytanie – o meblościankę. Stara, dość duża. Pytasz, czy możesz się jej pozbyć. Właścicielka się zgadza. Chce ci nawet w tym pomóc, ale ty odmawiasz. Dasz sobie radę sam. Właścicielka wzrusza ramionami. Dla niej to nawet lepiej.

Dzwonisz do Edyty. Mówisz, że jedziesz do Kostrzyna odebrać części ze składu celnego. Kawał drogi. Nie będzie cię cały dzień. Ona rozumie. Na pewno jest podekscytowana. To teraz decyduje się wasza przyszłość. Wieczorem wysłała ci jeszcze maila: „Kocham cię, kochanie moje,

najmocniej na świecie”.

Edyta spotyka się ze znajomymi w knajpce na placu Bankowym. Zdradza, że planujecie ślub. Prosiłeś ją, żeby tego nie robiła, ale ona nie wytrzymuje. Jest szczęśliwa, jest zakochana, a poza tym ślub tuż, tuż. Po co to ukrywać? Jej koleżanki są zaskoczone. Minęły niecałe dwa miesiące od pierwszego spotkania. Jedna z nich powie potem, że wyglądało to jak kiepska telenowela. Ale liczyła na to, że zakończenie będzie jak z bajki.

Jej znajomi, jej koleżanki, jej rodzina. Myślę, że wszyscy bardzo ją kochali. Że mieli jakieś obawy, jakieś podejrzenia, ale odkładali je na bok, zaciskali kciuki i życzyli jej wszystkiego najlepszego.

W pewnym sensie ich również zaślepiła miłość.

## 8.

Wreszcie nadchodzi ten dzień. Co czujesz? Podniecenie? Spokój? Zdziwienie, że to tak szybko, że to już? Może trochę żałujesz, może trochę się boisz. Ale obiecałeś jej, że zwrócisz pieniądze do połowy listopada, a to już za parę dni.

Nie możesz czekać.

To może na początek fakty. Te bezsporne. Dziewiątego listopada dzwonicz do Edyty. Opowiadasz, że jesteś w Kostrzynie, że właśnie odebrałeś ze składu celnego części. Wszystko idzie zgodnie z waszym planem. Tylko że w tym czasie byłeś w Warszawie. Nie ma żadnych części. Nie ma żadnego składu celnego. Nie ma po co jechać do Kostrzyna.

Dziesiąty listopada. Dzień przed długim weekendem. Edyta rozmawia przez Gadu-Gadu ze swoją przyjaciółką. Opowiada, że wczoraj się z tobą nie widziała. Wróciłeś późno z Kostrzyna (do którego w ogóle nie wyjeżdżałeś), byłeś zmęczony. Ale dzisiaj wieczorem jesteście umówieni na romantyczną kolację, a potem macie wspólnie wyjechać na weekend. A w następnym tygodniu pójdziecie wybierać suknię ślubną.

Dziwny pomysł: oglądać suknie ślubne razem z przyszłym mężem. Ale ta cała historia była tak szalona, że Edyta pewnie nawet nie zwróciła na to uwagi.

Wychodzi z pracy o godzinie 16. Jeszcze o 16.47 rozmawia przez telefon z kolegą z pracy. Nie wiem, o czym, ale wiem, że kończy, mówiąc, że

dojeżdża do ciebie. Jeszcze ty zadzwonisz do niej minutę przed siedemnastą. Wasze telefony logują się w zasięgu tego samego nadajnika.

Nikt z nią więcej nie rozmawiał.

Nikt jej więcej nie widział.

## 9.

A teraz opowiem ci, jak zabiłeś Edytę, dobrze? Oczywiście, to tylko jakaś moja wizja. Pisarska rekonstrukcja wypadków. Może się różnić w szczegółach. Jakby co, możesz się ze mną skontaktować przez wydawnictwo. Powiedzieć, gdzie się pomyliłem. Opowiedzieć, jak to wyglądało naprawdę. Bo póki co, skazujesz nas, mój lwie, na takie właśnie domysły.

- Cześć – powiedziała Edyta, kiedy otworzyłeś drzwi.

- Cześć, gwiazdko – odpowiadasz.

Edyta przytula się do ciebie. Czujesz zapach jej perfum. Woń szamponu do włosów. Jest ładnie umalowana. Chce ładnie wyglądać dla ciebie. Pewnie jeszcze w pracy, przed wyjściem, poprawiała makijaż w firmowej łazience.

Całuje cię. Mocno. Namiętnie. Czujesz jej język w swoich ustach. Jest stęskniona. Napiera na ciebie całym ciałem. Oddajesz pocałunek, ale równocześnie delikatnie ją odpychasz. Nie chcesz, żeby dzisiaj sprawy zaszły za daleko.

Edyta robi zmartwioną minę. Czuje ukłucie niepokoju. Coś jest nie tak. Żeby ją uspokoić, całujesz ją jeszcze raz i głaszczesz po ramionach. A potem rzucasz uniwersalną wymówkę każdego faceta, która zawsze wszystko tłumaczy.

- Zmęczony jestem.

Edyta oczywiście ci wierzy. Uśmiecha się promiennie. Podnosi rękę, w której trzyma butelkę merlota.

- Przyniosłam wino.

- Wspaniale – odpowiadasz i zabierasz od niej alkohol. – Chodź, pokażę ci mieszkanie.

Wpuszczasz ją do środka. Prowadzisz do pokoju. Nie wygląda specjalnie reprezentacyjnie. To ciągle tylko kawalerka z wielką meblościanką. Może widzisz lekkie rozczarowanie na jej twarzy, więc zaczynasz się tłumaczyć.

– To tylko na początek. Zanim nie skończymy interesu i nie zbierzemy pieniędzy. Wtedy kupimy prawdziwe mieszkanie. Większe. Dla naszej całej rodziny – mówisz trochę za szybko, za dużo. Pocą ci się ręce.

Ona odwraca się i widzisz, że znowu się uśmiecha. Patrzy na ciebie z uwielbieniem. Wierzy w każde twoje słowo. W każde twoje kłamstwo. Czujesz wtedy do niej tylko pogardę, nienawiść. Pewnie powtarzasz sobie w myślach, że to w sumie wszystko jej wina. Mogła nie odpowiadać na twoją wiadomość. Mogła nie wierzyć w każde twoje kłamstwo. Mogła nie być taka łatwowierna. Właściwie to nie dała ci wyboru, prawda?

I wtedy ją zabijasz.

Przepraszam, ale nie mam siły, żeby wymyślać opisy, w jaki sposób to zrobiłeś. Wydaje mi się, że byłoby to nieprzyzwoite. Wręcz pornograficzne. Coś się we mnie spina, wnętrzości się skręcają na samą myśl o tym. Dlatego odpuścimy sobie ten fragment. Ale powtarzam raz jeszcze: gdybyś TY miał ochotę opowiedzieć, jak to zrobiłeś – czekam.

W aktach nie znalazłem żadnych informacji o śladach lub odgłosach walki. Żaden z sąsiadów niczego nie zgłaszał. Możemy więc przypuszczać, że zrobiłeś to szybko. Z zaskoczenia. Na pewno zrobiłeś to z zaskoczenia, przecież ona cię kochała! Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłbyś jej zrobić coś złego.

Mam nadzieję, że nie cierpiała. Przynajmniej tyle. Powiedz nam, że nie cierpiała.

Wróćmy do rekonstrukcji.

Stoisz na chwiejnych nogach, a przed tobą leży jej martwe ciało. Jesteś cały spocony. Serce bije ci jak młotem. Chcesz uciekać, ale wiesz, że nie możesz. Za daleko zabrnąłeś. Musisz doprowadzić swój plan do końca.

Zaciągasz Edytę do łazienki. Tam ją zostawiasz. Zamykasz starannie drzwi za sobą. Potem kładziesz się na chwilę na kanapie, żeby zastanowić się, co dalej. Zabijanie jest męczące, więc nawet nie wiesz, kiedy zamykają ci się oczy.

Budzisz się po godzinie. Początkowo nie wiesz, gdzie jesteś ani co się dzieje. Podnosisz się z kanapy. Idziesz do łazienki i prawie przewracasz się o zwłoki Edyty. Może nawet z ust wydobywa ci się krótki okrzyk. Ale szybko dochodzisz do siebie. Przypominasz sobie, co zrobiłeś, i wiesz już, że przed

tobą pracowite kilkanaście godzin.

Wyciągasz z szafy torbę z narzędziami. Są tam noże, brzeszczoty, piły. Na podłodze w łazience rozpościerasz folię malarską i zaczynasz pracę. Rozbierasz Edytę i kroisz ciało na kawałki. Jesteś zdumiony, że mięśni jest tak dużo, że kości są takie twarde, że wylewa się z niej aż tyle krwi. Od słodkiego, nieprzyjemnego zapachu kręci ci się w głowie. Co pewien czas musisz przerywać. Wracasz do pokoju. Oddychasz głęboko. Starasz się uspokoić.

W niczym teraz nie przypominasz lwa.

Kiedy pokroiłeś już ciało, pora się go pozbyć. Rozbierasz meblościankę. Wynosisz ją z mieszkania. A wśród szafek i desek ukrywasz ciało Edyty. Wydaje ci się, że to bardzo sprytny pomysł. Z bólem i obrzydzeniem muszę przyznać, że masz rację. Do dzisiaj jej nie znaleziono. Nawet jednej jej kości, nawet jednego fragmentu ciała. Kilka lat temu wydawało się, że natrafiono w końcu na jej ślad. Z Wisły wyłowiono kobietą czaszkę. Badania pokazały jednak, że nie należała do Edyty.

Potem zabierasz się za sprzątanie mieszkania. Używasz mocnych środków czyszczących. Dokładnie wszystko wycierasz po kilka razy. Zbierasz każdą drobinę krwi. Odkurzasz. Zapach detergentów jest tak mocny, że otwierasz szeroko okna. Inaczej byś się udusił. Łzawią ci oczy.

Te otwarte okna zwracają uwagę sąsiadów. Jest listopad. Zimno. Boją się, że przez ciebie zamarznie im woda w rurach. Dzwonią więc do właścicielki mieszkania. Ona dzwoni do ciebie.

– Jestem chory na astmę. Muszę dużo wietrzyć, inaczej źle się czuję – tłumaczysz kobiecie i pewnie jesteś zdziwiony, że ciągle potrafisz tak szybko i dobrze kłamać.

Wkrótce jest już po wszystkim. Mieszkanie jest czyste. Jesteś pewien, że nie został w nim żaden ślad, żadna wskazówka, która mogłaby powiedzieć śledczym, co tutaj się wydarzyło. Edyty nie ma. Zniknęła. Ty dostałeś swoje pieniądze. Już po wszystkim, mówisz sobie, i oddychasz z ulgą.

Skończyłeś swoje łowy, mój lwie.

## 10.

A potem było tak.

Przyjaciółka Edyty w weekend dzwoni do niej kilka razy. Kobieta nie odbiera, ale to jeszcze nie budzi podejrzeń. Przecież niby wyjechaliście na romantyczny wypad za miasto. Cieszycie się swoim towarzystwem. Robicie to, co robią w takich chwilach zakochani. Nic więc dziwnego, że Edyta nie ma głowy, żeby odebrać lub oddzwonić.

Przyjaciółka zaczyna się niepokoić dopiero w niedzielę. Edyta powinna być już w Warszawie. Obie kobiety są sobie naprawdę bliskie. Przyjaciółka jest pewna, że Edyta chętnie by jej opowiedziała o tym, jak spędziła czas ze swoim wymarzonym księciem z bajki. Ale zaraz się uspokaja. Pewnie dopiero niedawno wróciliście. Edyta jest zmęczona. Odpoczywa. A może ciągle jesteście w drodze.

Przyjaciółka dzwoni do Edyty w poniedziałek i historia się powtarza. Postanawia więc skontaktować się z siostrą Edyty. Ale ona również nie ma od niej żadnej wiadomości. Nie wie, gdzie jest jej siostra. Przyjaciółka wybiera więc numer firmy, w której pracuje Edyta, i tam dowiaduje się, że dziewczyna nie przyszła do biura. Nie poinformowała o powodach nieobecności, nie zgłosiła L4. Teraz przyjaciółka jest naprawdę zaniepokojona. Edyta jest bardzo sumienna i obowiązkowa. Nie pozwoliłaby sobie na takie zachowanie. Coś musiało się stać.

Przyjaciółka wraz z siostrą Edyty rozpoczynają poszukiwania.

Jedna z nich dzwoni do ciebie. Jesteś tym zaskoczony. Zdenerwowany. Tyle raz prosiłeś Edytę, żeby nikomu o tobie nie mówiła. Tyle razy jej to powtarzałeś. A ona nie posłuchała. Nie dość, że opowiedziała o tobie wszystkim dookoła, to jeszcze podała twój numer. Myślisz sobie, że dobrze się stało, że ją zabiłeś. Należało się jej.

Pytają cię, czy wiesz, gdzie jest Edyta. Zaprzeczasz. Opowiadasz, że jej nie widziałeś. Tak, mieliście razem wyjechać na weekend, ale nie pojawiła się. Odwołałeś więc wycieczkę. Nie masz pojęcia, co się z nią stało. Wyrażasz zaniepokojenie.



Potem wspólnie idziecie na komisariat, żeby zgłosić zaginięcie. Przyjaciółka, siostra i ty. Postanawiasz odgrywać zatroskanego narzeczonego. Zresztą nie masz innego wyjścia. Ale wiesz co? Tym razem kiepsko ci to wychodzi. Albo straciłeś umiejętność kłamania, albo pewność siebie. Może ta sprawa zaczyna cię przytłaczać. Może po raz pierwszy w twojej głowie pojawiła się myśl, że popełniłeś błąd. W każdym razie przez cały czas trzymasz się z boku. Rzadko się odzywasz. Wydajesz się nieobecny, a cała sprawa jakby cię nie obchodziła. W tym momencie ratują cię dwie rzeczy. Po pierwsze, policja nie kwapi się z rozpoczęciem poszukiwań. Edyta to nie dziecko, ale dorosła kobieta. Miała prawo wyjechać, wyłączyć telefon, nie kontaktować się z krewnymi i koleżankami. Takie rzeczy się zdarzają. Trzeba dać jej czas. Policjanci proszą was,



żebyście wrócili, jeśli Edyta nie odezwie się w najbliższym czasie. Druga rzecz to zaufanie, jakie zazwyczaj mamy do innych ludzi. Człowiek jest z natury ufny. Tak po prostu. Trudno żyć, nie wierząc innym, zastanawiając się nieustannie, kto cię oszuka, zakładając, że ludzie mają najgorsze intencje. Dlatego pomimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które oglądamy w telewizji i o których czytamy w gazetach, wierzymy, że ludzie są dobrzy. Że nie zrobią nam nic złego, nie oszukają nas, nie okradną, nie zabiją. Czujemy też jakąś psychiczną barierę przed oskarżaniem innych. Dlatego – mimo twojego dziwnego zachowania, milczenia, nieobecnej miny – ani przyjaciółce, ani siostrze Edyty nie przychodzi nawet do głowy, że mogłeś zrobić dziewczynie coś złego.

Przynajmniej jeszcze nie wtedy.

## 11.

Potem wszystko zaczyna się sypać. Wczytuję się w akta i z zafascynowaniem odtwarzam ten proces. Bo to dzieje się bardzo powoli. Ale z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień pętla wokół ciebie zaczyna się zaciskać. Są jednak momenty, kiedy staje się luźniejsza, kiedy wydaje się, że już, już, za chwilę, uda ci się z niej wyślizgnąć. Można odnieść wrażenie, że cały aparat sprawiedliwości – policja, prokuratura – bawił się z tobą okrutnie. Torturował, dając złudną nadzieję, że ujdzie ci to wszystko na sucho.

Oczywiście nie myśl, że cię żałuję.

Zacznijmy od samochodu, którym przyjechała do ciebie Edyta. Przez kilka dni stał przed blokiem, w którym wynajmowałeś kawalerkę. Spisałeś umowę, zgodnie z którą kobieta sprzedawała ci wóz. Po co przyszła żona miałaby sprzedawać samochód przyszłemu mężowi? Nie wiadomo. Ale chyba zacząłeś lekko panikować, bo pojechałeś nim do Anny. Tej od maila. Tej, która jakoby była tylko zwykłą lalką Barbie. Tej, o której mówiłeś – oczywiście nie przy Edycie – że jest ideałem kobiety. Tej, której twarz wklejałeś w programach graficznych na pornograficzne zdjęcia (taki drobny, ale smakowity szczegół z akt sprawy). Krótko mówiąc, pojechałeś do Anny i chciałeś go jej podarować. Anna zwróciła uwagę, że samochód jest niezwykle czysty, a ty... cóż..., oględnie rzecz ujmując, nie przywiązywałeś wielkiej uwagi do utrzymywania porządku. Anna nie przyjęła podarunku.

Nie chciała też wziąć na przechowanie żadnego z dwóch plików banknotów po trzydzieści tysięcy każdy. Jak się domyślasz, nie miała jednak oporów, żeby potem powiedzieć o tym śledczym...

Sporządzasz kolejną umowę, według której pożyczyłeś Edycie trzydzieści tysięcy złotych. Prawdopodobnie chciałeś w ten sposób wytłumaczyć, dlaczego na początku listopada kobieta przelała pieniądze na twoje konto. To w pewien sposób zabawne, że nawet twoja matka przyznała w śledztwie, że nie ma najmniejszych szans, żebyś kiedykolwiek dysponował taką kwotą.

Zaczynasz płatać się w zeznaniach. Policjantom mówisz, że kochałeś Edytę. Jej znajomym opowiadasz, że prawie jej nie znałeś. Że właściwie łączyło was tylko te trzydzieści tysięcy złotych, które niby jej pożyczyłeś. Raz twierdzisz, że widziałeś Edytę po raz ostatni 10 listopada między godziną siedemnastą a osiemnastą przy alei Wojska Polskiego. Ale już kilka dni później nie potrafisz precyzyjnie powiedzieć, kiedy się spotkaliście. Nie masz jednak wątpliwości, że na placu Wilsona. Potem utrzymujesz, że na ulicy Żeromskiego. Później podajesz jeszcze inny adres.

Policjanci przeszukują twoje mieszkanie (nie muszą dodawać, że to nie jest żaden apartament, prawda? Że mieszkasz z matką, a nie chorą ciotką?). Szokuje ich bałagan, który tam zastają. Jeden z policjantów mówił potem, że wyglądało to tak, jakby nikt nigdy tam nie sprzątał, a kiedy coś upadło, to już zostawało w tym miejscu. Warstwy brudu i śmieci nakładały się, tworząc niemalże stanowisko geologiczne. Ale tam właśnie trafiają na ślad wynajmowanej przez ciebie kawalerki. Matka jest zdziwiona, kiedy się o tym dowiaduje. Powtarza, że nie miałaś pieniędzy, że nie stać cię na samodzielne wynajęcie mieszkania. Policjanci jadą do kawalerki. Tam po raz kolejny doznają szoku. Wszystko aż lśni czystością. Po tym, co zobaczyli w twoim domu, wydaje im się to podejrzane. W kawalerce nie ma żadnych twoich rzeczy, jedzenia, przyborów toaletowych. Nawet lodówka nie jest podłączona do prądu. Za to znajdują buteleczkę perfum Chanel – a takich używała Edyta – i zielone etui z bransoletką z przywieszką, która należała do dziewczyny.

Zostajesz zatrzymany po raz pierwszy, ale po czterdziestu ośmiu godzinach prokuratura postanawia zwolnić cię z aresztu.

Do policji zgłaszają się właściciele mieszkania. Mówią, że lokal wygląda na nieużywany, ale na suficie w łazience zauważyli smugę, jakby ktoś coś

wycierał lub zamalowywał. No i fugi, świeżo położone, są odbarwione, jakby ktoś je czyścił silnym środkiem.

Funkcjonariusze decydują się na kolejne przeszukanie kawalerki. Szczególnie skrupulatnie badają łazienkę. Rozbierają na części kabine prysznicową, gdzie znajdują brunatną ciecz w syfonie odpływowym – podobnie jak w syfonie pod zlewem kuchennym – przebarwienia na fugach i włosy. Odkrywają mnóstwo śladów krwi na dywaniku łazienkowym. Tym samym dywaniku, który tak intensywnie prałeś. Ślady dostają do badań biegli. Ustalają dwie najważniejsze rzeczy: krew należała do Edyty, a było jej zbyt dużo, by mogła znaleźć się tam w sposób naturalny.

W tym momencie te wszystkie książki, które znaleziono u ciebie w domu – opowieści o seryjnych zabójcach, podręczniki kryminalistyki, które tak starannie wertowałeś – są już tylko ciekawym dodatkiem. Prokuratura jest pewna, że zabiłeś Edytę. Zostajesz zatrzymany.

Przyśpieszę trochę narrację, bo nie ma sensu opisywać długich lat sądowych batalii. Do dzisiaj nie znaleziono ciała. Nie przyznałeś się też do winy. Proces ma więc charakter poszlakowy. To zawsze trudne sprawy. Brakuje bezpośrednich dowodów, takich jak zeznania naocznych świadków. Poszlaki to tak zwane fakty uboczne, co do których nie ma żadnych wątpliwości, ale które nie wskazują wprost, że przestępstwa dokonała dana osoba. Jednak pozwalają one na wnioskowanie o okolicznościach przestępstwa. Żeby skazano kogoś w procesie poszlakowym, to poszlaki muszą utworzyć łańcuch, z którego jednoznacznie będzie wynikać wina oskarżonego. Przyznasz, że to dość skomplikowane. Takie też były twoje procesy. Ale wreszcie w 2014 roku sąd stwierdził, że logika faktów prowadzi do wniosków, iż 10 lub 11 listopada zabiłeś Edytę w wynajętym mieszkaniu i zatarłeś ślady. Działałeś w zamiarze bezpośrednim i starannie zaplanowałeś zbrodnię.

W tej sytuacji wyrok mógł być tylko jeden – dożywocie.

W 2017 roku Sąd Najwyższy oddalił wniosek o kasację.

## 12.

Przyjrzyjmy się teraz twoim kłamstwom, mój lwie, dobrze? Bo opowiedziałeś wiele kłamstw. O kilku z nich już wspominałem, ale zbierzmy je wszystkie w jednym miejscu.

Nie masz nic wspólnego ze znanym reżyserem o tym samym nazwisku. Twoi rodzice nie są bogaci i nie mieszkają we Włoszech. A ty nie mieszkasz z chorą ciotką w apartamencie. Razem z matką zajmujesz lokal spółdzielczy. Od lat nie płacicie czynszu, więc wyznaczono już termin eksmisji.

Nie masz własnej firmy. Rozdajesz co prawda wizytówki, na których pod twoim nazwiskiem widnieje dumnie funkcja „wiceprezes”, ale to kolejne kłamstwo. Twoja mama nie jest lekarką, ale rejestratorką w szpitalu.

Nie jesteś studentem na Wydziale Prawa i Administracji, ale słuchaczem zaocznych studiów na kierunku administracja w Wyższej Szkole Menedżerskiej. Nie masz stałej pracy. Nie spłacasz debetu ani kredytu bankowego, który zaciągnąłeś na zakup samochodu. Wisi nad tobą egzekucja komornicza.

Łącznie twoje zobowiązania przekraczały siedemdziesiąt dwa tysiące złotych. Niemal tyle, ile wyłudziłeś od Edyty.

Nie byłeś żołnierzem. Nie służyłeś w Legii Cudzoziemskiej. Nie byłeś na Bałkanach. Nie poznałeś „tajników życia i zabijania”.

I jeszcze jedna rzecz, o której nikomu nie mówiłeś. Jesteś rozwodnikiem. Twoje małżeństwo rozpadło się w zaskakująco nudnych okolicznościach. Twoja była żona twierdzi, że po prostu oddaliliście się od siebie. Tyle. Żadnych wielkich awantur, dramatycznych historii, wzywanej policji, przemocy. Była miłość, miłość się skończyła. I tyle. Przyznała jednak, że często kłamałeś, mój lwie. I czasami zachowywałeś się dość dziwnie. Na przykład spałeś z siekierą lub nożem pod materacem. Tłumaczyłeś, że boisz się napadu. Ale wiesz co? Ja myślę, że wcale się go nie bałeś. Myślę, że na niego czekałeś. Że często pragnąłeś, żeby ktoś włamał się do waszego mieszkania. Groźny rabuś, straszny rzezimieszek. A ty wtedy stajesz naprzeciwko niego z siekierą i odpierasz napaść.

Chciałeś zrobić coś wielkiego. Chciałeś coś pokazać, coś udowodnić. Chciałeś być bohaterem.

Lwem.

Zastanawiam się, co by się stało, gdyby wtedy twoje marzenie się spełniło? Czy Edyta dalej by żyła?

Minęło wiele lat. Jest słoneczny czerwiec. Upał daje się wszystkim we znaki. Później dowiem się, że to był najcieplejszy czerwiec w historii. Teraz siedzimy na tarasie domu jednorodzinnego. Jest przyjemnie, bo zrobiło się odrobinę chłodniej. Okolica tonie w zieleni. W takich okolicznościach chciałoby się wyciągnąć na leżaku z dobrą książką i po prostu odpocząć. Ale nie mogę tego zrobić. Jestem w pracy. Wokół mnie krąży ekipa filmowa. Powoli rozkładają sprzęt. Operator szuka odpowiedniego kadru. Ma problem, bo taras nie jest duży. Trudno mu odpowiednio ustawić kamerę. Widzę, że dźwiękowiec kręci nosem. Przeszkadza mu hałas startujących samolotów, bo niedaleko jest lotnisko.

Nagrywam program o tym, jak zabiłeś Edytę.

Naprzeciwko mnie siedzi jej przyjaciółka. Zgodziła się udzielić nam wywiadu.

Wreszcie wszystko jest gotowe. Producentka daje nam znak, że możemy zaczynać.

Rozmawiamy przez około pół godziny. Przyjaciółka opowiada nam o Edycie. O tym, jaka ona była. Jak ciebie spotkała. A następnie o tym, jak zniknęła i jak zaczęli jej szukać. O tym, jak zobaczyła cię po raz pierwszy. A także o tym, jak bolesna jest każda wizyta na cmentarzu. Bo przypomina, że do dzisiaj nie znaleziono ciała Edyty. Mimo upływu lat, mimo wyroku dożywocia, wciąż nie powiedziałeś, co z nim zrobiłeś. Odmówiłeś jej rodzicom, jej bliskim, tej jednej małej łaski. Dlaczego? Ta historia się przecież skończyła. Nic się nie zmieni?

Krążę wokół jednego pytania. Jednej kwestii. Edyta w opowieściach bliskich to atrakcyjna kobieta, pewna siebie, otoczona gronem znajomych, z udaną karierą zawodową. Mocno stoi na nogach. Panuje nad swoim życiem. Dlaczego dała ci się oszukać? Dlaczego uwierzyła w każde twoje kłamstwo? Dlaczego w jej głowie nie uruchomił się żaden dzwonek alarmowy?

Poznaję odpowiedź – bo Edyta miała wszystko, ale brakowało jej miłości.

Tak po prostu.

I nagle wszystko rozumiem. Nie jesteś żadnym lwem. Nie jesteś łowcą. Jesteś pasożytem. Jednym z tych, który podstępnie wkrada się do ciała żywiciela, żywi się jego krwią, mięśniami, odbiera mu całą energię,

a wreszcie zabija. Często zresztą ginie razem z nim. Nie ma w was wiele inteligencji, tylko dzika potrzeba żerowania i niszczenia.

Zazwyczaj ofiara jest w stanie z łatwością się przed tobą obronić. Tak jak ponad setka kobiet, które zaczepiłeś na portalu randkowym. Wystarczy strzepnąć cię z ramienia. Rozgnieść paznokciem. Wyrzucić z obrzydzeniem do ubikacji i spuścić wodę.

Ale ty trafiłeś na ofiarę z otwartą raną w sercu.

Nie miała żadnych szans.

Pasożyt.

#### **14.**

Powiedz rodzinie, co zrobiłeś z ciałem Edyty.

Proszę.

P.S. Przy pisaniu opowiadania korzystałem z akt sprawy oraz artykułu „Ona go kochała, on ją zabił” Piotra Machajskiego, Magazyn Stołeczny Gazeta Wyborcza.

.

OPOWIEM CI  
O ZBRODNI

914

PR016AC

ALFA-ROMEO

FUJI 2

PRO16AC







# **GDY PISANA NAM ŚMIERĆ**

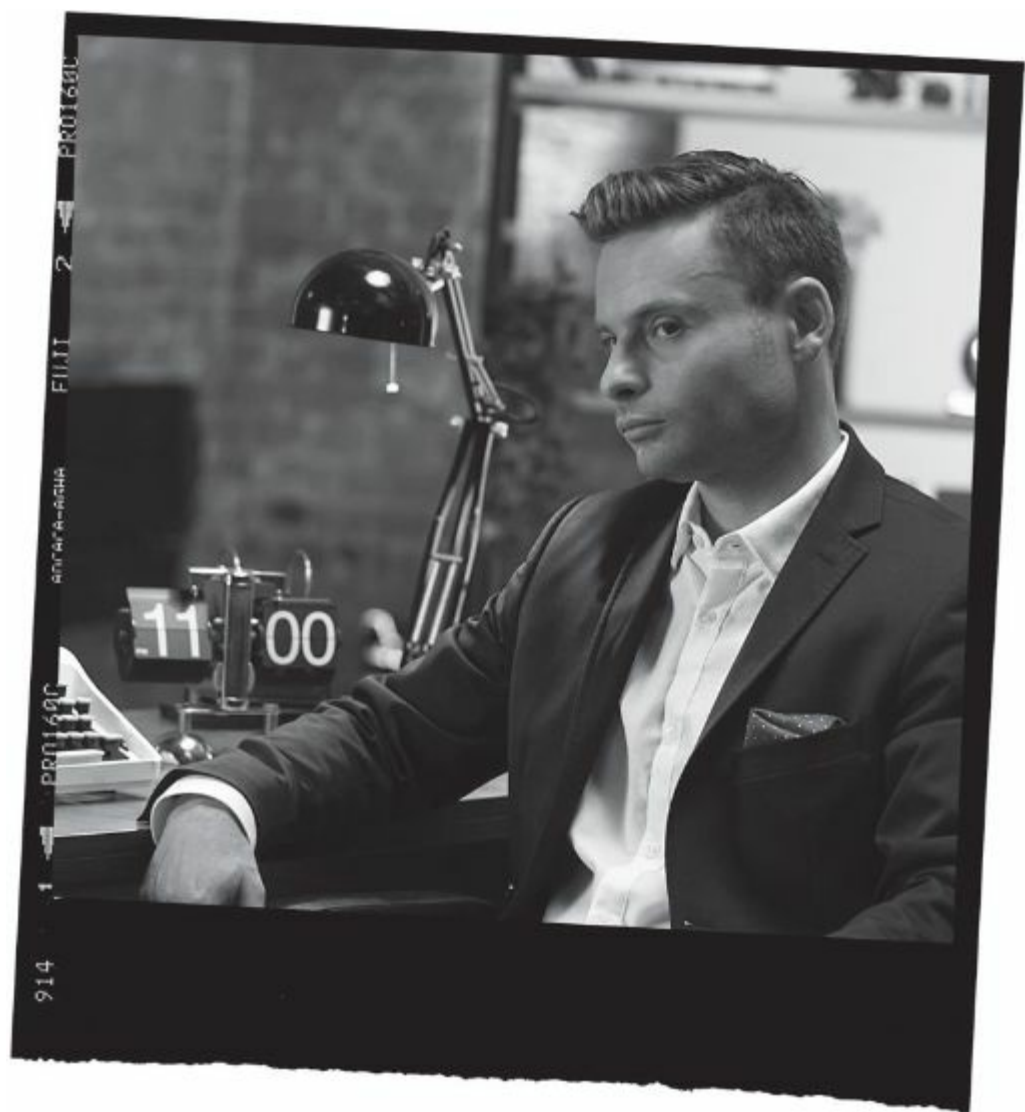
**MAX  
CZORNYJ**

## MAX CZORNYJ

Urodzony w 1989 roku. Bestsellerowy autor mrożących krew w żyłach kryminałów. Doskonale wie, jak budować napięcie i stworzyć prawdziwie morderczy klimat. Napisał cykl thrillerów o walczącym z seryjnymi mordercami komisarzu Eryku Deryle: *Grzech*, *Ofiara*, *Pokuta* i *Trauma*. Pozostałe jego powieści to *Inna*, *Najszczęśliwsza*, *Rzeźnik* oraz *Ślepiec*. Jest też autorem scenariusza serialu audio – *Terror*. Choć zadebiutował pod koniec 2017 roku, to łączny nakład jego książek sięga już setek tysięcy egzemplarzy.

Z zawodu adwokat, praktykujący w Polsce i we Włoszech. Lubi stare wino, pleśniowe sery i samochody bez dachu. Pasjonuje go broń czarnoprochowa – rewolwery Colta i Remingtona.

Kolekcjonuje antyki, głównie sztychy, zegary, zegarki i zabytkowe meble..



914

ПРОФИЛ

ангара-агаа

ФИЛМ 2

ПРОФИЛ

*Nasze namiętności często stają się naszym nieszczęściem.*

*Zygmunt Freud*

Kurtyna w dół

To była kolejna duszna noc po jeszcze duszniejszym dniu. Mimo otwartych okien powietrze stało w miejscu. Firanka wisiała zupełnie nieruchomo. Hieronim K. obrócił się na bok i zapalił stojącą przy łóżku lampkę. Zerknął na stary, nakręcany budzik. Dochodziło wpół do pierwszej.

Mężczyzna przeciągnął się i wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Odkąd się położył, nie przespał nawet minuty. Mimo że po ciężkim dniu był zmęczony, upał całkowicie pozbawił go ochoty na sen. W takie noce dobrze siedziało się na dworze i paliło papierosy. Albo popijało wódkę. Takie noce należało przeżyć, a nie przespać. Poza tym i tak czekała go robota.

Hieronim K. zwał się z łóżka i zgasił lampkę. Na bosaka doszedł do niewielkiego przedpokoju, w którym pachniało nagrzanym drewnem. Przekręcił zamek. Po omacku odszukał buty i otworzył drzwi. Przez chwilę stał w progu, licząc, że poczuje ożywczy powiew przeciągu. Nic takiego się jednak nie stało. Powietrze na podwórzu stało tak samo nieruchomo jak w domu. Miało zapach wyłożonych suchych traw i pyłu. Przede wszystkim pyłu. Każdy, kto mieszkał w podobnej wsi, wiedział że pył ma wyjątkowy zapach.

Niebo było pogodne i przecinał je wyraźny szlak Drogi Mlecznej. Księżyc dopiero wschodził. Miedziane półkole wisiało tuż nad dachem obory. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Odpowiedziało mu leniwe ujadanie kilku innych. W zastygłym powietrzu wszystkie odgłosy wydawały się spowolnione i tubalnie niskie. Liście drzew nawet nie drgały. Od tygodnia oblepiała je susza.

Mężczyzna wziął głęboki oddech. Ciężkim krokiem ruszył w stronę obory. W pół drogi dostrzegł smugę światła przebijającą zza worka jutowego zasłaniającego jedno z okien. Użył go, aby jałówki spały jak najdłużej.

– Cholera – zaklął. – Niech to szlag.

Był zły, że znów zapomniał je zgasić. Zdarzało się to rzadko, ale zawsze

miał o to do siebie pretensję. Nie znosił niedbalstwa. Nie znosił zbędnych wydatków. Nie znosił świadomości, że czegoś nie dopilnował. Jego gospodarstwo zawsze powinno świecić przykładem.

Ale...

Mężczyzna zmrużył oczy. Zbliżając się do obory, zauważył, że drzwi są uchylone. Za każdym razem zamykał je na metalową zasuwę. Robił to odruchowo. Zapalone światło mógł zrzucić na karb tego, że po coś wrócił, a potem zapomniał nacisnąć przełącznik, ale drzwi? Musiał je zamknąć. Tym bardziej że w środku zostawił nieprzywiązaną krowę. Doskonale to pamiętał. Chciał, aby w taki zaduch mogła rozprostować kości.

– Cholera... – powtórzył do siebie, jakby to mogło mu dodać animuszu.

Miał czterdzieści cztery lata i nigdy wcześniej nie zdarzyło się nic podobnego. W okolicy nie grasowali złodzieje, a sąsiedzi w najgorszym razie starali się nie wchodzić sobie w paradę. Nie było szczególnych animozji ani przesadnych sporów między gospodarzami. We wsi wszystko toczyło się swoim powolnym, naturalnym tempem. Jakby upał permanentnie trzymał okolicę w lepkich łapskach.

Poza tym Hieronim nie miał czasu na wdawanie się w żadne sprzeczki. Przedpołudniami pracował jako rozwoziciel mleka dla OSM-u w Zamościu, a te parę popołudniowych godzin starał się całkowicie wykorzystać na obrobienie gospodarstwa. Ludzie spracowani mogą mieć problemy ze snem, ale z pewnością nie miewają ochoty na stwarzanie sobie problemów. Hieronim gdzieś słyszał podobne słowa i często powtarzał tę myśl. Choć mogła to też być jego autorska koncepcja.

Mężczyzna podszedł do drzwi i zatrzymał się, nasłuchując. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Zerknął przez szeroką szparę. Nagle się cofnął.

Zdawało mu się, że jakiś cień przemknął po drugiej stronie.

Krowa.

Nieuwiązana krowa włóczyła się po oborze. To jasne.

K. nie miał czasu na wygłupy. Rano czekała go robota, więc nie mógł spędzić całej nocy, ćmiąc na podwórzu papierosy i patrząc w bezchmurne, nisko wiszące niebo. Musiał położyć się do łóżka, choćby miał nie zmrużyć oka do samego świtu. Oszukiwanie samego siebie jest lepsze od samobójstwa. To też gdzieś zasłyszał.

Energicznie pchnął drzwi obory i bez namysłu wszedł do środka. Nagle zastygł w bezruchu. Krowa stała kilka metrów od niego, w głębi po lewej stronie. To niemożliwe, by rzuciła cień, który przed chwilą przemknął przy drzwiach.

To nie mogła być ona.

Mężczyzna natychmiast zacisnął pięści i się rozejrzył.

Wtedy go dostrzegł.

W półmroku pod przeciwległą ścianą stał nagi, postawny mężczyzna. Miał rozłożone na boki ręce i ciężko dyszał. Jego członek był we wzwodzie. Spojrzenie rozbieganych, szalonych oczu zatrzymało się na Hieronimie.

Gospodarz gwałtownie się cofnął. Chwycił leżącą na ziemi metalową miskę i wyciągnął ją przed siebie jak tarczę. Zacisnął ją w dłoni, gotów się bronić. Naprężył mięśnie.

Nagle nagi mężczyzna rzucił się w jego stronę. W ostatniej chwili minął go i wybiegł na zewnątrz. Wydawał przy tym *dźwięki jakby nieludzkie – wycie, przerywane uderzeniami rąk o usta.*

Poznajcie Mariusza S. Mężczyznę, który w trakcie badania seksuologicznego stwierdził:

*Z krowami było dla mnie tak samo atrakcyjnie jak z kurami.*

Jeśli sądziliście, że jakaś fikcja jest niewiarygodna, to się myliliście. Nie ma bardziej niewiarygodnych historii od tych, które wydarzyły się naprawdę.

## **Inicjacja rozpaczy**

- Muszę się wysikać.
- Tylko szybko, bo idziemy dalej.
- Zaczekajcie na mnie.
- Zaczekamy, bo masz sznurek.

Najmłodszy, dziewięcioletni chłopiec pobiegł w stronę krzaków. Nazywał się Darek i razem z o rok starszym bratem Mariuszem oraz kilkoma kolegami bawili się w Janosika. Od godziny toczyli spór o to, kto zostanie

głównym hersztem. Główny herszt decydował o tym, jak się będą bawili. Do zmierzchu mieli jeszcze kilka godzin, a pula pomysłów do zrealizowania zdawała się niewyczerpana.

– Możemy się zmieniać – zaproponował jeden z chłopców. – Byle reszta się słuchała.

– Nie ma sensu słuchać się kogoś przez parę minut, a potem wydawać mu rozkazy – odezwał się Mariusz.

– To nie wojsko. W bandzie Janosika nie wydawano rozkazów.

– A co?

– Nie wiem, jak to się nazywało, ale na pewno nie rozkazy.



Mariusz wzruszył ramionami. Czekał, aż wróci Darek, żeby odegrać najlepszą scenę. Wciąż o niej myślał. Specjalnie dla niej wzięli z domu sznurek. Choć reszta chłopców wołała inne fragmenty serialu. Na przykład Janek. Wiecznie chciał odgrywać napad na ludzi hrabiego. Ze swoją chuchrowatą posturą, długimi i cienkimi jak patyki nogami oraz zapadniętą klatką piersiową mógł robić co najwyżej za jednego z parobków. A mimo to



dziewczyny zawsze go lubiły. Mariusz z zazdrością patrzył, że kiedy oni bawili się w Janosika, dziewczęta najbardziej zwracały uwagę właśnie na Janka. Może podobały im się jego długie, kręcone włosy?

Nieważne.

Liczyło się tylko, aby właściwie odegrać zaplanowaną scenę. Zresztą nie chodziło o odgrywanie. Mariusz chciał stać się prawdziwym Janosikiem i wszystkim pokazać, ile jest wart.

Jednak Darek musiał mu w tym pomóc. Wszystko mieli już obmyślane. Byli zgodni, że nie ma nic bardziej męskiego niż pójść na śmierć z kamiennym wyrazem twarzy. Do tego tak, by ukochana mogła to widzieć. W końcu samotne umieranie nie jest ani przyjemne, ani chlubne. Ale jeżeli mogą na nas patrzeć dziewczęta! Ten moment Mariusz wyobrażał sobie wiele razy. Wiele razy był Janosikiem stojącym na szafocie i spoglądającym bez cienia strachu prosto w oczy Maryny. Choć teraz nie wiedział, która z dziewcząt miałyby być jego Maryną. Nie zadawał się z żadną.

Czas to zmienić.

– Idziesz?! – krzyknął w stronę krzaków.

– Daj mu się wysikać – odezwał się chudzielec. – Zaraz znów będzie się kłócił, że chce być Janosikiem.

– Ja jestem starszy, więc to ja nim będę.

– Twoja mama mówiła, żebyś mu czasem ustępował.

– Moja mama wiele mówi.

Tak kiedyś powiedział jego ojciec. „Twoja matka wiele mówi”. I nie musiał przy tym dodawać, że skoro tak jest, to nie zawsze musi się jej słuchać. Postanowił, że teraz to on będzie Janosikiem. Choćby Darek miał się poskarżyć i ryczeć przez cały wieczór. I choćby Janek miał się obrazić, że nie będą odgrywać ataku na ludzi hrabiego. Tym razem postawi na swoim.

– Idziesz, do cholery?

„Do cholery” dorzucił przyciszonym tonem. Wolał, aby go nie usłyszeli żadni dorośli. Dość już miał z nimi problemów.

Darek znów nie odpowiedział. Droczył się z nim. Często tak robił, gdy się obraził. Po prostu się nie odzywał, jakby to miało mu zrobić różnicę. Mariusz najchętniej poszedłby teraz bez niego, ale jego brat miał sznurek. A bez sznurka nie mógł odegrać swojej sceny. Powinien sam go wziąć, lecz

miał dziurę w kieszeni.

– Pójdę po niego i idziemy.

– Jak chcesz.

– Właśnie, jak chcesz.

Obaj pozostali chłopcy najwyraźniej nie byli skorzy przystać na pomysły Mariusza. Był największy z nich i tylko dlatego nie chcieli mu się jawnie sprzeciwić.

– Ale odegrajmy atak! – nalegał chudzielec. – Dobra?

– Jeszcze odegramy – zapewnił Mariusz. – Mamy dużo czasu. Dopiero popołudnie.

– Odegrajmy go najpierw...

– Jeśli będziecie chcieli. – Udał, że nic go to nie interesuje. – Mnie wszystko jedno. Darek!

– Ile można sikać?

– Darek, chodź już!

Skoro pojawiła się szansa odegrania ataku na hrabiego, dwaj pozostali chłopcy również zaczęli się niecierpliwić. Chudzielec rzucił w stronę krzaków małym kamyczkiem.

– Schował się jak baba...

Mariusz wbił dłonie w kieszenie i bez słowa ruszył za bratem. Minął niewielkie klepisko, po czym obszedł oblepioną żółtym kwieciem forsycję. Zaraz za nią ciągnął się rząd niskich drzew owocowych. Ich korony również były obsypane kwiatami. Jednak od strony miejsca, w którym stali chłopcy, krzaki i chwasty niemal całkowicie je zasłaniały.

– Darek, nie rób sobie żartów! Nie mamy czasu, bo...

Mariusz odgarnął z twarzy giętką gałązkę i podniósł głowę. To, co zobaczył, miał zapamiętać do końca życia. Niemal wpadł na brata. Darek znajdował się w nienaturalnej pozycji. Miał opuszczone bezwładnie ręce, a nogami ledwie dotykał ziemi. Pod jego brodą obwiązany był sznur do bielizny, który chłopiec przerzucił przez gałąź. Krągła, zwykle blada twarz była teraz purpurowa i obrzmiała. Szeroko rozwarte oczy nabiegły krwią i patrzyły gdzieś w pustkę. Spomiędzy bladych, kontrastujących z resztą twarzy warg wysunął się język. Przypominał kawał tłustego mięsa, którego

chłopiec nie chciał przełknąć.

– Darek!

Mariusz nie miał odwagi podejść do brata. Nie wiedział skąd, ale miał pewność, że Darek nie żyje. Że to wiotkie, bezwładne ciało to już nie jest jego brat. Że to jedynie skorupa, którą zrzuciła jego dusza.

Poczuł mocz spływający po nogawce i ku kostce, ale nie zwrócił na to uwagi. Chciał znowu krzyknąć, lecz tym razem głos uwiązł mu w gardle. Zacharczał. Potem jego charkot zamienił się w niemal dziewczęcy pisk.

To mógł być początek. Tamtego dnia śmierć zjawiła się przy nim po raz pierwszy.

*Od tamtej pory wszystko się we mnie zamknęło. Wszystko dusiłem w sobie.  
Wcześniej jako dziecko łatwo nawiązywałem kontakty wśród rówieśników.  
Od tego czasu już nie.*

## **Matka zawsze wie**

Hela miała trzynaście lub czternaście lat i od dawna bardzo mu się podobała. Oczywiście nigdy jej o tym nie powiedział. Często bez słowa obserwował, jak się bawi. Kiedyś nawet puścił do niej oko, a innym razem bez słowa dał jej zerwany na polu kwiatek. Inni chłopcy ciągle się z niego nabijali. Wszyscy wiedzieli, że Mariuszek kocha się w Heli. Wszyscy oprócz niego. Podobanie się a miłość to były dwie różne rzeczy. Tak brzmiała jedna z nielicznych mądrości, które usłyszał od matki.

Nigdy nie odważyłby się zagadnąć Heli. Często fantazjował, że z nią rozmawia, że trzymają się za ręce i śmieją. Był wtedy bohaterem. Mógł wyobrazić sobie siebie jako Janosika ratującego ukochaną z każdej opresji. A potem? O tym, co mogliby robić później, nawet nie fantazjował.



Seks? W tamtym czasie koledzy często o nim mówili. Przechwalali się, choć Mariusz nie wierzył w większość z ich historii. A jeśli nawet wierzył, to im nie zazdrościł. Miał swoje potrzeby. I to właśnie je z upodobaniem mógł realizować. Nikt nie mówił mu, jak i co może robić. Nikt nie wyznaczał granic.

Doskonale pamiętał swój pierwszy raz. Wracał łąkami do domu i poczuł

nagły przyływ podniecenia. Od pierwszych zabudowań dzieliło go jeszcze kilkaset metrów. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Po jego lewej stronie stado krów pasło się w cieniu starych wysokich sokor.

Miał szesnaście lat i jeszcze nigdy nie widział nagiej kobiety. Nie potrzebował tego.

Tamtego dnia w kieszeni miał kilkumetrowy powróż. Nieważne, po co i skąd. Nosił go, bo jego brat w dniu śmierci miał przy sobie sznur do bielizny. To było całe wytłumaczenie. Nie zgłębiał tego. Po prostu lepiej się czuł, mając przy sobie powróż, jakby był on namiastką tego, co stracił. Lub przypomnieniem o tym, co i tak na niego czekało.

Szybkim krokiem zszedł ze ścieżki i skierował się w stronę krów. Działał automatycznie. Nagle myśli uleciały, a zastąpił je dziki instynkt. Wyciągnął powróż i go rozwinął. Upewnił się, że nie ma na nim żadnych przetarć. Podszedł do łaciatej jałówki, która utkwiała w nim czujne spojrzenie. Cofnęła się, ale zaraz ufnie pochyliła łeb. Mariusz błyskawicznie owiązał jej szyję powrozem. Zacisnął go i przerzucił przez gałąź sokory. Ciężarem całego ciała zawiesił się na nim z drugiej strony.

Jałówka, cicho parszając, usiłowała się uwolnić. Kręciła łbem i rzucała się całym ciałem. Wierzgała. Mariusz miał jednak dość siły, by podciągnąć ją w górę. Niewiele. Tylko tyle, by uniosła się nad ziemię. Powróż wrzynał się w przelyk krowy. Rozległo się ciche plaśnięcie i trzask. Oczy jałówki wytrzeszczyły się, a z pyska i nosa pociekła ślina zmieszana z krwią. W tym momencie Mariusz poczuł, że ma wzwód.

Gwałtownie puścił sznur i ściągnął spodnie. Dopadł ciała krowy. Jałówka bezwładnie leżała na ziemi, choć jej tylną nogą wstrząsały pośmiertne skurcze. Z pyska dobywał się cichy charkot. Agonalny dreszcz raz jeszcze wstrząsnął jej ciałem.

Mariusz nie myślał o Heli. Nie myślał o upokorzeniach i rówieśnikach. Mógł być tym, kim chciał. Mógł się zaspokajać tak, jak chce i kiedy chce. Czuł przyjemny dreszcz przebiegający po ciele. Zaczął głośno dyszeć. Szczytował, patrząc na odwrócony na bok łeb krowy. Odbijał się w jej martwym, nieruchomym oku.

Podniósł głowę i kątem oka dostrzegł, że ktoś stoi kilkadziesiąt metrów od niego. Przestraszony odwrócił się w tamtą stronę. Kręciło mu się w głowie, ale od razu rozpoznał sylwetkę matki. Patrzyła na niego,

całkowicie nieruchoma. Nagle odwróciła głowę i ruszyła w stronę wsi. Nigdy o tym nie rozmawiali.

Ale wiedział, że ona wie.

*Zaczął mnie podniecać widok kury męczącej się podczas stosunku, zacząłem więc ukrecać im tby w trakcie lub po stosunku. To robiłem aż do aresztowania, średnio dwa razy w tygodniu. Nie pamiętam, od kiedy robiłem seks z krowami. To było tak samo atrakcyjne jak z kurami... Podniecało mnie bardzo ich duszenie.*

## **Śmierć po starej znajomości**

Ósmy października 1994 roku to był dobry dzień. Mariusz rozpoczął pracę w składzie buraków w Stefankowicach i postanowił odłożyć nieco pieniędzy. Cieszył się z nowej roboty, a świeżo poznani kumple przyjęli go nad wyraz życzliwie. Wszyscy czekali na fajrant.

Popołudniu wypili kilka flaszek. Wódka nigdy nie smakowała tak dobrze, jak pita za własne pieniądze. Mariusz był podchmielony, lecz nie pijany. Trzymał się prosto i jako jeden z nielicznych mówił do rzeczy. Gdyby nie rozbiegane spojrzenie, trudno byłoby się zorientować, że jest trochę wstawiony.

Wreszcie mężczyźni postanowili się rozejść. Następnego dnia czekała ich praca, a alkohol już zrobił swoje. Mariusz pożegnał się i ruszył do domu. Szedł powoli, nie spieszył się. Chłód nocy przyjemnie go orzeźwiał. Było pogodnie i jak na październik dość ciepło. Wiał lekki wiatr. W oddali miarowo szczeptały psy, jakby jeden odpowiadał na wołanie drugiego. Jak sygnalizatory w dawnych warowniach lub na umocnieniach granicznych.

Nigdzie w pobliżu nie paliły się światła. Latarnie wzdłuż drogi już zgasty, więc musiała dochodzić dwudziesta druga. Mariusz zboczył z obranej trasy. Zdał sobie z tego sprawę dopiero po kilkudziesięciu krokach. Znowu czuł się jak wtedy, gdy za pierwszym razem dopadł krowy. Dziki instynkt całkowicie nim owładnął. Czuł narastające podniecenie i do głowy przychodził mu tylko jeden sposób, aby dać mu upust.

Tę okolicę znał jak własną kieszeń. Mieszkał tu od wielu lat, więc mógłby poruszać się zupełnie po ciemku. Nie potrzebował latarki. Noc była wystarczająco jasna, by mógł wyraźnie rozróżniać kształty. Pobliskie

gospodarstwo również było mu dobrze znane. Do niewielkiego, przytulnego domu przed laty chodził na lekcje religii. Pamiętał jego zapach i rozkład pomieszczeń. Pamiętał uroczą, zawsze uśmiechniętą gospodynię. Pamiętał jej ciemne oczy i szczupłą twarz.

Nawet nie zorientował się, gdy zaczął walić w drzwi. Na moment otrzeźwił go dobiegający zza nich głos.

– Kto tam?

– Mariusz S.

Wiedział, że kobieta go pamięta. Nie zamierzał wymyślać niestworzonych historii albo włamywać się. Czuł, że instynkt go nie zawiedzie. Miał rację.

Po chwili zamek zazgrzytał i drzwi powoli się otworzyły. W progu stanęła drobna sześćdziesięcioletnia kobieta. Była niska i bardzo szczupła. Miała na sobie grubą koszulę nocną, a na ramiona narzuciła chustę. Jedną dłoń trzymała na framudze. Drugą uniosła, jakby chciała przysłonić biust.

– Co cię przynosi o tej porze? We...

Nie zdążyła dokończyć. Mariusz wepchnął ją do środka i zamknął drzwi. Błyskawicznie powalił kobietę na podłogę. Zacisnął dłonie na jej szyi. Spojrzał jej prosto w oczy. Wydawało mu się, że im mocniej ją dusił, tym mocniej się rozwierały. Nie przestawał. Raz po raz osłabiał i zacieśniał ucisk. Kobieta starała się bronić, ale nie miała szans. Nie zważał na jej słabowite ciosy. Podobało mu się, że się broni. Walka o życie sprawiała mu przyjemność.

*Najbardziej podniecało mnie duszenie, kiedy kobieta się broniła.*

Czuł, że jego podniecenie sięga zenitu. Sapał podniecony, spoglądając w gasnące oczy kobiety. Rzucał na nią cień, a mimo to widział blednące szybko wargi.

Charkotliwe rżenie kobiety stawało się coraz cichsze. Nagle jej ręce bezwładnie opadły na podłogę. Oczy zaszły mgłą, a ciało się rozluźniło.

– Już... – wycedził Mariusz. – Nareszcie.

Podniósł się i wciąż zaciskając dłonie na gardle kobiety, zaciągnął ją do pokoju. Rzucił ją na wersalkę. Zdarł z niej koszulę nocną i spojrzał na nieruchome, nagie ciało. Panujący w pomieszczeniu półmrok mu

odpowiadał. Nie musiał się teraz niczego wstydzić. Zawył z rokoszy. Był panem sytuacji i mógł zrobić co tylko zechce.

Naprawdę.

Co tylko zechce.

## Kręgi na wodzie

– Zośka jeszcze nie wstała? Nie wystawiła swojego krzeselka.

– Może ma jakąś robotę w środku.

Wysoka, tęga kobieta machnęła dłonią. Stojąca obok niej przygarbiona staruszka zmrużyła oczy. Był pogodny ranek i słońce świeciło jej prosto w twarz. Zapowiadał się piękny dzień.

– Ano. Pewnie masz rację.

– Ale popatrz.

– Co?

– Nie widzisz? Wiadro.

Młodsza kobieta zmrużyła oczy. Wiedziała, co ma na myśli jej koleżanka. Po chwili obie kobiety bez słowa weszły na podwórze K. i rozejrzały się wokół. Wiadro stało na ziemi obok studni, co wydawało się dziwne. Zofia K. zawsze przestrzegała, by nie stawiać go na ziemi.

– A sama zawsze gada...

– Może wróciła się po coś do domu i tak zostawiła.

Młodsza kobieta, kręcąc głową, weszła na niewielki ganek. Zaczęła dobijać się do drzwi. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte, więc weszła do domu. W niewielkiej sieni wszystko wydawało się w porządku.

– Zośka!

Nic. Cisza.

– Zośka? Jesteś tam?

Zrobiła krok, by zajrzeć do kuchni. W tym samym momencie podwórze przeciął głośny krzyk starowiny.

– Jezus, Maria!

Kobieta natychmiast wybiegła na podwórze. Starowina stała pochylona przy studni i wymachiwała rękoma. Młodsza dobiegła do niej w ułamku



sekundy. Oparła dłoń o betonową krawędź i zajrzała do środka studni.

Natychmiast przebiegł ją lodowaty dreszcz.

Na powierzchni wody unosiły się buty oraz fragmenty odzieży. Tuż obok odbić jej oraz starowiny. Dokładnie pomiędzy ich twarzami.

*Po wrzuceniu K. do studni wróciłem do domu, zamknąłem drzwi i zgasilem światło. Byłem spokojny i rozluźniony. Nie żałowałem, że ją zabiłem. Wychodząc od niej, miałem zakrwawione ręce, bo najpierw wkładałem jej palce, później członek.*

### **Pomoc, którą wzgardzono**

Pracownicy firmy pogrzebowej z łatwością zarzucili trumnę z ciałem Zofii K. na ramiona. Najstarszy z nich odczekał jeszcze dwie lub trzy sekundy i skinął głową. Na ten znak wszyscy czterej ruszyli w stronę wyjścia.

Wokół pachniało kadzidłem, topiącym się woskiem oraz przyniesionymi przez żałobników kwiatami. Kilka kobiet płakało. Grupa mężczyzn smętnym wzrokiem powiodła za trumną. Nagle z ich grona wyrwał się pięćdziesięcioletni Kazimierz P. Mężczyzna otarł łzy i szybkim krokiem ruszył w kierunku konduktu. Zataczał się, mrużąc coś pod nosem. Potknął się, ale w ostatniej chwili przytrzymał się jednej z ław.

– Zatrzymajcie go! – rzuciła kobieta w czarnej spódnicy i ciemnogramatowej bluzce.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, P. dopadł do trumny. Wcisnął się między grabarzy i usiłował podeprzeć ją ramieniem.

– Odprowadzę ją na tamten świat – wymamrotał. – Ja, ja...

Wybici z rytmu mężczyźniomal nie wypuścili trumny. Ta niebezpiecznie się przechyliła, ale udało im się ją ustabilizować.

– Zabierzcie go! – powtórzyła kobieta.

Kilku mężczyzn natychmiast dopadło do Kazimierza. Mimo że ten się opierał, udało im się odciągnąć go od konduktu. Wyprowadzili go z kościoła i pchnęli na zardzewiałą ławkę. P. skulił się. Jego ramionami wstrząsnął spazm płaczu. Schował twarz w dłoniach.

Zachowanie Kazimierza nie uszło uwadze dwóch policjantów

w cywilnych ubraniach, obserwujących ceremonię. Obaj sporządzili stosowne notatki, a urzędnicza machina ruszyła.

Krew znaleziona na ręczniku i pościeli Zofii K. miała cechy zgodne z krwią Kazimierza P. Jak każdej innej osoby, która miała grupę B.

Mimo to do sądu wkrótce trafił akt oskarżenia. Umiejętnie przesłuchiwany P. przyznał się do winy, lecz jego wyjaśnienia okazały się całkowicie niespójne. Został uniewinniony w czerwcu 1996 roku. Nawet samotna śmierć jest tragedią wielu osób. Jej cień czasem pada na niewinnych.

### **Porzućcie wszelką nadzieję**

Pożar. Dym. Ogień. Wszędzie ogień.

Osiemdziesięcioletnia Antonina E. rejestrowała wszystko jakby w zwolnionym tempie. Paliło ją w piersiach. Dusila się. Przy każdym oddechu miała wrażenie, że żebra wznajają się jej w płuca i serce.

Ogień. Ogień. Dym.

Wiatr wpadający przez okno podsycił płomienie. Zimny, listopadowy wiatr, a jednak parzył ją w twarz. Bił żarem. Roznosił wokół ogniste drobinki.

Antonina E. usłyszała krzyki. Starła się obrócić na bok, ale nie miała dość siły. Bolał ją każdy mięsień. Bolało ją krocze i szyja. Z trudem zmuszała się do oddechu.

Ktoś chwycił ją na ręce. Mówił coś do niej, lecz nie rozumiała słów. Wszędzie widziała tylko języki ognia. Jakby znalazła się w piekle. Może naprawdę w nim była?

Nie, nie, nie.

Rozpoznawała tę klatkę schodową. Choć wypełniał ją dym, rozpoznawała te ściany. To był jej dom. Znała tu każdy zakamarek, każdą szparę i każdy sęk drewna.

A jednak jej dom stał się piekłem.

Odchyliła głowę, gdy niosący ją mężczyzna zaczął schodzić po schodach. Każde drgnięcie było dla niej torturą. Gardło rozsadał ból. Traciła przytomność. Osuwała się w koszmar ostatnich chwil. Przeżywała je wciąż

na nowo.

– Kto tam?

W uszach zaszemrało jej własne pytanie.

Ktoś dobijał się do drzwi, ale się nie odezwał. Na moment przestał. Po kilku sekundach znów rozległo się dudnienie.

– Kto tam? – ponownie zapytała kobieta.

Po raz kolejny odpowiedział jej łoskot pięści o drzwi.

– Mój Boże...

Pamiętała, że uciekła na górę. Bała się. Tak bardzo się bała. Usłyszała jeszcze, że ktoś tłucze szybę, a potem wchodzi do środka. Do domu.

Zdawało się jej, że słyszy śmiech. A może był to płacz? Jej własny płacz?

– Żyje! – mężczyzna wyniósł ją na dwór i ułożył na ziemi. – Pomocy, niech ktoś tu przyjdzie!

Antonina otworzyła na chwilę oczy. Spojrzała w czarne, rozgwieżdżone niebo, które zaczynał przesłaniać kłęb dymu. Kłęb życia ulatującego z jej domu i z jej piekła.

Jeszcze przed chwilą była na strychu. Diabeł zaciskał palce na jej szyi, a kolanem wbijał się w pierś. Dociskał je, łamiąc z trzaskiem kolejne żebra. Jedno po drugim, jakby zrobiono je z kruchego drewna. Jakby chciał przebić się do kręgosłupa.



Sapał, bryzgając śliną na jej twarz. Uśmiechał się. Starał się ją rozebrać.

A potem wszystko zaszło mgłą. Kłęb dymu przysłonił niebo i piekło. Gwiazdy zgasły. W ostatnim wspomnieniu płonąca zapalka padała na słomę.

Trzy dni później przyszła śmierć. Antonina E. zmarła po beznadziejnej walce z obrażeniami zadanymi jej przez samego diabła.

## Bezgłośny trzepot skrzydeł czajki

Kompleks ogródków działkowych „Oaza” dla niektórych Hrubieszowian był całym życiem. Od świtu do nocy pielili grządki, porządkowali altanki i strzygli trawniki. Tam zawierały się przyjaźnie, rozkwitały dojrzałe miłości, a czasem zjawiała się śmierć. Zawsze całkowicie niespodziewanie.

Piątego sierpnia 1996 roku niebo było pochmurne. W oddali dudniły grzmoty, a lekki wiaterek szeleścił między liśćmi i kładł kłosa ciemnozłotego zboża rosnącego za ogródkiem Wiesławy Ł. Mariusz S. przykucnął między nimi, obserwując trzydziestosześcioletnią kobietę. Twarz miał zroszoną potem. Jego myślami po raz kolejny kierował instynkt. Mężczyzna zacisnął pięści i powoli nabrał do płuc ciężkiego, przedburzowego powietrza. Poczul się silny. Poczul się mocny.

Spokojnie obserwował krzątającą się w ogródku kobietę. Nie spieszył się. Choć dopiero minęło południe, wokół nie było nikogo. Kręcąca się burza zniechęciła ludzi do wychodzenia z domów.

Mariusz przykucnął i poruszył głową, rozluźniając mięśnie karku. Wstał, kryjąc się za linią krzaków. Wciąż obserwował Wiesławę. Zajęta pieleniem kobieta nie widziała go. Była zbyt skupiona na jednym ze swoich ulubionych zajęć. To był jej sposób na relaks. Szczęśliwi ludzie nie wyczuwają tchnienia śmierci. Nawet kiedy ta jest tuż obok.

Kolejny grzmot załaskotał w oddali. Mariusz przemknął za krzakami i zatrzymał się dopiero przy ogrodzeniu. Bez namysłu wspiał się po nim, po czym zeskoczył na drugą stronę. Wysoka trawa zagłuszyła jakikolwiek dźwięk. Zresztą i tak nie zwrócił na to uwagi.

Mężczyzna ponownie przykucnął. Tuż obok swojej stopy dostrzegł długi kawałek drutu. Wziął go i powoli obrócił w dłoni.

To było jak zrządzenie losu. Jak wskazówka dana przez Boga.

Mariusz zacisnął palce na drucie i się wzdrygnął. Drut był mocny, ale pordzewiały. Przypominał mu sznur do bielizny, na którym powiesił się Darek. Sznur, który odebrał życie.

Mężczyzna westchnął. Wciąż pochylony, zaczął się skradać w stronę Wiesławy. Poczul krople deszczu rozbryzgujące się na karku. Zimne, wielkie krople zwiastujące ulewę.

Kątem oka dostrzegł, że Wiesława przerwała pracę i schowała się do

altanki. Deszcz zabębnił w gontowy dach. Po chwili rozszalała się rześista ulewa. Porywy wiatru przyginały kłosa zboża niemal do samej ziemi. Wciskały Mariuszowi w twarz krople deszczu. Rozwiewały mu włosy i smagały go po karku.

Ale mężczyzna był cierpliwy. Nigdzie nie musiał się spieszyć.

Zaczaił się przy kępie krzaków i postanowił czekać. Spokojnie obserwował niewielką altankę. Ulewa nie mogła mu w niczym przeszkodzić. Nie zważał na przemoczone ubranie ani na zimno. Jego wszystkie myśli skupiły się na samotnej kobiecie.

Błyskawica przecięła horyzont tuż za działkami. Ułamek sekundy później przetoczył się potężny grzmot. Jednocześnie ulewa nasiliła się, ale był to jej ostatni podryg. Wkrótce zaczęła tracić na sile. Deszcz już tylko siąpił i zza chmur wyjrzało słońce. Gdzieś pewnie pojawiła się tęcza.

Mariusz obszedł altankę. Miał mokro w butach, ale nie przeszkadzało mu to. Przykucnął tuż obok drewnianej ściany. Niemalże przytknął do niej nos. Czuł zapach mokrego, rozgrzanego drewna. Lubił ten aromat. Zawsze mu się dobrze kojarzył.

Pochylił głowę, słysząc otwierające się drzwi. Ł. wyszła z altany i stanęła między grządkami. Obróciła głowę w stronę słońca. Zmrużyła oczy. Myślała o tym, że lada dzień skończy się lato. Nie we wrześniu czy w październiku. Teraz, już. Gdy przekwitną ostatnie kwiaty i opadną owoce. Gdy świat zacznie umierać, szykując się do zimy.

Mariusz bezszelestnie zakradł się od tyłu. Zarzucił jej drut na szyję i z całej siły przyciągnął do siebie. Kobieta zaczęła się wić. Cicho pisnęła. Próbowwała go kopnąć, ale jej nogi bezskutecznie przeczesywały powietrze. Pisk zamienił się w charkot. Nie dość głośny, by ktokolwiek mógł zwrócić na to uwagę. Zresztą Mariusz się tym nie martwił. W pełnym skupieniu zaciskał drut. Metal ślizgał się w mokrych od potu i deszczu dłoniach.

Mężczyzna obrócił kobietą jak lalką. Przez chwilę ich spojrzenia się spotkały. Żałował, że nie dostrzega krwawej pustki, jaka przywoływała w nim wspomnienie brata.

Jego twarzy.

Jego obrzmiałego języka.

Jego sinych warg.

Kobieta usiłowała się wyrwać i krzyczeć. Mariusz uchylił się przed jej ręką. Z całej siły uderzył ją pięścią w twarz. Kiedy upadła, zdarł z niej bluzkę. Dyszał jak dzikie zwierzę. Ostatnie minuty wprawiły go w doskonały nastrój. Znowu czuł się podniecony i silny. Znowu czuł się zdolny do zaspokojenia.

Czuł, że z kobiety ulatuje życie. Straciła przytomność, a jej mięśnie się rozluźniły. Mariusz zerwał z niej resztę ubrania. Przeciągnął ją kilka metrów na bok, by nikt przypadkowy nie mógł dostrzec ich z drogi. Na tę chwilę tak cierpliwie czekał.

Zasłużył na nią.

To był dobry seks. Krótki, ale intensywny. Kochał się z nią jak nigdy przedtem. Nie spieszył się. Doszedł w niej, wydając głębokie sapnięcia.

Czując pustkę, wciągnął spodnie i rozejrzał się wokół. Nagle wydało mu się, że naga pierś jego kochanki się unosi. Krwawe wybroczyny na jej szyi rozlały się, ale kobieta musiała wciąż żyć.

– O nie, nie, nie – wycodził mężczyzna.

Pogrzebał dłonią w kieszeni i wyjął niewielki scyzoryk. Już nie raz mu się przydał. Wyciągnął największe ostrze, po czym zacisnął uchwyt. Jego ciosy spadły na pierś Wiesławy z potężną siłą. Scyzoryk, plaskając, wbijał się w ciało, a dłoń mężczyzny uderzała o żebra. Z obnażonej piersi intensywnym strumieniem wytrysnęła krew. Ochlapała mu policzek i usta. Jednak już po chwili strumień zamienił się w niewielką strużkę. Wkrótce strużka niemal zastygła.

Wtedy Mariusz się opamiętał. Ciężko dysząc, otarł scyzoryk o mokrą trawę i schował go do kieszeni. Wyprostował się. Bez trudu przeciągnął nieruchomą kobietę ku pobliskim krzakom malin. Oparł jej szyję o rozpięty obok nich drut.

Teraz powinna umrzeć.

Mariusz postanowił odejść. Jeszcze raz popatrzył na nagą ofiarę i poczuł nawracające podniecenie. Nachylił się, lecz tym razem nie dotknął ciała. Sprawnym ruchem ściągnął z nadgarstka Wiesławy zegarek. Złotą Czajkę, którą kobieta dostała przed laty od ojca. Prezent, który Mariusz tego popołudnia wręczył własnej matce.

## Ponoć

Tamtego burzowego popołudnia Kazimierz U. również był na terenie ogródków działkowych. Lubił po nich spacerować. Lubił zajmować się własnym ogródkiem, ale tamtego dnia głównie spacerował. Widziało go wiele osób. Tymczasem on, zamknięty w swoim świecie, zdawał się nie dostrzegać nikogo. Mimo że przechodził obok działki K., nie zwrócił uwagi, czy kobieta krząta się koło altanki. Nie widział ani jej, ani jej roweru.

Nie był tak sprawny jak dawniej. Wylew, którego doznał przed paru laty, bardzo go zmienił. Nie tylko poruszał się wolniej, ale stał się też bardziej znerwicowany. Udar odebrał mu spokój ducha. Tak mówiła jego żona. Nie mówiła natomiast, że odebrał mu również ochotę na seks. Od chwili, gdy upadł, stracił nim jakiegokolwiek zainteresowanie. Kilkukrotnie próbowali się zabawić, ale U. nie osiągnął wzwodu. To znerwicowało go jeszcze bardziej. Jednak i w tym przypadku czas ukoił rany. To było lata temu. Seks dla małżonków stał się tylko przyjemnym wspomnieniem.

W dniu śmierci Wiesławy Ł. Kazimierz wrócił do domu tuż po siedemnastej. Jak zawsze pocałował żonę, zjadł obiad, a potem razem oglądali telewizję. U. nie wydawał się ani rozkojarzony, ani przybity. Zachowywał się jak zwykle. No, może nieco inaczej niż przed udarem. Ale o tym mogła wiedzieć jedynie jego żona.

Dziewiętnastego sierpnia 1996 roku, dwa tygodnie po śmierci Ł., do domu małżeństwa U. wkroczyła policja. Kazimierz został aresztowany, a wkrótce prokurator przedstawił mu zarzuty popełnienia gwałtu oraz zabójstwa. Ponoć jego ślad zapachowy znajdował się na kwiatkach znalezionych obok roweru denatki oraz na jej odzieży. Badanie wariograficzne wykazało związek emocjonalny U. ze śmiercią Wiesławy. Ponoć wpływ na jego wynik mógł mieć stan zdrowia Kazimierza. Ponoć...

Mężczyzna kategorycznie zaprzeczał wersji przedstawionej przez prokuratora. Areszt kilkakrotnie przedłużano i wciąż przeprowadzano kolejne badania. Plemniki wykryte w pochwie zamordowanej nie pochodziły od U. Tego dowiedziono z całą pewnością.

Kazimierz został wypuszczony na wolność dopiero po pół roku. Zeznawał jeszcze w procesie prawdziwego zabójcy, a wkrótce potem zmarł. Znów cień śmierci padł przekornie. A w tej sprawie nie był to koniec.



Jeszcze nie.

## **Wspomnienie wolności**

Wszystko wskazywało, że będzie dobrym żołnierzem. Wzorowa postawa, punktualność, zaangażowanie – to słowa przewijające się w aktach osobowych szeregowca Mariusza S.

Kilka dni po pójściu do wojska mężczyzna napisał długi list. Przez całe życie stworzył ich wiele, lecz ten był pierwszym i ostatnim prawdziwym. Ten jeden raz naprawdę był romantykiem. Prosił w nim, by odwiedziła go dziewczyna, z którą się spotykał. Słowa nie były ani proste, ani żołnierskie. Długie zdania miały pokazać, jak bardzo ją kocha. I jak bardzo jej pragnie.

Nie wspomniał o ich pierwszym razie. O tym, że ledwie w nią wszedł, a już było po wszystkim. Nie rozmawiali o tym. Pisać też o tym nie umiał. Może dlatego – a może z całkiem innego powodu – dziewczyna nigdy nie przyjechała. Na swój list nie dostał też żadnej odpowiedzi. Gdy 7 kwietnia 1997 roku przydzielono mu pięć dni urlopu nagrodowego, postanowił, że będzie się trzymał od niej z daleka. Już nigdy się do niej nie odezwie.

Młode dziewczęta zawsze go krępowały. Były głupie i pyszne. Drwiły z niego. A on wiedział, czego chce. I wiedział, że może to osiągnąć, kiedy tylko zamarzy.

Wtedy to on będzie mógł się śmiać.

## **Ostatnia zabawa**

Trzydziestego pierwszego sierpnia 1997 roku w Stefankowicach świętowano dożynki. Był parny wieczór, a zabawa przeciągała się w najlepsze. Zjawili się na niej niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Część już się rozeszła do domów, ale wielu wciąż tańczyło, jadło i piło alkohol. Dobrze się było rozerwać w ten ostatni dzień wakacji. Wielu rodziców przyszło razem z dziećmi. Pijackie śpiewy mieszały się ze śmiechem i gwarem rozmów. W powietrzu unosił się zapach pieczonej kiełbasy.

Gdy minęła północ, śmiechy stały się głośniejsze, rozmowy bardziej bełkotliwe, a śpiewane piosenki frywolne. W zabawie wciąż uczestniczyło wiele osób. Żal było wracać. Żal było się przyznać, że oto wolne na dobre dobiega końca.

Mariusz S. wymknął się z zabawy przed drugą nad ranem. Był na przepustce i następnego dnia miał stawić się z powrotem w jednostce wojskowej. Nie wiedział, kiedy otrzyma kolejną przepustkę. Wiedział, że to ostatni moment, aby dać upust instynktom. Może na miesiąc. A może aż na pół roku.

– Gdzie idziesz? – wysoki brunet o rozbieganym spojrzeniu stanął mu na drodze. Położył na dłoń jego ramieniu i zacisnął palce. – Mariusz, nie zostawiaj nas teraz.

– Muszę wracać.

– Musisz wracać? Co ty, chłopie, masz dziesięć lat? Mama ci kazała?

– Ja, ja... – Mariusz spuścił wzrok. Był równy wzrostem z brunetem, ale znacznie od niego potężniejszy. Nie byli przyjaciółmi. Nie byli nawet kumplami, ale tego wieczoru połączyły ich pochłonięte procenty. – Przede wszystkim muszę się przewietrzyć.

– Schlałeś się?

Mariusz nieśmiało się uśmiechnął. Skinął głową jak mały chłopiec.

– Trochę.

– Przejdziemy się razem.

– Nie, nie. Muszę chwilę pobyc sam.

– Będziesz rzygał? – podejrzliwie zapytał brunet.

– Po prostu chcę pobyc sam – odparł Mariusz. Podniósł wzrok i odsunął dłoń mężczyzny. Nie patrząc na niego, ruszył do wyjścia. Wbił wzrok w podłogę.

– Jesteś dziwny, człowieku.

– Wiem o tym.

Brunet roześmiał się. Ruszył za Mariuszem i dogonił go już na dworze. Lekki wiatr rozwiał zaduch wieczoru. Zrobiło się dość chłodno. Pogoda również obwieszczała zakończenie wakacji.

– Zaczekaj! – brunet chwycił Mariusza za łokieć. Zatoczył się, ale nie upadł. Sięgnął do kieszeni na przodzie kraciastej koszuli. – Może chociaż zapalimy? No, bierz!

S. głośno sapnął. Zacisnął szczęki, ale nadal nawet nie spojrzął na nagabującego go mężczyznę.

– Nie. Naprawdę, muszę już iść.

– Na mój koszt! A potem kielonek. Cholernie lubię takich pokręconych ludzi jak ty.

– Serio? – Mariusz podniósł głowę i wreszcie spojrzął na bruneta. Zmrużył oczy. Tuż obok ktoś rozbił kieliszek. Trzydziestolatka w czerwonej sukience wybuchnęła śmiechem. – Lubisz takich jak ja? Niby za co?

Brunet uśmiechnął się.

– Na przykład za to, że tak bardzo słuchasz się mamusi.

– Mówiłem już, że...

Mariusz zdał sobie sprawę, że ten dupek z niego żartuje. Jego dwaj kumple palili obok papierosy. Mógł czuć się bezpiecznie. Poza tym on nigdy nie zaatakował mężczyzny. Nawet na ćwiczeniach kiedy tylko mógł, unikał bezpośredniego starcia.

Szybkim krokiem ruszył w stronę domu. Nie odwrócił się i nikt go już nie zatrzymywał. Za sobą słyszał śmiechy. Nie wiedział, czy to mężczyźni drwią z niego, czy dobiegają go zwykłe odgłosy zabawy.

Prawie biegł. Nagle zboczył z obranej drogi.

Wzywał go instynkt.

### **Ciemność widziana zza łoż**

Ostry trzask i odgłos tłuczonego szkła obudziły Genowefę S. Kobieta miała niemal siedemdziesiąt lat i była niewidoma. Oszołomiona, z trudem oddzielała jawę od snu. Wyraźnie słyszała czyjeś kroki.

Nie, to nie był sen. Ktoś naprawdę wszedł do jej domu. Ktoś wybił szybę i znalazł się w środku. Tuż obok niej. Kroki ucichły, lecz teraz słyszała głęboki oddech. Sapanie, jakby komuś brakowało powietrza. Dziki charkot.

Przerażona kobieta usiadła na łóżku. Zaczęła szukać czegoś do obrony, lecz nic w pobliżu nie mogło się przydać. Życie osoby niewidomej to często życie w pustce.

– Proszę, proszę wyjść... – załkała. – Nie mam pieniędzy.

– Wiem – odparł głos, który skądś znała.

Kobieta zaczęła się trząść. Podniosła się z łóżka, zachwiała i z powrotem opadła na pościel. Upadając, skręciła nadgarstek.

– Proszę mnie zostawić. Ja naprawdę...

– Tak, wiem. Nie przyszedłem po pieniądze.

Kobieta wsłuchiwała się w najdrobniejsze dźwięki. Nasłuchiwała, co robi intruz. Chciała zerwać się z łóżka i wzywać pomocy, ale strach zacisnął pętlę na jej gardle. Pozbawił ją głosu i sił. Z jej niewidomych oczu ciekły łzy strachu. Trzęsła się. Otuliła się rękami i skuliła.

– Błagam pana – wyszeptała przez zaciśniętą krtań. – Niech pan stąd pójdzie. Proszę. Tak bardzo się boję.

– Już niedługo stąd pójdę. Obiecuję.

Mężczyzna przeszedł tuż obok łóżka, aż poczuła jego zapach. Ostrą, mdłą woń potu i alkoholu. Genowefa usłyszała ciche kliknięcie. Po chwili zrozumiała, że intruz wyłączył z kontaktu jej radio. Prezent, który miał zagłuszyć samotność.

– Niech pan je weźmie – wychlipała. Głos się jej załamał, ale nabrała nadziei, że włamywacz zaraz zostawi ją w spokoju. – Niech pan weźmie, co chce, i mnie zostawi.

– Wezmę, co chcę – powiedział z naciskiem mężczyzna. – Proszę się o to nie martwić.

Kobieta jeszcze mocniej się pochyliła. Przygryzła wargę, opanowując szloch. Włamywacz był tuż obok. Choć od kilku sekund milczał, wyczuwała jego obecność. Była pewna, że patrzy na nią. Wyczuwała jego świdrujące spojrzenie. Czowała jego zapach.

Zebrała wszystkie siły i poderwała się z łóżka. Miała jedyną szansę. Musiała biec prosto do wyjścia. Musiała wypaść na dwór, a wtedy może się uratuje. To nie było daleko. Po domu potrafiła poruszać się bez laski.

Nim pokonała kilka kroków, mężczyzna chwycił ją za ramię. Jej ręka wygięła się, a staw zachrząścił. Kobieta wrzasnęła z bólu. Poczowała, że znów ma dość siły, by krzyknąć. W momencie, gdy otworzyła usta, coś owinęło się wokół jej gardła.

Kabel radiodbiornika pozbawił ją tchu. Walcząc o życie, upadła na podłogę. Nie miała jednak żadnych szans. Otaczająca ją ciemność nabierała barw. Po raz pierwszy od lat dostrzegła kolory.

– Wezmę, co chcę – powtórzył Mariusz. – Zawsze biorę, co chcę.

Gdy kobieta straciła przytomność, zgwałcił ją. Z mieszkania wyszedł

przez okno. Zabrał ze sobą dwa radioodbiorniki. Nie wiedział, do czego miałyby mu się przydać, ale lubił elektronikę. Zawsze fascynowały go rozmaite sprzęty. Jednak po pokonaniu kilkunastu metrów uznał, że zabierając je, kusiłby los. Poza tym chciał jeszcze wrócić na zabawę. Czuł się zaspokojony. Czuł, że teraz może spokojnie napić się wódki i zapalić papierosa. Nikt go nie nazwie dziwakiem. Nie opuści zabawy w pół zdania. Już nie.

Już nigdy.

## Żar

– I niczyje zachowanie nie zwróciło pańskiej uwagi?

Policjant zamknął notes i obrócił długopis między palcami. Od godziny rozpytywał uczestników zabawy dożynkowej o okoliczności, które mogły być istotne dla śledztwa w sprawie śmierci Genowefy S. Był zmęczony i zlany potem. Co chwilę luzował kołnierzyk przy szyi. Chciało mu się pić, jednak nie miał odwagi poprosić gospodarza o wodę. Siedzący obok sierżant w milczeniu przysłuchiwał się jego rozmowie z wysokim brunetem. Oceniał go.

– Moją uwagę zwróciło zachowanie jakichś kilkudziesięciu nachlanych osób – opryskliwie odparł mężczyzna. – Niewiele pamiętam. Był pan kiedyś w okolicy na potańcówce? Wie pan, jak to wygląda?

Policjant udał, że nie słyszy tych pytań. Otarł pot z czoła i ponownie otworzył notatnik.

– Interesują mnie osoby, które widział pan już po północy.

– Wymieniłem wszystkich, których znam.

– Jest pan pewny? Mógłby pan opisać też tych, których nie zna? Nie spieszmy się.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Wydał wargi i spojrzał w stronę okna. Widział, że policjant stara się podlizać przełożonemu. I czuł, że nie pozbędzie się ich zbyt szybko.

Przymknął oczy, starając się przypomnieć sobie ostatnie chwile zabawy. Coś przyszło mu jeszcze do głowy. Absurdalna myśl, ale... Czemu miałby nie powiedzieć o tym policjantom?

– Był jeszcze Mariuszek – mruknął. – To dziwak, ale niegroźny. Kiedyś

mówili, że morduje kury i krowy. Podobno nawet je... – brunet machnął ręką. Wstał od stołu i nalał sobie do szklanki wody z kranu.

– Co z nimi? – dopytał policjant.

– Z?

– Z tymi krowami i kurami.

Brunet uśmiechnął się i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Mówili, że je gwałci. Ale wiecie panowie, jak to na wsi czasem gadają.

– Już słyszeliśmy o martwych krowach. – Policjant ukradkiem zerknął na przełożonego. Ten jednak nadal się nie odzywał. Zmrużył brwi i przytknął palce do skroni. – Ten Mariusz. Zna pan jego nazwisko?

– S. Mój brat zadaje się z jego kuzynem. Mieszkają we dwóch u ojczyma S. Sam też parę razy u niego byłem. Ale... – brunet powiódł wzrokiem po twarzach policjantów. – Panowie, chyba nie myślicie, że on mógłby... To taki niegroźny dziwak. Od dziecka spokojny i wstydlivy. Nie miał chyba nawet żadnej dziewczyny.

Tym razem sierżant znacząco odchrząknął. Wstał od stołu i bez słowa skierował się do wyjścia. Również był wściekły, że nie zaproponowano mu nic do picia.

## **Matka Boska od Milczących**

W domu ojczyma Mariusza S. znaleziono scyzoryk, którym zadano Wiesławie Ł. śmiertelne ciosy. Był zadbany i naoliwiony. S. wkrótce sam się pochwalił, że właśnie nim zamordował kobietę. Nie wydawał się przesadnie zdziwiony tym, że policjanci wpadli na jego trop. Przesłuchanie potraktował jak okazję do przechwalania się. Jakby od dawna na to czekał.

Matka Mariusza wydała policji niewielki złoty zegarek. Złotą Czajkę, który syn sprezentował jej przed rokiem. Bardzo się jej podobał, ale nigdy go nie nosiła. Miała związane z nim złe przeczucia. Nie wiedziała tylko, dlaczego.

Wyniki badań DNA nie pozostawiły żadnych wątpliwości co do winy S. Należały do niego ślady biologiczne znalezione przy każdej z ofiar. Zdradziły go krew, nasienie oraz odciski palców.

W trakcie obserwacji w szpitalu psychiatrycznym Mariusz S. twierdził, że przed kilku laty widział Matkę Boską oraz Trójcę Świętą. Widzenie miało

trwać około dwudziestu sekund, lecz Matka Boska nie odezwała się do niego.

Utrzymawał, że uparcie milczała.

## Los

– Mariusz S. zacisnął na szyi Wiesławy Ł. pętlę z drutu, rozebrał ją, zgwałcił, a potem dobił nożem.

Prokurator wymownie zawiesił głos. Powiódł wzrokiem po składzie sędziowskim, popatrzył na zgarbionego, postawnego adwokata, wreszcie zatrzymał wzrok na twarzy oskarżonego. Mężczyzna nie patrzył w jego stronę. Był odwrócony i się uśmiechał. Dopiero po chwili prokurator zrozumiał, że Mariusz spogląda w stronę Henryka J., ojca zamordowanej Wiesławy. Drwiący uśmieszek nie zniknął z jego twarzy. Zachowywał się jakby wygłaszano panegiryk na jego cześć. Był dumny. Zadowolony z siebie. Nie okazywał nawet cienia skruchy. Zmrużył brwi, po czym skierował wzrok w lewo i w górę. Obliznął usta. Prokuratorowi przeszło przez myśl, że S. przypomina sobie szczegóły zbrodni. Że jeszcze raz z satysfakcją odtwarza tamte chwile.

Gdy prokurator znowu się odezwał, w jego głosie dało się słyszeć gniewną nerwowość. Tymczasem oskarżony nie spuszczał wzroku z Henryka J. Mężczyzna odpowiadał na jego spojrzenie, wiercąc się na ławce dla publiczności. Od mordercy jego córki dzieliło go mniej niż dziesięć metrów. Kilkanaście kroków lub parę porządných susów. I jeszcze drewniana barierka, adwokat i trzech policjantów.

– Sąd ogłasza przerwę...

Te słowa dotarły do Henryka z opóźnieniem. Zorientował się, że zgromadzona na sali rozpraw publiczność wstaje. Wstał również adwokat oraz policjanci otaczający Mariusza. Ten, ociągając się, wbił wzrok w podłogę. Naprężył muskularne ramiona, po czym podniósł się, pobrząkując kajdankami.

Ktoś zadał J. jakieś pytanie. Mężczyzna w zadumie skinął głową, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, czego od niego chciano. Szybkim krokiem skierował się do wyjścia z sali. Zatopił się w myślach.

Czternastego października 1998 roku było zimno i wietrznie. Henryk

J. odebrał z szatni grube palto. Założył je, po czym wyszedł na dwór. Natychmiast skierował się do przejścia dla pieszych. Wbił dłonie w kieszenie, pochylił się i zaczekał, aż zapali się zielone światło. W głębi podświadomości zarejestrował, że znów ktoś do niego zagaduje, ale nie odpowiedział. Całkowicie pochłonęły go własne myśli.

Chwilę później stanął przed wejściem do niewielkiego sklepu. Zerknął na zardzewiały szyld i zakratowane okno. Pchnął drzwi, po czym dziarsko wszedł do środka. Wciągnął mdły zapach metalu. Zapach krwi.

Wiedział, że powinien się spieszyć.

Od razu skierował się do niewielkiego stoiska ze sprzętami, których szukał. Wybrał jeden z nich, zdjął go ze stojaka i ruszył do lady. Wyciągnął z kieszeni portfel. Zawinął mu się mankiet, więc odruchowo zerknął też na zegarek.

Doskonale. Pora była idealna.

– To wszystko? – krępy sprzedawca z wielką brodawką na nosie wskazał na przedmiot.

– Tak, to wszystko.

– Zapakować?

J. pokręcił głową.

– Nie trzeba.

– Będzie pan to tak niósł? – sprzedawca zmarszczył czoło. – Może jednak?

– Zaparkowałem tuż obok. Naprawdę nie trzeba.

J. zapłacił i nie odwracając się, wyszedł ze sklepu. Schował zakupiony przedmiot za połą płaszcz, po czym starannie zapiął guziki. Tym razem nie popatrzył na zegarek. Miał dość czasu, żeby nie zachowywać się nerwowo. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było zwrócenie na siebie uwagi. Musiał działać dyskretnie.

Musiał działać rozsądnie.

Gdy wrócił do sądu, rozprawa już się rozpoczęła. Nie przeszkadzało mu to. Tym razem nie zostawił palta w szatni. Było mu gorąco, lecz nie rozpiął nawet guzika. Przez chwilę stał, wyglądając przez okno. Postrzępione granatowe chmury sunęły po szarym niebie. Zbierało się na deszcz. Niektórzy przechodnie wyjęli parasole. Kierowcy zapalili światła



w samochodach. Wiatr przetoczył po ulicy plastikowy kubek.

Henryk zobaczył w szybie swoje odbicie. Twarz, na którą z taką pogardą patrzył Mariusz S. Twarz, która skłaniała go do szyderczego uśmiechu. Może rozpoznawał w niej rysy jego córki? Może właśnie to pobudzało go do wspomnień?

Niech go szlag.

J. oderwał wzrok od szyby i usiadł na ławce obok wejścia do sali. Złączył kolana. Położył na nich dłonie, po czym się wyprostował. Jak uczeń w szkolnej ławce.

Przymknął oczy i ponownie zanurzył się w myślach. Starał się wyzbyć większości z nich, ale nie potrafił. Do jego umysłu wciąż powracały te same obrazy.

Wiesia, Wiesia, jego martwa Wiesia.

Gdy drzwi się otworzyły, J. głęboko wciągnął powietrze. Rozpiął guzik palta. Następnie podniósł się, nie patrząc na adwokata oraz dwie starsze kobiety. Wtedy usłyszał brzęk kajdanek.

Rozpiął drugi guzik.

Odsunął się, aby zejść z drogi policjantom. Gdy funkcjonariusze byli tuż obok, rozpiął następny guzik, a ułamek sekundy później wyjął niewielką siekierę. Chciał, żeby Mariusz się odwrócił. Chciał spojrzeć mu w twarz, ale mężczyzna najwyraźniej niczego nie zauważył. Nie przeczuwał niebezpieczeństwa. Jego instynkt był teraz stępiony.

J. się zamachnął i zadał mu cios prosto w plecy. W ostatnim momencie jeden z policjantów zdołał go pchnąć, łagodząc siłę uderzenia. Mimo to ostrze dosięgło S. Trafiło go w zębra.

Chwilę później Henryk J. został obezwładniony przez funkcjonariuszy. Z zarzutami usiłowania zabójstwa oraz czynnej napaści na policjantów trafił do zamojskiego aresztu. Znalazł się w celi niedaleko Mariusza.

## **Nieczytelny szlaczek wolności**

– Podpisze pan?

Nastolatek machnął kartką. Staruszek prowadzący rower zatrzymał się i zmrużył oczy. Zdał sobie sprawę, że nie ma okularów. Trzymając dłoń chłopca, przysunął kartkę niemal do nosa.

– Co to? – zapytał podejrzliwie.

– Petycja, aby uwolnić Henryka J. – odparł nastolatek.

Twarz starca natychmiast się ożywiła. Oparł rower na nóżce i niemal wyszarpnął chłopcu kartkę. Machnął dłonią.

– Dawaj to. I długopis.

– Proszę.

Nastolatek obserwował, jak mężczyzna starannie kreśli podpis. Znajdowali się przy niewielkim skwerze przed annopolskim urzędem miasta. Było słoneczne przedpołudnie, a delikatny wiatr strząsał z drzew żółte liście. Przystrzyżony trawnik był nimi szczelnie pokryty.

Obok nich przeszła matka pchająca wózek z płaczącym dzieckiem. Przez chwilę jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem nastolatka, ale ten nie odezwał się. Cekał, aż starzec odda mu kartkę. Mężczyzna wreszcie wyciągnął drżącą dłoń, w której ścisnął petycję.

– To skurwysyństwo – odezwał się. – Prawdziwe skurwysyństwo tego państwa.

Chłopiec pokiwał głową. Nie zrozumiał, co mężczyzna ma na myśli. Cicho podziękował i zamierzał podejść do kolejnej osoby. Rozejrzał się, szukając wzrokiem kobiety z wózkiem. Ta wciąż była niedaleko.

– Zamknęli człowieka, bo zrobił to, co powinien zrobić każdy z nas – ciągnął starzec. Podrapał się po szorstkim zaroście i oparł dłoń na siodelku roweru. – Potraktowali go gorzej jak tego gnoja.

– Może ta petycja...

Mężczyzna nie pozwolił chłopcu skończyć.

– Ta petycja nic nie da.

– A jednak pan się podpisał.

– Jak mógłbym się nie podpisać? – starzec głośno pociągnął nosem. – Ale następnym razem przyjdź do mnie, chłopcze, z petycją, żeby tego sukinsyna powiesić. Tu, na środku placu. Wtedy podpiszę się jeszcze chętniej.

– To chyba niemożliwe.

– Świat jest niemożliwy. A potem zdarzają się takie rzeczy.

– W każdym razie jeszcze raz dziękuję za podpis – chłopiec uśmiechnął się nieśmiało. – Muszę już iść.

Starzec skinął głową. Złożył nóżkę roweru i zrobił krok do przodu. Odwrócił się jeszcze raz w stronę chłopca. Słońce padało mu na twarz, więc schylił głowę. Znów zmrużył oczy, aż zmarszczki w ich kącikach zamieniły się w głębokie bruzdy.

– Chłopcze – zagadnął chropawym głosem – znasz go?

– Pana Henryka?

– Ano.

Nastolatek pokiwał głową. Ukradkiem otarł łzę i ruszył za kobietą pchającą wózek. Była już po drugiej stronie placu.

– Proszę pani! – krzyknął i pobiegł za nią.

Starzec zacisnął usta. Wsiadł na rower, po czym odjechał w przeciwną stronę. Przez chwilę myślał o chłopcu, o Henryku J. i o całej tej sprawie. Potem jego głowę zaprzętnęły inne myśli. Słońce przyjemnie grzało go w kark.

*Dowiedziałem się, że mój seks był nienormalny.*

W czerwcu 2000 roku Sąd Okręgowy w Zamościu uznał dwudziestoczteroletniego Mariusza S. za winnego zarzucanych mu czynów. Mężczyzna został skazany na dożywotnie pozbawienie wolności oraz pozbawienie praw publicznych na dziesięć lat. Biegli nie doszukanali się przesłanek, by w trakcie popełniania zarzucanych mu czynów miał ograniczoną zdolność kierowania swoim postępowaniem. Obserwacja nie ujawniła u niego przeżyć, zachowań lub wypowiedzi mogących wskazywać na obecność procesu chorobowego.

Adwokat S. złożył apelację. Podnosił między innymi, że mężczyzna powinien zostać uznany za niepoczytalnego i trafić do ośrodka psychiatrycznego.

W listopadzie Sąd Apelacyjny w Lublinie utrzymał zaskarżony wyrok w całości w mocy. Na nic się również zdała wniesiona przez obrońcę kasacja.

Henryk J. opuścił areszt śledczy po dwóch tygodniach. Poręczył za niego wojewoda zamojski.

Nigdy nie ustalono, skąd wzięły się ślady zapachowe Kazimierza U. na kwiatach oraz odzieży znalezionych w miejscu zabójstwa Wiesławy Ł.

List napisany przed laty do ukochanej nie był ostatnim listem Mariusza. W trakcie pobytu w celi nie tracił czasu. Wielokrotnie słał prośby o ułaskawienie do prezydenta RP. Wszystkie zostały negatywnie zaopiniowane przez sądy kolejnych instancji.

S. pozwał również Henryka J. Domagał się od niego trzech tysięcy złotych tytułem odszkodowania za ubranie zniszczone w ataku oraz zadośćuczynienia. Następnie podniósł swe żądanie do trzynastu tysięcy złotych. Sąd stwierdził, że przyznanie mu odszkodowania byłoby sprzeczne z zasadami współżycia społecznego. Odrzucane lub oddalane były również pozwy S. przeciw prokuraturze oraz mediom. Nie podobało mu się, że dziennikarze określali go mianem wampira.

Mężczyzna odbywa karę pozbawienia wolności na oddziale terapeutycznym w Zakładzie Karnym Rzeszów-Załęże. Przebywa w jednoosobowej celi.

Mariusz S. może zostać warunkowo zwolniony po odbyciu pięćdziesięciu lat kary, czyli najwcześniej w 2047 roku. Będzie miał wtedy siedemdziesiąt jeden lat.

.





**GAME OVER**

MARTA  
GUZOWSKA

## MARTA GUZOWSKA

Pisarka, archeolożka i dziennikarka naukowa. Jako archeolożka pracowała w Grecji, Izraelu, a także przez kilkanaście lat w Troi, na najszynniejszym stanowisku archeologicznym świata. Jako pisarka zadebiutowała w 2012 roku powieścią *Ofiara Polikseny*, która zdobyła Nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej roku. Po udanym debiucie napisała jeszcze dziewięć kryminałów i thrillerów, z których cztery: *Głowa Niobe*, *Chciwość*, *Reguła nr 1* i *Ślepy archeolog* również zostały nominowane do Nagrody Wielkiego Kalibru, a *Reguła nr 1* zdobyła Nagrodę Złotego Pocisku. Jest też autorką wielu opowiadań zebranych w tomach: *Mordercze miasta*, *Kryminalny Wrocław. Mroczne przechadzki po mieście* i *Cztery zbrodnie na cztery pory roku* oraz serii detektywistycznej dla dzieci *Detektywi z Tajemniczej 5*.  
Marta Guzowska jest współzałożycielką grupy pisarskiej Zbrodnicze Siostrzyczki (zbrodniczesiostrzyczki.pl).  
Prywatnie ma partnera Węgra i dwoje trójjęzycznych dzieci..





# 1

Dawno, dawno temu (naprawdę dawno, minęło już ponad trzydzieści lat, ale przecież wszyscy kochamy lata osiemdziesiąte, „Stranger Things”, „IT” i nadal świetną muzykę) wszyscy grali w grę Super Mario Bros.

Nie tak dawno temu (minęły zaledwie cztery lata) dwie nastolatki zagrały we własną grę.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. mogło brać udział dwóch graczy. Jeden kierował Mariem, a drugi jego bratem bliźniakiem, Luigim.

Nie tak dawno temu w grze nastolatek też wzięły udział dwie osoby: Agata i Wiktoria.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros na ekranie pojawiały się też inne postacie, na przykład Bowser, przeciwnik, z którym walczą Mario i Luigi, albo księżniczka, którą muszą ocalić, albo Goomby, KoopaTroopa, BuzzyBeetle, KoopaParatroopa, Bullet Bill i tak dalej.

Nie tak dawno temu w grze nastolatek też pojawiają się inne postacie. Na przykład policjanci, lekarze ze szpitalnego oddziału psychiatrycznego, prokurator, sędzia, rodzina Agaty, przyjaciółka Wiktorii. Teraz mówi się na takie postacie awatary, w latach osiemdziesiątych chyba w ogóle nie było jeszcze tego słowa.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. było osiem światów i każdy miał cztery poziomy.

Nie tak dawno temu w grze nastolatek był tylko jeden świat. Poziomów miał siedem.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. Mario i Luigi mieli za zadanie uwolnić księżniczkę i przetrwać. A raczej przetrwać i uwolnić księżniczkę. I po drodze walczyć z różnymi przeciwnikami. A także zbierać

nagrody. Na przykład monety i specjalne cegiełki. Gracze poruszali się z lewej strony ekranu na prawą, a na końcu każdego poziomu pojawiała się chorągiewka.

Nie tak dawno temu, w grze nastolatek, wszystko było o wiele bardziej skomplikowane. Nastolatki otrzymały różne zadania. Jedna miała przetrwać. Druga miała zginąć. Obie miały kłamać. Również one mogły otrzymywać po drodze nagrody. Ale zasady poruszania się nie były już takie proste jak w Super Mario Bros. Teoretycznie Agaty i Wiktorii nic nie ograniczało (były już na tyle duże, że wszędzie chodziły same, ogólnie tylko meldując rodzicom, dokąd idą), ale w praktyce musiały mieć oczy dookoła głowy. Nie zawsze mogły dać się zauważyć.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. Mario i Luigi wyglądali jak topornie wyciosani ze zbioru pikseli. Mario miał spodnie ogrodniczki na szelki i czapkę. Jeśli Mario znalazł specjalny kwiat, jego ubranie zmieniało kolor.

Nie tak dawno temu w grze nastolatek skiny Agaty i Wiktorii (bo tak się teraz nazywa wygląd postaci, w które wcielają się gracze) ubierały się jak zwykły się ubierać nastolatki. Agata nosiła okulary, często czapkę (jak Mario). Lubiła bojówki i w ogóle ciuchy o męskim kroju. W czasie trwania gry zmieniła fryzurę. Wiktorie zmieniła swojego skina tylko jeden raz, kiedy było to konieczne. Potem wróciła do poprzedniego wyglądu.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. poziomy niezbyt się od siebie różniły. Mario i Luigi musieli pokonywać przeciwników, unikać pułapek i zbierać nagrody. Niekiedy akcja rozgrywała się pod wodą. I jeszcze Mario mógł używać ognistych kul. A jak zjadł jakiś grzyb czy coś takiego, to jego ubranie nie zmieniało koloru, ale postać rosła. Na ostatnim poziomie każdego świata Mario walczył z Bowserem lub musiał pokonać jedną z jego pułapek, przy czym – o ile dobrze pamiętam – czasami był to Bowser fałszywy, a czasami prawdziwy. Takie tam zmyłki.

Nie tak dawno temu gra nastolatek była o wiele bardziej skomplikowana. Teraz gry są w ogóle o wiele bardziej skomplikowane. Po pierwsze: w grze

nastolatek liczba graczy różniła się w zależności od poziomu. Po drugie: przejście do kolejnego poziomu było trudniejsze, nie wystarczały monety, kwiatki i chorągiewki. Żeby przejść na wyższy poziom, trzeba było zrealizować misję z poprzedniego. Gracze nie wiedzieli z góry, które zadania okażą się decydujące przy realizacji misji. Nie wiedzieli też, czego powinni oczekiwać na kolejnym poziomie.

Jak to w życiu, a nie w grze.

## 2

A oto scenariusz tej gry. Tej rozegranej przez dwie nastolatki, cztery lata temu.

### **Poziom 1.**

Misja: przetrwać.

Czas: kilka lat przed 21 lutego 2015 roku.

Liczba graczy: 1, Agata.

Skin gracza: dziewczyna, lat siedemnaście. Lekka nadwaga. Ciągle w spodniach typu bojówki i czapce z daszkiem. Nosi okulary. Jeździ na rowerze.

Zdrowie gracza: słabe. Agata choruje na autoimmunologiczne zapalenie tarczycy, cierpi na migreny, dyskopatię i rwę kulszową. Bierze leki na uspokojenie.

Broń gracza: Agata nosi przy sobie nóż o długości ok. trzydziestu centymetrów. Ma też drugi, złamany, używa go jako łyżki.

Awatary: mama Agaty, dziadek i babcia.

Moce gracza:

Moc 1: miłość dziadków, a szczególnie dziadka. Chociaż nie jest prawdziwym krewnym Agaty, tylko mężem babci, traktuje dziewczynę jak wnuczkę, a trochę też zastępuje jej ojca. Kocha ją, mają wspólne zainteresowania: dziadek jest byłym wojskowym, Agata fascynuje się wojskiem, jest uczennicą klasy o profilu mundurowym. To od dziadka Agata dostaje rower, którym wszędzie jeździ, to dziadek uczy ją gry w siatkówkę. Prawdopodobnie pod jego wpływem Agata zapisuje się do sekcji taekwondo.

Moc 2: inteligencja Agaty. To umysł ścisły, uwielbia chemię, eksperymenty (podobno kiedyś z jej powodu ewakuowano blok, ale to niesprawdzona informacja, od koleżanki z podwórka, która nie chce, żeby jej nazwisko się tu pojawiło).

Przeszkody, które musi pokonać gracz:

Przeszkoda 1: relacja z matką. Agata z nią nie mieszka. Opowiada, że matka stosuje wobec niej przemoc psychiczną i fizyczną, ubliża córce, grozi, że się przez nią zabije.

Przeszkoda 2: brak ojca. To nie wymaga komentarza.

Misją na tym poziomie gry jest przetrwać. Funkcjonować w rodzinie i wśród rówieśników, uczyć się w szkole.

Poziom wydaje się prosty, ale to tylko pozory.

## **Poziom 2.**

Misja: poznać śmierć.

Czas: kilka miesięcy przed 21 lutego 2015 roku.

Liczba graczy: 2, Agata i Wiktoria.

Skin Agaty zmienia fryzurę i kolor włosów.

Awatary: psychoterapeuta z poradni w Gdyni, przyjaciółki Agaty z hospicjum, wychowawczynie Agaty.

Moce graczy:

Moc 1: przyjaźń Agaty z Wiktorią.

Agata ma kogoś, komu może zaufać. Komu może się zwierzyć z najbardziej sekretnych myśli. Na przykład z tego, że chce umrzeć.

Agata i Wiktoria szukają w internecie najlepszego sposobu popełnienia samobójstwa. Wiktoria przesyła Agacie linki do strony opisującej śmierć przez wbicie noża w wątrobę. I jeszcze takie z instrukcjami, jak usunąć konto z portalu społecznościowego, jak wyczyścić pamięć komputera i telefonu. Agata szuka stron o nożach, chorobach, lekach i narkotykach, ale też o samobójstwach i zabójstwach. Podczas późniejszego śledztwa kolega z klasy obu dziewczyn zeznaje, że na tydzień przed śmiercią Agaty widział, jak obie z Wiktorią przeglądały mapy terenów zielonych. Ale nie potrafi powiedzieć, o jakie tereny chodziło.

Później, podczas śledztwa, biegła psycholożka spróbuje podsumować tę przyjaźń. Dojdzie do wniosku, że Wiktoria była w tym układzie typem dominującym, a Agata – podporządkowującym się. Że Wiktoria narzucała swoje zdanie, a Agata to zdanie przyjmowała. Że Wiktoria z łatwością mogła Agatą manipulować.

Moc 2: inne przyjaciółki Agaty.

Dziewiętnastego stycznia 2015 roku, nieco ponad miesiąc przed śmiercią, Agata wstawia nowe zdjęcie w tle na Facebooku. Widok zachodu słońca z samolotu, ponad chmurami. Na tym napis: *Don't give up*.

Dziesiątego lutego 2015 roku, jedenaście dni przed śmiercią, Agata zmienia zdjęcie profilowe na Facebooku. Nowe to nie fotografia, tylko rysunek: schematyczna postać (właściwie same kółka i kreski) nakreślona pociągnięciem czarnej kredki, z napisem wokół głowy: „Któregoś dnia zostanę seryjnym mordercą”.

Komentarze jej koleżanek (interpunkcja oryginalna):

Ania: Nie zostawaj.

Angelika: Ania luz xD.

Agata: Ania, wolontariuszy nie zabijam, nie denerwuj się.

Ania: Hahaha XD. Bardzo śmieszne :-)

Angelika: Xd.

Agata: Chyba że do tego czasu zrezygnujesz z wolontariatu. Zasady tak samo jak prawo, nie działają wstecz 3:)

Angelika: Agata nie strasz Ani xD.

Angelika: Ale tak zasady muszą Być.

Agata: Ania, daj znać jak opuścisz nasze hospicjum żebyśmy mogła zaktualizować swoją listę:)

Angelika: Haha XD.



Ania: Jak będę chciała na drugi świat dam znać:-)

Angelika: No i ustalone. Xp.

Ania: Smutno mi trochę bez Was:(. Pozdrawiam Was wszystkich:)

Angelika: Hey Aniu.Nic się nie dzieje fajnie że jesteś z nami duchem :\*\*  
Dziękujemy także za modlitwę no dawno ale jeszcze się zobaczymy. Czemu  
byś nie dała rady ?Aniu przesadzasz ! Pozdrawiamy I jeszcze jedno Aniu po

co tu piszesz pisz na Priv..

Ania: :-(

Agata udziela się w hospicjum w Wejherowie, ma tam przyjaciółki. Podczas późniejszego śledztwa te przyjaciółki opowiadają, że była skryta, małowówna, wycofana, ale jednocześnie zdecydowana. W męskim typie. Twarda, nie miała myśli samobójczych.

Odmienne twierdzi tylko Wiktoria.

Przeszkody:

Przeszkoda 1: zmiana klasy. Agata przenosi się z klasy o profilu wojskowym do klasy o profilu psychologicznym. W nowym otoczeniu szybko się asymiluje, angażuje w działania społeczne, na przykład właśnie w pracę w hospicjum. Więc chyba nie jest tak źle.

Przeszkoda 2: narkotyki. Podczas późniejszego śledztwa Wiktoria zeznaje, że Agata chciała umrzeć, że mówiła o tym od dawna, co najmniej od pierwszej klasy. Że martwiło ją (przy czym „martwić się” to tu zbyt delikatne słowo), że ma coś nie tak z kręgosłupem, że będzie musiała ograniczyć sport. Że się cięła, że od stycznia nosiła na przedramieniu bandaż. Że ćpała, że była uzależniona od narkotyków. Że sama dealowała, konkretnie amfetaminą.

Nie wiadomo, na ile można wierzyć Wiktorii, która jest bardzo zainteresowana tym, żeby Agata wyglądała na osobę zagubioną. Ale chyba trochę można. Uczniowie plotkują o Agacie i narkotykach (tylko brała czy handlowała?), plotki potwierdzi wychowawczyni, która twierdzi, że Agata została przeniesiona do innej klasy karnie, w wyniku podejrzenia o odurzenie narkotykiem.

Przeszkoda 3: przemoc. Dzień przed śmiercią, 20 lutego 2015 roku, Agata przychodzi do szkoły z siniakiem na twarzy. Nie odpowiada na pytania, co się stało. Nie wyjaśnia, czy był to nieszczęśliwy wypadek, czy padła ofiarą przemocy.

Pedagog szkolna twierdzi, że Agata ma siniaka po bójce z Wiktoria.

W 2014 i na początku 2015 roku Agata przechodzi terapię w poradni psychologicznej w Gdyni, na podstawie skierowania wystawionego przez szkolną pedagog i psycholog. W skierowaniu jest napisane, że dziewczyna



cierpi na niekontrolowane napady złości.

Na początku terapii Agata opowiada, że ma myśli samobójcze. Podczas późniejszego śledztwa terapeuta zeznaje, że przyczyną tych myśli była trudna relacja Agaty z matką.

Ostatnia wizyta odbyła się 11 lutego 2015 roku. Terapia została wtedy zakończona. Podczas późniejszego śledztwa terapeuta zeznaje, że Agata opuszczała placówkę w dobrym stanie psychicznym, jej kondycja nie budziła podejrzeń.

Jest dziesięć dni przed śmiercią.

### **Poziom 3.**

Misja: zabić (ją? siebie?).

Czas: 21 lutego 2015 roku.

Liczba graczy: 2, Agata i Wiktoria.

Skin Agaty: tego dnia Agata ma na sobie czarno-czerwoną polarową bluzę, a pod spodem czarną koszulkę z krótkim rękawem z napisem „BOUYGUS ENERGIES AND SERVICES” oraz czarno-szarą termoaktywną bluzkę z długim rękawem. Oprócz tego czarne dżinsy i czarne, sportowe, sznurowane buty firmy Nike. Na głowie – ciemną bawełnianą czapkę, a na szyi – chustę arafatkę w biało-czarną kratę. Ma ze sobą czarny sportowy plecak z napisem INVECT na przedniej kieszeni. Taki obraz pokazuje monitoring z kolejki SKM, z godziny 10.24. W takim ubraniu znaleziono następnego dnia zwłoki Agaty.

Skin Wiktorii: Wiktoria zmienia swojego skina wieczorem. Zakłada ubrania, które wcześniej dała jej Agata.

Awatary: jednym awatarem jest przyjaciółka Agaty, Klaudia. Jedzie z Agatą do Gdańska, na uniwersytet, na wykład otwarty z chemii. Po wykładzie Agata mówi jej, że chce odwiedzić w Gdyni koleżankę i zjeść obiad w barze, a potem wróci na uniwersytet po rower, bo planowała pojeździć po ścieżkach rowerowych. W trakcie przesłuchania Klaudia zeznała, że nie zauważyła w zachowaniu Agaty niczego nietypowego.

Drugim awatarem na tym poziomie gry jest przyjaciółka Wiktorii, Aleksandra. Wiktoria wtajemnicza ją w plan samobójstwa Agaty. Zadaniem Aleksandry będzie zapewnienie Wiktorii alibi.

Moce i przeszkody: nic, czego nie byłoby wcześniej.

Wiktoria spotyka się w Gdańsku ze swoją przyjaciółką z gimnazjum Aleksandrą. Cały czas wymienia SMS-y z Agatą. Między godziną 11 a 13 wysłała ich ponad dwadzieścia.

W tym czasie Agata i Klaudia słuchają wykładu na Uniwersytecie Gdańskim.

Około godziny 13 Wiktoria oddaje Aleksandrze swój telefon. Odprowadza przyjaciółkę do domu i znika na kilka godzin.

W tym czasie Agata kupuje opakowanie tabletek przeciwbólowych Antidol w aptece na gdańskim Przymorzu. Miejski monitoring rejestruje, że o godzinie 17.34 odjeżdża na rowerze w stronę morza.

Agata spotyka się z Wiktorią i Aleksandrą na ulicy, niedaleko domu Aleksandry w Gdańsku. Zostawia im swój rower. Odchodzi.

Po dwudziestu minutach Wiktoria rusza za Agatą na jej rowerze. Omija kamery miejskiego monitoringu.

W tym czasie Agata dociera do parku przy ulicy Krasickiego. Połyka dwie tabletki przeciwbólowe. Wyjmuje z plecaka nóż.

Wiktoria przyłącza się do Agaty. Przebiera się w przywiezione przez Agatę ubrania.

W tym czasie Agata się waha.

Wiktoria podchodzi do Agaty od tyłu i wbija jej nóż w brzuch.

Wiktoria kładzie Agatę na ziemi, wpycha jej rękawiczkę w usta, wyjmuje nóż z jej brzucha i nasuwa na oczy czapkę z daszkiem. Wyjmuje z plecaka Agaty portfel, a resztę rzeczy rozsypuje wokół jej ciała, żeby upozorować napad rabunkowy.

Tak to się wydarzyło. Albo jakoś podobnie. Nikt tego nie widzi. Przebieg wydarzeń odtwarzają potem biegli podczas śledztwa.

Wiktoria wraca do domu Aleksandry, odbiera swój telefon. Ponownie go używa około godziny 21. Nóż, którym zabiła Agatę, wrzuca na dach domu Aleksandry. Potem obie dziewczyny jedzą przygotowaną przez matkę Aleksandry kolację. Po kolacji zauważają, że ktoś ukradł spod domu rower Agaty (nie odnaleziono go).

Wiktoria i Aleksandra rozpalają przy domu ognisko, Wiktoria wrzuca

w ogień ubrania pożyczzone od Agaty, które miała wcześniej na sobie.

Potem Wiktoria wraca do swojego domu, do Gdyni.

O 22.53 pisze do Agaty: „Jestem jakaś zmęczona. Jak minął ci dzień?”.

#### **Poziom 4.**

Misja: zatrzeć ślady.

Czas: 22 i 23 lutego 2015 roku.

Liczba graczy: ciągle 2, Agata i Wiktoria. Agata właściwie już nie gra, nie ma swojego życia, straciła je. Ale w grze biorą udział jej zwłoki.

Awatary: rodzina Agaty, policjanci.

Moce i przeszkody: jak wyżej. Może trzeba tylko trochę bardziej umiejętnie kłamać.

Wczesnym rankiem 22 lutego matka i dziadkowie Agaty zgłaszają na komisariacie policji w Wejherowie zaginięcie dziewczyny. Agata zawsze wracała na noc do domu i nigdy nie znikwała bez uprzedzenia.

O 9.19 Wiktoria wysłała SMS-a do Agaty: „Uciekłaś z domu? Dzwoniła twoja mama. Martwi się. Co się dzieje?”.

Około 9.30 w parku w pasie nadmorskim przy ulicy Krasickiego w Gdańsku przechodnie znajdują zwłoki młodej dziewczyny.

Policjanci dokonują oględzin miejsca zbrodni i zabezpieczają ślady. Stwierdzają, że na ciele kompletnie ubranej dziewczyny jest jedna rana kłuta w okolicy wątroby. Przy ciele znajdują:

- identyfikator z hospicjum w Wejherowie na nazwisko Agaty,
- opakowanie tabletek, które Agata kupiła w Gdańsku poprzedniego dnia. Brakuje dwóch (pośmiertna toksykologia wykaże we krwi Agaty, oprócz leków przeciwbólowych, obecność antydepresantów i środków uspokajających),
- soczewki kontaktowe,
- butelkę z płynem,
- połamane okulary.

Zwłoki Agaty zostają poddane sekcji. Biegły stwierdza zgon na skutek pojedynczego pchnięcia nożem w okolicę wątroby.

Chociaż policjanci przeszukują cały okoliczny teren – pas nadmorski w rejonie znalezienia zwłok, las, wydmy oraz plażę – nie znajdują w pobliżu ciała Agaty niczego, co mogłoby być narzędziem zbrodni. Ustalają, że Agata, była uczennica klasy o profilu wojskowym, nosiła przy sobie noże. Ale tego dnia ich nie miała, zostały w domu jej dziadków.

Nie znajdują też roweru Agaty.

Policjanci powołują grupę specjalną do prowadzenia śledztwa. Sprawdzają nagrania z monitoringu. Przesłuchują znajomych Agaty i jej kolegów ze szkoły. Są przekonani, że był to napad na tle rabunkowym. Sugerują to porozrzucane wokół ciała rzeczy z plecaka Agaty (wszystkie znalezione przedmioty policjanci przekazują do dalszych badań). Wykluczają morderstwo na tle seksualnym: zwłoki Agaty są kompletnie ubrane i poza raną w okolicy jamy brzusznej nie noszą śladów innych obrażeń.

Po sekcji zwłok wiadomo, że śmierć nastąpiła 21 lutego między godziną 18 a 21. Agata była trzeźwa.

Biegła nie widzi w okolicy rany tak zwanych nacięć próbnych, charakterystycznych dla samobójców. Nie może jednak wykluczyć, że Agata sama zadała sobie cios. W żadnym z pobranych i zbadanych śladów nie znaleziono materiału genetycznego Wiktorii. Tylko Agaty.

Policjanci sprawdzają logowania się telefonów Agaty, Wiktorii i Aleksandry. Wiedzą już, że po południu 21 lutego wszystkie trzy dziewczyny przebywały blisko siebie, na Przymorzu. Sprawdzają też SMS-y wysłane z telefonu Wiktorii. 21 lutego, między 11 a 13, Wiktoria wymieniła z Agatą dwadzieścia wiadomości tekstowych. Potem, aż do godziny 21, nie używała telefonu. O 22.53 napisała do Agaty, że jest zmęczona, i spytała, jak jej minął dzień. Następnego dnia rano, czyli 22 lutego, o 9.19 Wiktoria wysłała do Agaty SMS-a z pytaniem, czy uciekła z domu, bo dzwoniła jej zaniepokojona mama. Później już nie pisała ani nie dzwoniła.

Dwudziestego trzeciego lutego policjanci przesłuchują Wiktorię w charakterze świadka. Na komisariacie dziewczyna wpada w histerię. Jest agresywna, mówi nieskładnie. Policjanci nie są w stanie zrozumieć jej zeznań. Wiktoria trafia do szpitala psychiatrycznego w Gdańsku.

Dwudziestego piątego lutego Wiktoria jest jeszcze raz przesłuchiwana, w szpitalu, w obecności psychologa. To wtedy opowiada o tym, że Agata

ćpała, handlowała narkotykami, samookaleczała się, nosiła przy sobie nóż.

Podczas tego przesłuchania Wiktoria jest ostrożna, wycofana, zastanawia się nad odpowiedzią na każde pytanie. Odpowiada półsłówkami, równoważnikami zdań. Ożywia się tylko wtedy, gdy prokurator zadaje pytanie: „Czy Agata zostawiła list pożegnalny?”. „Co? – pyta Wiktoria. – Agata zostawiła list?”. W jej głosie słychać niedowierzenie.



Wiktoria zeznaje: „Na Facebooku Agata zmieniła konto, bo kiedyś zapytała mnie, czy ją zabiję. Myślałam, że to dla żartów. Pisałyśmy, że to zrobię. Ona chciała, żeby to nie było samobójstwo, żeby ktoś to zrobił. Chodziło o to, że nie chciała wyjść na słabą... Nie wiem, czy tych pomysłów było kilka. Było chyba też, żeby ktoś ją zadźgał, Agata to chyba wymyśliła. Ja wymyśliłam, że można by to zrobić w lesku przy plaży... Ten pomysł z nożem i laskiem powstał w ferie. Była data tego pomysłu z laskiem, 21

lutego. To żadna szczególna data, ja ją wymyśliłam, tak palnęłam z głowy. Agata już wcześniej szukała kogoś, kto by to zrobił. Ja powiedziałam, że tego nie zrobię... Policja mi mówiła, gdzie ją zabili... Nie pamiętam, kiedy poprosiłam Agatę, żeby skasowała to, co pisałyśmy o tym zabiciu. O śmierci Agaty rozmawialiśmy tylko na Facebooku... Ja tę rozmowę usunęłam, bo usuwam wszystkie. Syn chłopaka mojej mamy przegląda moje wiadomości... W piątek, w tym lasku koło szkoły, jak widziałam ją po raz ostatni, Agata powiedziała, że znalazła kogoś, kto ją zabije, nie chciałam o tym słuchać... Co do samobójstwa, mówiła coś o dziadkach. Że jak jej dziadkowie umrą, to ona też się zabije... Albo że sama ich zabije, a potem siebie, bo nie chciała im robić przykrości swoim samobójstwem... Potem od matki Agaty dowiedziałam się, że ona nie żyje. Wtedy myślałam, że ten 21 lutego to moja wina, że dla zabawy dałam się ponieść, a ona wykorzystała to, co było zaplanowane. Myślę, że Agata mogłaby sama sobie wbić nóż, byłaby do tego zdolna... Wtedy, w naszych planach jej zabicia, ktoś miał wbić jej nóż w wątrobę.

Agata znała się na biologii i chemii, ja się nie znam...”.

### **Poziom 5.**

Misja: ?

Gracze: brak.

Awatary: policjanci, prokurator.

Na tym poziomie właściwie nic się nie dzieje. Następuje impas w śledztwie. Policjanci wydają serię komunikatów informacyjnych, w których kładą nacisk na fakt, że ten rejon miasta jest bezpieczny. Przechadza się tam regularnie wiele mundurowych patroli. W 2014 roku w pobliżu parku Haffnera w Gdańsku odnotowano kilka przestępstw przeciwko mieniu, np. kradzież elementów ze zderzaka samochodu, kradzież nawigacji, wybicie szyby, ale były to czyny o tak zwanej niskiej szkodliwości społecznej. Oprócz tego wystawiono jedynie kilkanaście mandatów za picie alkoholu w miejscu publicznym.

W tym rejonie nigdy nie popełniono morderstwa.

### **Poziom 6.**

Misja: kłamać? Zmylić tropy? A może szukać uznania?

Czas: cztery miesiące po śmierci Agaty.

Liczba graczy: 1, Wiktoria.

Awatary: lekarze oddziału psychiatrycznego, pacjenci oddziału psychiatrycznego, policjanci, prokurator prowadząca śledztwo.

Moce i przeszkody: mocą Wiktorii jest jej ogromna umiejętność manipulacji ludźmi. A przeszkodą? Chyba to, że nie może znieść tego, że nikt jej nie docenia...

Na oddziale szpitala psychiatrycznego Wiktoria tłucze szklanekę i szkłem rani pacjentkę Barbarę. Twierdzi, że czuje potrzebę zabijania, a Barbara przecież nie chce już żyć.

Piątego maja lekarze ze szpitala zawiadamiają policję.

Policjanci ustalają, że jeden z telefonów Agaty loguje się na terenie szpitala psychiatrycznego.

Przesłuchują pacjentów szpitala.

Pacjentka Katarzyna zeznaje, że Wiktorię fascynuje śmierć. Że Wiktoria zwierzyła się jej, że zabiła Agatę. Że zrobiła to tak perfekcyjnie, że policja uzna to za samobójstwo. Że idąc na spotkanie z Agatą, omijała kamery monitoringu. Że dała swój telefon koleżance, żeby nie logował się na miejscu zbrodni. Że już po wszystkim spaliła ubrania, które miała na sobie, kiedy mordowała Agatę. Że Agata nie chciała żyć, a ona, Wiktoria, tylko jej pomogła. (Biegła psycholog ocenia zeznania jako wiarygodne – Katarzyna mówi o szczegółach, których policja nie udostępniła mediom.)

Pacjent Dariusz opowiada, że jemu również Wiktoria zwierzała się, że zabiła Agatę. Że planowały to od miesięcy. Że twierdziła, że zrobiła to na prośbę przyjaciółki. Że Agata w ostatniej chwili przestraszyła się i chciała wycofać. Że Wiktoria postanowiła tylko skończyć to, co wspólnie zamierzały.

Pacjentka Klaudia zeznaje, że tak się umówiły z Wiktoria, że Wiktoria ją udusi, gdy Klaudia nie będzie chciała już żyć.

Dwudziestego piątego maja policjanci przeszukują rzeczy Wiktorii w szpitalu. Znajdują telefon Agaty. Znajdują też pamiętnik Wiktorii. W pamiętniku są takie zapisy: „morderstwo Agaty nie zostanie

wyjaśnione”, „nie zrobiłam tego, nie chcę, żeby Basia była drugą Agatą”.

Policjanci otrzymują wyniki toksykologii z ciała Agaty. W próbkach pobranych ze zwłok znaleziono: amitryplinę („w stężeniu najczęściej spotykanym w zakresie stężeń śmiertelnych”), paracetamol, ketoprofen, kodeinę, bisoprolol, morfinę i hydroksyzynę. Wszystko wskazuje na to, że dwie pastylki Antidolu, które Agata połknęła tuż przed śmiercią, były tylko wisienką na torcie. Substancje odkryte w organizmie dziewczyny – jak stwierdzili biegli – wchodzi z sobą w reakcje i pogłębiają depresyjne i toksyczne działanie na ośrodkowy układ nerwowy.

Zdaniem biegłych obecność tych substancji w organizmie Agaty dowodzi, że dziewczyna wiedziała, co się z nią stanie. Pojedynczy napastnik nie zdołałby najprawdopodobniej zwabić Agaty w ustronne miejsce, zmusić do przełknięcia leków i zabić. A gdyby napastników było kilku, zostawiliby więcej śladów.

Agata nie mogła zadać sobie ciosu sama. Na miejscu zbrodni nie znaleziono narzędzia.

Sprawca był emocjonalnie związany z Agatą. Dziewczyna miała czapkę nasuniętą na twarz.

Biegli psychologowie stwierdzają, że morderca nie chciał na nią patrzeć.

## **Poziom 7.**

Misja: do niczego się nie przyznawać.

Czas: dwa lata po śmierci Agaty.

Liczba graczy: 1, Wiktoria.

Awatary: policjanci, sędzia, prokurator, biegli.

Moce i przeszkody: Wiktoria nie ma już żadnych mocy. I każda rzecz na jej drodze staje się przeszkodą.

Dwudziestego piątego maja 2015 roku Wiktoria i Aleksandra zostają aresztowane.

Wiktoria pod zarzutem zamordowania Agaty.

Aleksandra pod zarzutem utrudniania postępowania karnego w sprawie zabójstwa i zapewniania alibi sprawcy przestępstwa.



Aleksandra wyjaśnia, że Wiktoria i Agata zaplanowały to wszystko razem. Że Agata chciała popełnić samobójstwo z powodu choroby jednego z dziadków. Że Wiktoria miała jej w tym pomóc. Że 21 lutego spotkały się niedaleko jej domu. Że Agata zostawiła Wiktorii swój rower i poszła w stronę morza. Że Wiktoria dała Aleksandrze swój telefon i pojechała za Agatą. Że po jakiejś godzinie Wiktoria wróciła bardzo pobudzona, z nożem i rowerem. Że rower zostawiła na zewnątrz, potem ktoś go ukradł. Że nóż wrzuciła na dach garażu. Że zjadła z Aleksandrą kolację przygotowaną przez mamę Aleksandry. Że po kolacji rozpała ognisko i spaliła ubranie. Że opowiedziała Aleksandrze, jak Agata sama się dźgnęła nożem i wywróciła oczami, a Wiktoria zatkała jej usta, żeby nie krzyczała.

Powodem samobójstwa Agaty miała być choroba jednego z jej dziadków.

Aleksandra wskazuje miejsce ukrycia noża, którym Wiktoria zabiła Agatę.

Na nożu nie ma śladów linii papilarnych. Ale biegli stwierdzają – na podstawie charakteru, wielkości i kształtu rany – że mógł być użyty do popełnienia zabójstwa.

Aleksandra zeznaje, że Wiktoria (jak sama jej o tym później opowiedziała, Aleksandry przecież tam nie było) wbiła Agacie nóż w brzuch, stojąc za dziewczyną. Potem położyła ją na ziemi, wyjęła nóż i nasunęła jej czapkę na oczy. O tym, że Aleksandra mówi prawdę, świadczą ślady zabezpieczone podczas śledztwa: plamy na twarzy, głębokość rany, pośmiertne ułożenie ciała.

Czwartego sierpnia 2017 roku Wiktoria zostaje uznana za winną zabójstwa Agaty. Sąd skazuje ją na jedenaście lat pozbawienia wolności oraz sto tysięcy złotych zadośćuczynienia na rzecz matki zamordowanej.

Wiktoria do dzisiaj nie przyznaje się do winy. Jedynie do pomocy Agacie w samobójstwie i upozorowaniu napadu rabunkowego. Do tego, że przebrała się w ciuchy Agaty. Że pojechała na miejsce spotkania z Agatą do parku nad morzem. Że widziała, jak Agata sama położyła się na plecach, sama rozrzuciła rzeczy ze swojego plecaka, sama włożyła sobie do ust rękawiczkę, sama wzięła zamach i sama ugodziła się nożem. Że widziała, jak po tym wszystkim Agata dostała drgawek i jak nóż wysunął się jej z dłoni. Że kiedy drgawki ustały, Wiktoria wyjęła nóż z brzucha Agaty. Dalej już wiadomo.

Tego samego dnia sąd uznaje Aleksandrę za winną utrudniania postępowania karnego i zacierania śladów zbrodni. Zostaje skazana na jeden rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na cztery lata.

Aleksandra przyznaje się do pomocy w zatarciu śladów po śmierci Agaty. Cały czas utrzymuje, że Wiktoria jedynie pomogła przyjaciółce w samobójstwie.

### 3

Siedemnastolatki wyglądają jak dorośli. Ale nimi nie są. Nawet jeśli im samym wydaje się inaczej.

### 4

Siedemnastolatki różnią się od dorosłych między innymi mózgiem, które przechodzą właśnie najbardziej skomplikowaną przebudowę w ciągu całego życia człowieka.

Młode większości ssaków potrafią się samodzielnie poruszać kilka godzin po urodzeniu. Ludzkie dziecko na naukę skoordynowanych ruchów potrzebuje około dwóch lat – a to zaledwie wierzchołek góry lodowej umiejętności, które musi opanować. Dzieje się tak, gdyż niemowlę z całkowicie rozwiniętym mózgiem nie zmieściłoby się w kanale rodym. Ewolucja każe nam płacić za inteligencję długotrwałym rozwojem. W porządku, nauczyliśmy się z tym żyć.

Jeszcze do niedawna uważano, że ten rozwój kończy się, kiedy dziecko umie już chodzić, mówić, myśleć logicznie, liczyć, posługiwać się pismem, kiedy zna reguły gramatyki i opanowało podstawowe zachowania społeczne. Kiedy potrafi napisać na ścianie brzydki wyraz bez błędu i wie, że rzucanie się na podłogę w sklepie to kiepski pomysł, bo do niczego nie prowadzi. Do niedawna uważano, że gęstość połączeń nerwowych w mózgu, słaba w okresie niemowlęcym, z wiekiem rośnie i u kilkuletniego dziecka osiąga wartość maksymalną. Sądzono, że mózgi kilkuletnich dzieci, a już na pewno nastolatków, są takie same jak mózgi dorosłych – trzeba je tylko naładować wiedzą.



Ale to nieprawda. Mózg nastolatka, który potrafi nauczyć się wiersza na pamięć, radzi sobie w gąszczu internetu i w gąszczu miasta, wie, skąd się biorą dzieci i jak obijać się na lekcjach, żeby nauczyciel tego nie zauważył – ma więc już wiedzę o świecie, wszystkie umiejętności fizyczne i podstawowe umiejętności społeczne – mózg takiego nastolatka ciągle jest w przebudowie.

Te różnice w stadiach rozwojowych poszczególnych rejonów mózgu są

szczególnie widoczne w korze mózgowej, której różne obszary dojrzewają w różnym czasie. Proces rozpoczyna się od tyłu (to się nazywa płat potyliczny) i posuwa do przodu. Płaty czołowe kory mózgowej osiągną pełną dojrzałość dopiero koło dwudziestego piątego roku życia.

## 5

Płaty czołowe kory mózgowej są ośrodkiem świadomości, zdolności racjonalnego myślenia i umiejętności racjonalnego podejmowania decyzji. Tam też dokonuje się właściwa ocena zachowań – własnych i innych – oraz konsekwencji tych zachowań. To właśnie ten obszar mózgu panuje nad irracjonalnymi impulsami, to tam zdrowy rozsądek bierze górę nad emocjami.

## 6

Ocena konsekwencji zachowań – to słowa-klucze.

## 7

Dlatego nastolatki są nieprzewidywalne, nie potrafią podejmować racjonalnych i odpowiedzialnych decyzji.

## 8

Podczas śledztwa biegli stwierdzają, że Wiktora ma osobowość z trudem przystosowującą się do reguł społecznych. Szybko się buntuje, bywa agresywna, reaguje impulsywnie, bez namysłu. Nie widzi powodu, żeby nie robić czegoś, na co ma ochotę. Albo przeciwnie, żeby robić coś, na co ochoty nie ma. Przeżywa wahania nastroju.

Potrzebuje silnych wrażeń – silniejszych, niż są w stanie zapewnić koleżanki czy szkoła. Musi czuć więcej.

Czerpie przyjemność z zadawania bólu.

Psychiatrzy nie stwierdzają u Wiktorii choroby psychicznej. Stwierdzają za to fascynację śmiercią i przemocą. Oraz chwiejną emocjonalnie osobowość.

## 9

Agata była uległa. Trochę wycofana w kontaktach z innymi ludźmi. Łatwa do manipulowania. Łatwo wpadająca w depresję.

Choroba dziadka, zła relacja z matką, pogorszenie się stanu zdrowia, zmiana klasy – to było dla niej za dużo. Wystarczyło, żeby zaczęła myśleć o samobójstwie.

## 10

Wiktoria chciała zabić. Agata chciała umrzeć. Nikt im nie powiedział, że to nie jest gra.

## 11

Nie ma dowodu na to, że Agata i Wiktoria grywały w gry komputerowe. One traktowały świat jak jedną wielką grę. Obie miały po siedemnaście lat. Kora czołowa ich mózgów była niedojrzała.

## 12

Jeszcze kilka lat i wszystko by minęło. Płaty czołowe kory mózgowej by dojrzały. Wiktoria i Agata zrozumiałyby, że martwy człowiek nie żyje. Że nie można umrzeć, a potem się rozmyślić. Że konsekwencje ich czynów są nieodwracalne. Że w grze zwanej życiem naprawdę można stracić życie.

## 13

A może nie? Niektórzy ludzie nigdy nie dojrzewają.

## 14

Dawno, dawno temu Super Mario Bros odniosła wielki sukces komercyjny. Według książki rekordów Guinnessa sprzedano ją w czterdziestu milionach egzemplarzy. Ale to była tylko gra.

Nie tak dawno temu nastolatki Agata i Wiktoria rozegrały swoją grę we dwie.



Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. Mario i Luigi mieli po kilka żyć. Mogli zwiększyć ich liczbę, kiedy zdobyli sto monet albo takie specjalne zielone grzybki, albo kiedy pokonali rozmaitych przeciwników. Gracz tracił życie, kiedy Mario odniósł obrażenia, wypadł z planszy lub nie dał rady dojść do celu przed upływem określonego czasu.

Nie tak dawno temu w grze nastolatek Agata i Wiktoria miały tylko po jednym życiu. Nie mogły zwiększyć liczby żyć. W ich grze kiedy gracz tracił życie, to je tracił.

Dawno, dawno temu w grze Super Mario Bros. gra kończyła się niepowodzeniem, kiedy gracze stracili wszystkie życia.

Nie tak dawno temu gra nastolatek też zakończyła się niepowodzeniem. Agata nie żyje. Wiktoria odsiaduje w więzieniu jedenastoletni wyrok, ale co to za życie.

## 15

Dawno, dawno temu nastolatki zamykały się w pokojach, żeby rodzice im nie przeszkadzali, kiedy grały w Super Mario Bros.

Nie tak dawno temu dwie nastolatki, Agata i Wiktoria, zamykały się w pokoju, żeby rodzice im nie przeszkadzali, kiedy planowały śmierć. Kiedy szukały w internecie informacji o tym, jak skutecznie popełnić samobójstwo lub kogoś zabić.

Dawno, dawno temu sama grałam w Super Mario Bros.

Nie tak dawno temu w tę grę (jest teraz nowa wersja) zaczęła grywać moja córka, która niedługo będzie nastolatką.

Skąd mam wiedzieć, co będzie robiła w swoim pokoju, kiedy zamknie się, żebym jej nie przeszkadzała?

.



914

1 PRO1400

ANCORA-8888

FILIT 2

PRO1600





# **SZCZEGÓLNE POTĘPIENIE**

**MAŁGORZATA I MICHAŁ  
KUŹMIŃSCY**

## MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY

Autorzy serii powieści etnokryminalnych o antropolożce kulturowej Ance Serafin i dziennikarzu Sebastianie Strzygoniu. Akcja *Ślebody* toczy się na współczesnym Podhalu, a sięga niechlubnej przeszłości góralskiej kolaboracji. *Pionek* osadzony jest na Górnym Śląsku, gdzie opowieści o seryjnych mordercach-wampirach wydają się niepokojąco prawdziwe. Akcja *Kamienia* zaczyna się od znalezienia zwłok jasnowłosego dziecka na obrzeżach romskiej osady. Ich najnowsza powieść – *Mara* – skupia się wokół niepamięci o polowaniach na ukrywających się Żydów w czasie II wojny światowej i pytań o polską winę. Wcześniej napisali także dwie powieści sensacyjno-kryminalne retro, których akcja toczy się na krakowskim Kazimierzu: *Sekret Kroke* oraz *Kłótwę Konstancy*. Za *Sekret Kroke* zostali nominowani do Nagrody Wielkiego Kalibru, za *Pionka* – do nagrody dla najlepszej miejskiej powieści kryminalnej, przyznawanej na festiwalu „Kryminalna Piła”, za *Kamień* – do nagrody Złotego Pocisku.

Ona – z wykształcenia i zamiłowania antropolożka kulturowa, zawodowo menedżer w branży informatycznej. On – dziennikarz, autor popularnonaukowej książki *Nauka w kuchni* i tekściarz..



## *Piekło to inni*

*Jean-Paul Sartre*

### 1

Pierwsza w nocy. Syn staje w drzwiach. Po prawej dłoni cieknie mu krew. Czarny płaszcz ma ubłocony. Błoto na twarzy.

– Tomasz!?! Co się stało!?! – krzyczy matka.

– Robert mnie dźgnął. Nożem. Jak szedłem na imprezę.

– I po co na takie imprezy chodzisz, na których się potem biją?! – narzeka kobieta, gdy Tomasz zdejmuje jesionkę, czarną marynarkę i kamizelkę w paski. Jego o dwa lata młodszy brat Janek patrzy na białą koszulę Tomka, na mokre plamy krwi na brzuchu i rękawie.

– Pogotowie! – woła matka.

– Nie trzeba – krzywi się Tomek. – Tylko z tego będą kłopoty w szkole. A to wcale nie boli.

Kobieta ciągnie go do łazienki. Przemywa ranę powyżej pępka i rozcięty nadgarstek. Tomasz opowiada.

Z Robertem, Kariną i Kamilem szli przez las ulicą Skośną w Rudzie Śląskiej. Od nich z Halemby to niedaleko, często tam bywali. Robert powiedział, że impreza będzie w bunkrze. Jednym z kilkudziesięciu obiektów Obszaru Warownego Śląsk – umocnień, które miały postawić tamę hitlerowskiemu najazdowi. Rudzkie bunkry, rozrzucone po lasach, niszczeją. Beton kruszeje, stal zżera rdza, ślady po odłamkach z granatów przykrywa graffiti, po posadzkach walają się kawałki szkła i butelki po winie.

– Wysłali mnie po sprzęt – mówi Tomasz. Brat rozumie: chodzi o wódkę.

Gdy Tomasz przyszedł z wódką do bunkra, Karina i Kamil leżeli po lewej stronie. Robert stał obok z długim nożem. Tomasz podszedł do niego, dostał cios w brzuch. Upadł. Stracił przytomność.

Gdy się ocknął, Roberta nie było. Karina i Kamil leżeli bez ruchu.

Podniósł się i dowlókł do domu.

Rany na brzuchu i nadgarstku już opatrzone. Nie są głębokie. Wszyscy troje idą spać.

Około piątej rano matka budzi Janka. Tomasz jest w ciężkim stanie. Boli go. Musi jechać do szpitala, trzeba znaleźć kogoś z samochodem.

Do szpitala w Goduli odwozi go sąsiadka.

– Janek – prosi brata przed wyjazdem Tomasz. – Idź do bunkra. Zobacz, czy oni tam jeszcze leżą. Czy żyją.

Janek dzwoni do kolegi, nie chce iść sam. Idą na Skośną, skręcają w las. Znajdują bunkier. Betonowy, pozieleniały od mchu sarkofag, jakby wynurzał się ze ściółki, pośród rachitycznych drzew o poskręcanych pniach i nagich jeszcze, rozcapierzonych gałęziach. Od ziemi bije chłód przedwiośnia.

Bunkier nie ma drzwi. Korytarz wiedzie najpierw w lewo, potem w prawo, dalej jest pomieszczenie, po jego lewej stronie widać przejście do kolejnego. Wchodzą.

Czują swąd spalenizny. Na podłodze widzą dwie sylwetki. Wracają zawiadomić matkę Tomka i Janka, a zaraz potem policję.

Jest słoneczna, ale chłodna środa 3 marca 1999 roku. W bunkrze jest jeszcze zimniej. Na betonowej podłodze pierwszego pomieszczenia liście, ziemia i śmieci. Z okienka strzelniczego ścieka po ścianie coś, co przypomina krew.

Technik kryminalistyki zbiera płyn na sącdek. Prokurator Lucyna Skrzypek dyktuje, młodszy aspirant z rudzkiej komendy miejskiej wypełnia protokół.

Drugim zabezpieczonym śladem jest nóż z rękojeścią z czarnego plastiku i dwusiecznym ostrzem, tani sztylecik.

Przy ścianie siedem opakowań po świecach marki Opium, obok wypalona świeca. Czarna. Na podłodze ślady wosku i nakreślony kredą pentagram.

Kolejne ślady: na wpół spalone skrawki papieru. Na dwóch z nich widać ręcznie wypisane litery.

Na jednym: EGO ADAMUS MAGNUS IMMOLARE UT INFERNUM

VIDETUR AGE PRAESTO ESSE IMPERATOR EGO ENTIE ET NIHIL PLUS NULLO.

Na drugim: EGO ADAMUS MAGNUS CAEDERE MEUM CORPUS UT INFERNUM OSTENDERE AGE PRAESTO UT OSTENDERE MIHI MEUS NUMEN.

Jest też łańcuszek uwalany czymś brunatnym. I więcej krwi.

W drugim pomieszczeniu, głową do wejścia, leży dziewczyna o nieruchomych oczach. Karina. Wrzosową kurtkę z irchy ma zadartą aż pod szyję. Na obnażonym brzuchu tatuaż: księżyc obejmujący pępek. Na twarzy krew. Jej nogi są spalone. Spoczywają na ramionach i piersi chłopaka leżącego dalej. To Kamil. Ma tak samo zadarty sweter. Twarz i ręce spalone. Dużo krwi. Szeroko rozrzucone nogi. Pod obydwoma ciałami resztki gałęzi i chrustu.

Na ścianie naprzeciw wejścia namalowane czerwoną farbą dwa odwrócone krzyże – przy ramionach jednego z nich widnieją trzy szóstki. Pomiedzy nimi trójząb z trzema literami F przy wierzchołkach. Na pozostałych ścianach kolejne znaki. Krzyż Konfucjusza. Oko Horusa. I następny niezrozumiały napis: DIES MIES JESCHET BOENEDOESEF DOUVENA ENITHEMAUS. RzUCA się też w oczy słowo „Satana”.

Przeprowadzona następnego dnia sekcja zwłok wykaże na ciele Kariny M. osiem kłutych i ciętych ran głowy, dwie na karku, pięć kolejnych na tułowiu i ramionach. Dziewczyna miała też poranione palce – próbowała się zasłaniać przed ciosami noża. Na ciele Kamila W. biegli doliczą się piętnastu kłutych ran tułowia, następnych dwóch na udzie i ramieniu, do tego dwie rany cięte na plecach. W ich organizmach nie ma alkoholu. Nie ma też hemoglobiny tlenkowej, powstającej przy wdychaniu tlenu węgla, zatem podpalono ich już po śmierci.

Przyczyną śmierci Kariny i Kamila są liczne rany z uszkodzeniem narządów wewnętrznych i wykrwawienie.

Ale biegli zauważają jeszcze jedno. Dziewczynie rany zadano narzędziem dwusiecznym – takim, jak znaleziony w sąsiednim pomieszczeniu sztylet. Rany chłopaka, z wyjątkiem dwóch, pochodziły od narzędzia o jednym ostrzu, zwykłego noża.

Jeszcze tego samego dnia reporter działu kryminalnego „Dziennika Zachodniego” Dariusz Krawczyk dostaje cynk: w Halembie dokonano satanistycznej zbrodni. Nazajutrz, 4 marca, jako pierwszy w Polsce publikuje informację o makabrycznym odkryciu rudzkich policjantów. To mała notka na pierwszej stronie dziennika, zepchnięta do narożnika przez duży artykuł o braku udogodnień dla inwalidów w szpitalu. Tytuł: *Zbrodnia w bunkrze*. Nie pada w niej jeszcze słowo „satanizm”. Nie zgodził się redaktor, uznał że byłoby to na poziomie brukowca.

O „mordzie satanistów” Dariuszowi Krawczykowi będzie wolno napisać dopiero następnego dnia. Po tym, jak sprawa rozgrzeje do czerwoności media całej Polski, które słowo „satanizm” odmieniają już przez wszystkie przypadki.

Polska przełomu tysiącleci w zadziwieniu przygląda się sobie i pyta: jak to się stało, że po nasze dzieci ręce wyciągnął szatan?

## 2

Był 1999 rok.

Dziesięć lat wcześniej Polska z optymizmem powitała zmianę ustrojową, a ludzie patrzyli w przyszłość z nadzieją, chociaż nie bez niepokoju. Czas jednak z nadzieją obszedł się brutalnie, pozostawiając niepokój. A ten ewoluował w paralizujący lęk, wściekłość albo apatię. Polska się zmieniała, ale mało kto wciąż jeszcze wierzył, że w drugą Japonię.

A to, co znane, odeszło. Wielu ludzi straciło pewność, że za miesiąc dostaną pensję – bo zakład pracy może upadnie lub zostanie zrestrukturyzowany, co często wychodziło na to samo. Bo zatrudniający na czarno kapitalista po prostu przestanie płacić. „Mam stu chętnych na twoje miejsce” – powtarzają pracodawcy jak mantrę. Widmo bezrobocia krąży po kraju. Trzeba mieć szczęście, znajomości albo – kolejne zakłęcie – być przedsiębiorczym.

Był wielu rodzin został wydany na pastwę przypadku i tajemniczych sił ekonomicznych.

Bo jak wytłumaczyć to, że Górny Śląsk, perłę w koronie PRL, nowa Polska uznaje za brzemień? Że nagle górnictwo wydobywa za dużo? Niedawny powód do dumy – rekordy wydobycia – stały się problemem, bo to za duże



zatrudnienie i koszty. W 1998 roku dług spółek węglowych sięga piętnastu miliardów złotych. Branża przynosi gigantyczne straty. Politycy mówią o programach naprawczych, a rozdają przywileje. Liberalni publicyści piszą o górniczym lobby. Rośnie szara strefa, handel długami, wybuchają afery węglowe. Kopalnie idą do likwidacji, górnicy rozważają, czy wziąć odprawę i odejść – ale co będą robić, skoro całe życie kopali węgiel?

Na Śląsku demon transformacji podjudza ludzi przeciwko sobie, wystawia na próbę więzi sąsiedzkie, a nawet rodzinne. Pracownicy zwalniani z tych samych zakładów, sąsiedzi, którzy przez lata mieli wprawdzie niewiele, ale wszyscy po równo, teraz zaczynają się różnić statusem. Ktoś za odprawę kupił telewizor i magnetowid. Kto inny – starego merca z Niemiec na taksówkę. Ktoś wyjechał za granicę.

Ludzie sobie pomagają – pożyczają zaskórniaki, podrzucają dzieci, gdy trzeba iść do kolejnej pracy. Ale też popadają we frustrację, zazdroszczą. Mówi się, że przecież pierwszy milion trzeba ukraść. Że bez znajomości się nie da. Że bogacą się tylko ci, którzy mają coś na sumieniu. A nawet krew na rękach.

Jest to też czas, kiedy rodzi się polska mafia. W telewizji i gazetach zadomawiają się Pruszków i Wołomin, Dziad, Pershing, Masa. W 1998 roku przed własnym domem ginie były komendant główny policji Marek Papala. Policja wydaje się obywatelom bezradna – w polonezach przeciw limuzynom mafii, z procedurami przeciwko kijom bejsbolowym. Bierna, niezdolna do obrony nawet samej siebie. Z przyzwyczajenia niegodna zaufania, jak bohaterowie kultowego już w tamtych czasach filmu Psy – pozytywnie zweryfikowani esbecy.

Państwo, z Wielkiego Brata przeistoczone w niezdarnego ciecica, nie zapewnia poczucia bezpieczeństwa. Kolejne reformy – emerytalna i oświaty z 1999 roku – nie pozwalają odetchnąć od zmian, stawiając w obliczu nieznanego i starych, i młodych. Sytuacja w służbie zdrowia woła o pomstę do nieba. Rolnicy skarżą się, że produkcja żywności im się nie opłaca, i urządzają blokady dróg.

Ludzie żyją nadzieją, że właśnie finalizowane przyjęcie Polski do NATO wszystko zmieni, odepchnie czyhające tuż za wschodnimi granicami niebezpieczeństwa. Europa jawi się jako lek na całe zło. Ale do Europy jeszcze daleko.

Na transformacyjnym placu budowy, wśród pobożowiska socjalistycznych pawilonów i wykopów pod szklane wieżowce nowej ekonomii, jako jedyny bez uszczerbku stoi na swoim posterunku – Kościół katolicki, umocniony wygraną z komunistycznym wrogiem i wizytami duszpasterskimi papieża-Polaka. Katecheza triumfalnie wraca do szkół, krzyże na ściany urzędów, w 1998 roku w życie wchodzi konkordat.

Kościół wkracza na polityczne salony, przed hierarchami klękają przedstawiciele państwa, żołnierze i funkcjonariusze wzywają Bożej pomocy w przysiędze, rządzący oglądają się na biskupów przy stanowieniu prawa – obowiązek respektowania chrześcijańskich wartości zostaje wpisany do ustaw, np. o radiofonii i telewizji. Z ambon otwarcie padają wytyczne wyborcze. Aborcja, eutanazja, antykoncepcja i rozwiązłość – przejawy nadchodzącej z Zachodu cywilizacji śmierci – zajmują w kazaniach miejsce bezbożnej komuny.

Dla wielu ludzi Kościół jako nieprzejednana ostoja wartości moralnych stanowi jedyny stały punkt odniesienia w szalonej transformacyjnej rzeczywistości. Inni krzywo patrzą na rosnącą potęgę Kościoła, trzymającego żelazną ręką rząd dusz, ale i świetnie potrafiącego zadbać o swoje całkowicie ziemskie interesy. Ale do kościoła chodzą wszyscy. Nastolatki z Halemby również.

W świecie, w którym nagle można kupić wszystko, ale poczucie bezpieczeństwa znalazło się na liście towarów deficytowych, coraz więcej ludzi wierzy w spiski. Przecież świat musi mieć jakiś sens, nawet jeśli jest to sens ukryty. Ktoś musi stać za bezrobociem czy zepsuciem. Na półkach kiosków pojawiają się obok siebie *Poznaj Żyda* i *Życie po życiu. Pamiętniki Anastazji P., sejmowej kurtyzany*, i *Mein Kampf*. Paweł S., jeden z kolegów z Halemby, *Biblię Szatana* Antona Szandora LaVeya, twórcy nowoczesnego satanizmu, kupi w sklepiku w Szpitalu Górniczym. Za sześć złotych.

Mieszają się porządki. Do rządzenia światem z jednej strony pretendują Żydzi i masoni, a z drugiej – rosyjskie służby specjalne – jak w popularnym wówczas serialu *Ekstradycja*, niezłustrowani komuniści, bankierzy z Wall Street, Niemcy czyhający no to, by wykupić polską ziemię. W czarnym bmw, wnuku czarnej wołgi, po polskich drogach, porywając dzieci, krążą już nie ksiądz i zakonnica, ale ruska mafia lub szatan we własnej osobie – we wrześniu 1999 roku plotka o szatanie w limuzynie, który pyta o godzinę,

a potem zabija, wywołuje panikę w Ostrowie Wielkopolskim.

Kwitnie wiara w zjawiska paranormalne, w UFO, w duchy, telepatię, radiestezję, reinkarnację z jednej strony, a z drugiej w opętania, objawienia, cuda. Na szybach ukazuje się Matka Boska, figury świętych płaczą krwawymi łzami. Na półkach sklepów z pamiątkami pojawiają się amulety, wahadełka, figurki Buddy, egipskie hieroglify. Księża i katecheci ostrzegać będą przed emanującymi z nich zagrożeniami duchowymi, obok pentagramu i odwróconego krzyża stawiając pacyfkę i symbol jin-jang. Za zły sen odpowiadać może zarówno żyła wodna pod mieszkaniem, jak i uprawianie jogi. Za upadek przemysłu – skorumpowany układ albo zagraniczne służby.

W czasach powszechnej niepewności pojawia się pokusa zajrzenia w przyszłość – powracają przepowiednie Nostradamusa, spekulacje na temat trzeciej tajemnicy fatimskiej, w której kryć miała się „straszliwa wizja”. Papież Jan Paweł II upubliczni ją w 2000 roku. Pojawiają się karty Tarota, nawet jako insert do kobiecego czasopisma. Wreszcie – wizje końca świata, jak przystało na przełom tysiącleci: od powszechnej apokalipsy po globalną awarię systemu komputerowego w wyniku działania „pluskwy milenijnej”.

Półki wypożyczalni kaset wideo pełne są horrorów. Koszmar miał wtedy twarz Freddy'ego Kruegera, ale w 1999 roku nową falę horroru i zmianę paradygmatu gatunku wyznaczy na długo *Blair Witch Project*. Polski odbiorca dopiero po upadku komunizmu po raz pierwszy na taką skalę spotyka się z popkulturą pełną przemocy – od amerykańskich filmów grozy, przez dostępne na giełdach horrory klasy B czy C, po sadystyczno-pornograficzne paradokumenty z szokującymi scenami zadawania bólu i śmierci.

Ludzie oglądają horrory, choć mają wystarczająco dużo powodów do strachu na co dzień. I są to lęki jak najbardziej realne – o pracę, o pieniądze, o perspektywy. Ale niezrozumiały świat budzi też niezdefiniowane, egzystencjalne lęki, które raz na jakiś czas wybijają pod ciśnieniem. Narkotyki i narkomani z brudnymi strzykawkami. HIV i AIDS – Marek Kotański i jego stowarzyszenie Solidarni Plus spotykają się z gwałtownymi protestami, a nawet groźbami śmierci. Rakotwórcza żywność i kosmetyki – wystarczy plotka, by produkt zniknął z rynku. Zboczeńcy – w 1996 roku na

karę dwudziestu pięciu lat więzienia zostaje skazany Leszek Pękalski, Wampir z Bytowa. Wydaje się, że nawet natura zerwała z człowiekiem pakt o nieagresji – w 1997 roku przez Śląsk przechodzi Wielka Woda, zostawiając po sobie pobożowisko.

Mieszają się zagrożenia fizyczne i duchowe, jawne i sekretne. W zakamarkach ezoterycznych księgarń czyhają krisznowcy, sekty, masoni. I sataniści. A na ulicach – skini, kibole i dresiarze. W 1998 roku zapadają wyroki w sprawie dwóch piętnastolatków, zabójców studenta matematyki Michała Łyska, zatłuczonego na ulicy kijem bejsbolowym, oraz Jolanty Brzozowskiej, zabitej nożami i kijami przez troje maturzystów, którzy potrzebowali pieniędzy na studniówkę. W Starachowicach dwie nastolatki kaleczą koleżance twarz żyłką. Przez Polskę przechodzą marsze milczenia. Głośne zbrodnie młodocianych, okrutne i irracjonalne, jawią się jako masowe zjawisko.

Na nowo zaczarowany świat wydawać się może apokalipsą, polem minowym, na którym można stracić nie tylko życie, ale i duszę. Ale przynajmniej ma jakiś sens, daje się wyjaśnić.

Na pytanie sądu, czy oskarżony Robert K. wierzy w demony, oskarżony odpowiada: tak.

### 3

„Łączyła nas muzyka”, powiedzą potem. Death, thrash i black metal. Są grupą nastolatków z osiedla w Rudzie Śląskiej-Halembie. Słuchają Kata, Mayhem, Deicide, Echelona, Pantery. Zgrzyt przesterowanych gitar, tętent perkusji, wyrzucane teksty o zniszczeniu, rozpaczy, gniewie, śmierci, złu i księciu ciemności. Wymieniają się kasetami.

Różni ich wykształcenie, temperament, ambicje. Łączy ich fascynacja mrokiem. I Halemba.

Robert K.; mówią na niego Robson. Długie, sięgające ramion włosy, szczupła i dość wysoka postać w czerni. Chodzi do czwartej klasy technikum budowlanego. Skryty – opisują go. – Odludek. Opryskliwy. „Zawsze był poważny, nie śmiał się” – powie o nim Paweł S., znajomy. Zdaniem sąsiadów zachowuje się poprawnie. W szkole uchodzi za ucznia spokojnego i nieagresywnego.

Na potrzeby opinii psychologicznej kurator później zanotuje: „niczym się nie wyróżniał w grupie rówieśniczej”. Nie ma zainteresowań, nie przejawia uzdolnień. On sam przyzna, że od szóstej klasy nie chciało mu się uczyć.

Biegły psycholog napisze: „Osobowość introwertyczna, ma niskie poczucie własnej wartości. Podejrzliwy, zahamowany, nieufny”.

Robert pochodzi z rodziny górniczej. Ojciec albo na szychcie, albo odsypia. Według kuratora syn od dwóch lat nie ma z nim kontaktu. Nie dzieli się z rodzicami przeżyciami, siostry traktuje obojętnie. Jakby pozrywał więzi..

Jego ojciec powie na procesie: „Jako rodzice swoją uwagę skoncentrowaliśmy na najmłodszym dziecku. Syn w okresie dorastania mógł się czuć wyobcowany”.

Czyta horrory, słucha metalu. Kiedyś w katowickim antykwariacie zwrócił uwagę na książkę z pentagramem i głową kozła na okładce. Nie kupił, ale ciekawość w nim narastała. Zaczyna szukać literatury. I innych rówieśników zainteresowanych okultyzmem. Tak poznaje Tomasza.

Ktoś ze znajomych opowie dziennikarzom, że ściany w pokoju Robert wytapetowane miał na czarno. W 1996 roku ze szkoły przychodzi skarga, że groził koleżance złożeniem jej w ofierze. Matka interweniuje u pedagoga szkolnego, na policji dostaje adresy psychologów. Pedagog i wychowawca mają go obserwować. I, jak relacjonuje szkoła, zainteresowania satanizmem nie zaobserwowali. Matka uznała, że się wystraszył i przestał. A Robert swoje fascynacje zaczyna ukrywać.

Tomasz, choć też zamknięty w sobie, często zamyślony i noszący się na czarno, jest przeciwieństwem Roberta. Dbą o wygląd, dobrze się uczy, interesuje się historią, nie pali. Czyta, gra na gitarze.

„Był rozsądnym chłopakiem, zawsze przemyślał to, co powiedział. Wielu dziewczynom się podobał” – powie o nim Katarzyna Sz., koleżanka z grona metalowców z Halemby. Spokojny, opanowany, nigdy nie podnosi głosu, nawet matce tłumaczy, że tylko spokój i opanowanie dają dobre rezultaty.

Ojciec górnik umiera w 1998 roku na nowotwór. Matka na rencie inwalidzkiej, poświęca się prowadzeniu domu. Po śmierci ojca Tomasz jest oparciem dla matki i dwóch braci. Nie upija się, nie bierze narkotyków.

W wieku czternastu lat zażył większą ilość tabletek i trafił do szpitala. Chciał sprawdzić, jak wygląda odlot, tłumaczy go matka. Później on sam przyzna, że kiedyś próbował też kłuć się nożem w brzuch. Raz, dawno: 2 marca 1992 roku.

Słucha black metalu, zgłębia temat, fascynuje się nim. Piotr C., który poznał go na koncercie Kata w Mega Klubie w Katowicach, przyzna, że Tomasz ma wiedzę, „mówił, że czytał o rytuałach i satanizmie w książkach”. Doda też, że nosił na szyi pentagram. O satanizmie rozmawiała z nim też Katarzyna Sz., która poznała go przez wspólnych znajomych. Wymieniali się kasetami. Przechodziła wtedy bunt, „szukała jakichś wartości, czytała na temat różnych wiar”. Tomasz tłumaczył jej, że satanizm jest dobry, bo „polega między innymi na tym, że jak kogoś nie lubisz, to masz tego nie ukrywać, tylko powiedzieć wprost o tym”.

Matka uważa, że syn interesuje się sprawami psychiki człowieka, że czyta o tym książki.

Ireneusz D. opowie, że Tomasz miał kiedyś na ścianach rysunki satanistyczne, ale ojciec mu je zerwał i wytapetował pokój.

Tomasz ma dziewczynę. Hanna A. kocha się w nim od czwartej klasy podstawówki, on jest od niej dwa lata starszy. Gdy Tomasz zda do technikum ekonomiczno-górniczego, oddalą się od siebie. Zejdą się znów w 1998 roku, na poważnie. Snują plany. On chce iść na politologię albo prawo, bo go to ciekawi i mogą być z tego pieniądze. Chodzi z nią do kościoła, w białej koszuli.

Z Hanną do podstawówki chodziła Karina M. Z nauczycielskiej rodziny, młodsza z dwóch sióstr. Jakby z innego świata. Od września 1998 roku uczy się w college'u w Londynie, ma podjąć tam studia. Czeka właśnie na wyniki egzaminu FCE, chce zrobić certyfikat poświadczający biegłą znajomość języka. Ireneusz D. wspomni, że kiedyś przetłumaczyła mu tekst piosenki zespołu Deicide.

Matka opowie o niej w zeznaniu, że Karina była wesołą, bardzo pozytywnie nastawioną do życia dziewczyną. Przypomni sobie też, że przed dwoma laty córka krótko chodziła z Tomaszem. Potwierdzi to Ireneusz D.

Na pierwszej stronie listu wysłanego z Anglii do Tomasza, datowanego na 4 stycznia 1999 roku, Karina przykleiła czerwoną brokatową gwiazdkę.

To odpowiedź na jego wcześniejszy list. Jest szczęśliwa. Jakby dał jej sygnał, że między nimi coś jeszcze może być. Kokietuje go aluzjami i osobistymi szczegółami, ale dziewczęco, językiem raczej z popowych niż heavymetalowych piosenek: „Byłoby ci ze mną dobrze, aż do bólu”. „Potrafisz opętać moje myśli”. „Działasz na moje zmysły”.

O sobie pisze, że wtedy – zapewne, gdy ze sobą chodzili – chciała być blisko, ale uważała, że jest za głupia dla niego. Poważa Tomasza: komplementuje jego osobowość i to, z jakim szacunkiem wyrażają się o nim inni. Ona miała wtedy problemy, wspomina, że wzięła prochy. Ale teraz żyje – a pisze o tym wielkimi literami. Kocha żyć. I uśmiecha się, myśląc o Tomaszu.

W Londynie się jej poukładało, ma pracę, zarabia 180 funtów na tydzień, stać ją na ubrania, wyjście do restauracji. Pisze, że na pewno odpowiadałoby mu takie życie: samodzielne i łatwiejsze niż w Polsce. Prosi, żeby dał znać, co słychać na Halembie.

Z końcem lutego przyjedzie do Rudy Śląskiej na trzy tygodnie. Chciałaby się z nim spotkać. Myślała o nim ostatnio, gdy w księgarni znalazła książkę pod tytułem *The Devil*. Jeśli o nią chodzi, to ten temat był i minął. Ale domyśla się, że on nadal pozostaje w kręgu *gwiazdy*.

Na urodziny zrobiła sobie tatuaż. Księżyc obejmujący pępek. Nazywa go „zły księżyc”. Wyznaje, że księżyc nią rządzi.

Powtarza, że chce kochać. Życ. Życie, życie, życie – kreśli wielkie na pół strony, drukowane litery.

Karina kocha się w Tomaszu. W Karinie skrycie kocha się Robert.

Wreszcie – Kamil. Najmłodszy syn w zgodnej – jak podkreślano – rodzinie. Prasa odnotuje, że często chorował, miał kłopoty w szkole, ale rodzice starali się nie zostawiać go samego, szukali pomocy u psychologa.

Z Robertem zna się od podstawówki, jego też zaczyna wciągać okultyzm. Przez Roberta poznaje Tomasza, dużo rozmawiają o czarnej magii. Stają się druhami; Ireneusz D. zezna, że opowiadał, iż we trzech są braćmi szatana.

Według D. Kamil przekonywał, że szatan jest jego ojcem, że z nim rozmawia. Raz – opowie śledczym Ireneusz – Kamil zamknął oczy i powiedział, że demony wyjawiają mu, która godzina. Otworzył oczy,

spojrzał na zegarek i orzekł, że demony miały rację.

Wszyscy fascynują się okultyzmem, mrokiem, ale Kamil jest wręcz jego entuzjastą. Muzyka muzyką, ale on chce odprawiać rytuały, wywoływać duchy, ujrzeć zjawę.

Ireneusz D. zezna, że wszyscy trzej go do tego namawiali. Być może trochę im imponował. Ireneusz, piekarz z zawodu, z wykształceniem podstawowym, syn bezrobotnego, ubiera się na czarno, na ramieniu skórzanej kurtki nosi naszywkę z pentagramem. Tomasz kiedyś sam do niego zagadał, zauważywszy, jak się ubiera. Choć nie wiedział, jak zapewnia D., o jego przeszłości.

Bo Ireneusz D. ma łączny wyrok pięciu i pół roku w zawieszeniu za dewastowanie pomników na cmentarzach: w 1996 roku w Rudzie, rok później w Mikołowie. „Byłem pod wpływem alkoholu i treści piosenek heavy metalowych, które nawoływały do dewastacji cmentarzy i podpalania kościołów” – zezna. Po Śląsku pójdzie fama, że grasują sataniści.

Od Pawła S., z którym dewastował mikołowski cmentarz, Ireneusz pożyczył *Biblię szatana* – tę kupioną w szpitalnym sklepiku. Chciał ją przeczytać z ciekawości, bo – jak zadeklaruje śledczym – jest niewierzący. Nie wierzy ani w Boga, ani w szatana.

Nie wiadomo, czy zdążył przeczytać książkę, bo mama mu ją zabrała, podarła i wyrzuciła.

To u Ireneusza w piwnicy, gdzie miał urządzony klub, Tomasz, Robert i Kamil próbują wywoływać duchy za pomocą talerzyka. Niestety, talerzyk obracał się tylko wtedy, kiedy Tomasz go popychał. Mimo to wkrótce zaproponują Ireneuszowi – jak sam zezna – by poprowadził czarną mszę.

W letni wieczór 1997 roku Tomasz S., Ireneusz D., Piotr C., jeszcze jeden chłopak oraz dwie dziewczyny po raz pierwszy wspinają się na bunkier przy Skośnej. Do środka nie wchodzi. Po północnej stronie fortyfikacji znajduje się stalowa kopuła strzelnicza. Tomasz przykrywa ją czarną płachtą – to ma być ołtarz. Rozpalają ognisko. Ireneusz D. wyjmuje fioletowo-czerwoną książkę z demonem na okładce. To horror *Alfabet Szatana* popularnego brytyjskiego pisarza Guya N. Smitha. Czyta fragment opisujący przywoływanie diabła.



Potem wszyscy rozbierają się do naga. Tomasz rozdaje im kartki z tekstem po łacinie. Nacinają sobie palce żyłką, przytykają do kartek, podpisują się. Tomasz zbiera od nich kartki. „Powiedział, że będzie miał nad nimi kontrolę – relacjonował śledczym Ireneusz D. – Ja mu swojej nie dałem, zniszczyłem ją”.

Tomasz S. z jedną z dziewczyn – oraz jeszcze inna para – uprawiają seks w trawie na bunkrze. Wszyscy będą zgodnie zeznawać, że ani wtedy, ani później nikt nikogo nie zmuszał.

Będą się tu spotykać co kilka miesięcy, w różnym składzie. Namawiają dziewczyny. Kamil nalega, że dziewczyny muszą być, inaczej z rytuału nic nie wyjdzie. O tym, co robią, zawsze mówią „wywoływanie duchów”; słowo „satanizm” nie pada. Gdy duch się nie pojawia, kłócą się i zarzucają sobie nawzajem brak kompetencji, a potem idą do domu.

Uczestniczka rytuałów zezna: „My z dziewczynami wywoływanie duchów traktowałyśmy jak zabawę, ale chłopcy brali to bardzo poważnie”.

Kolejnym razem będą wchodzić do bunkra parami. „Tomasz wskazywał, która dziewczyna ma wejść do bunkra i z kim – zezna później jedna z nich. – Nie mówili wprost, że chodzi o seks, ale wszystkie wiedziałyśmy, że chcą się z nami kochać”. Ale gdy do bunkra weszła z Tomaszem dziewczyna, z którą miał stosunek poprzednio, i tym razem seksu nie chciała, cały czas, gdy byli w środku – jak zezna – opowiadał jej o Hannie A.

W zeznaniach na temat schadzek w bunkrach Robert K. w zasadzie się nie pojawia. Owszem, uczestniczy w wywoływaniu duchów, ale pozostaje w cieniu. Wszyscy za to dużo mówią o Tomaszu. To za jego sprawą wielu z nich w ogóle się poznało.

Jedna z dziewczyn mówi: „Robert był bardzo skryty, w obecności Tomka nigdy się nie śmiał”.

Ludzie będą potem przychodzić do bunkra, zdjęci zgrozą patrzeć na brunatne plamy i odwrócone krzyże. Będą pytać, gdzie kończy się bunt, muzyka i seksualne ekscesy nastolatków, a zaczyna się szaleństwo.

Będzie też padać pytanie powracające w takich sytuacjach jak refren: gdzie byli rodzice?

Transformacyjne zmiany szły przez miasta, osiedla, domy. I przez rodziny.

Żywiciele rodzin odchodzą z kopalń. Jedni będą brali każdą możliwą robotę – daleko od domu, na nocną zmianę, fizycznie, na czarno. Drudzy będą zakładać biznesy, z których wiele upadnie. Jeszcze inni przy piwie i przed telewizorem pogrążą się w apatii. Ojciec – bezrobotny i bezradny albo nieobecny i przepracowany, upokorzony pracą poniżej kwalifikacji, marną pensją albo groźbą zwolnienia – przestaje być autorytetem, wzorcem.

Ojciec Roberta K. powie przed sądem: „Przez lata pracy w kopalni pracowałem na nocną zmianę. Później spałem w dwóch etapach, rano i wieczorem, robiłem zakupy i inne sprawy. Tak więc kontakt z synem był ograniczony. Zajmował osobny pokój. W ciągu dnia mieliśmy rzadko kontakt”.

Po tych słowach sąd zaprotokółuje: „Stwierdza się z urzędu, że świadek milczy”.

Ojciec Tomasza S. zmarł na raka. Rodzinę musiała utrzymać matka. Dla śląskich kobiet to też koniec pewnej epoki – praca zawodowa staje się koniecznością, a dom – tylko kolejnym, a nie najważniejszym, jak do tej pory, obowiązkiem.

Na rodziców – bezrobotnych albo harujących, niepewnych, zagubionych, poruszających się po omacku w nowej rzeczywistości – patrzą dzieci. Jakie mogą im dać rady na przyszłość, skoro sami ledwo rozumieją świat, który ich otacza? Jak mają być ich przewodnikami w drodze do dorosłości, skoro sami wkraczali w nią w zupełnie innych okolicznościach? Skupieni na przetrwaniu rodzice są zadowoleni, gdy dzieci nie sprawiają kłopotów: nie uciekają z domu, w miarę dobrze się uczą, nie palą, nie piją i przedwcześnie nie płodzą dzieci. To wystarczy.

Kurator napisze potem o Tomaszu: „Umiejętnie manipulując uczuciami matki, wymknął się spod kontroli. Osiągał dobre wyniki w nauce, spełniał więc oczekiwania rodziców, zachowując się poprawnie odwrócił uwagę rodziców i otoczenia od tego, czym zajmował się w wolnym czasie”.

Biegły o Robercie: „Brak chęci ze strony rodziny do zainteresowania się przyczyną zmiany zachowania syna oraz poczucie osamotnienia i niezrozumienia powodowały systematyczne pogłębianie izolacji rodzinnej

i społecznej. Czuł, że jest sam. Jak wynika z akt sprawy, osamotniona w swoich działaniach pozostała także matka oskarżonego. Kiedy zgłosiła w szkole o zainteresowaniach syna filozofią złą, nie zostały poczynione profesjonalne kroki w celu rozpoznania sytuacji”.



Pełnomocnik ds. reformy oświaty w Rudzie Śląskiej Marian Dąbrowski w wypowiedzi dla „Dziennika Zachodniego” nazwie zdarzenia w bunkrze porażką rodziców, szkoły i Kościoła.

Rodzice bohaterów tej historii będą powtarzać, że nie zauważyli, by z ich dziećmi działo się coś niedobrego. Tomasz pomagał w domu, miał dobrą opinię. Robert przemykał cicho do swojego wytapetowanego na czarno pokoju.

Matka Roberta powie w trakcie procesu: „Ja czuję się winna, ja tam powinnam z nim siedzieć”.

Tomasz S. zachowuje się, jakby bardzo chciał być dorosły. Znajomym opowiada, że chce iść na studia, wziąć ślub, zostać ojcem. Wyobraża sobie, że dzięki studiom zdobędzie pieniądze. Będzie samodzielny, wyrwie się stąd. Tak, jak pisała w liście Karina.

„Dużą rolę odgrywa też brak ojca w rodzinie – komentuje tragedię w bunkrze psycholog Jacek Santorski w magazynie «Wprost». – Chłopcy w wieku od dziewięciu do nastu lat potrzebują ekstremalnych doświadczeń jako form inicjacji. Nie zapewnią im tego mama czy babcia”.

Koledzy z Halemby poszukują więc mocnych wrażeń. Próbując wywoływać duchy i zaklinać demony, podobnie jak pokolenia chłopców przed nimi wystawiają na próbę swoją odwagę. Niektórzy przechodzą w bunkrze rzeczywistą inicjację – seksualną. Opowiadają sobie mroczne historie niczym mity w czasie rytuału przejścia. Piją. Poszukują odmiennych stanów świadomości, tajemnego przejścia do innych światów.

Ale duchy milczą, chociaż jedna z dziewczyn mogłaby przysiąc, że talerzyk się ruszał.

Popkultura młodzieżowa zna ten scenariusz, który nie bez powodu staje się często pierwszym aktem horrorów: grupka młodych ludzi jedzie do nawiedzonego domku w lesie, żeby spędzić tam noc. Ci, co przeżyją, będą odtąd innymi ludźmi. Pokonawszy demony i własne lęki, zyskają siłę, która uczyni ich dorosłymi.

„Polegało to na tym, że chodziło o seks” – powie w sądzie Ireneusz. Mrok podnieca, otoczka rytuału pomaga pokonać zahamowania, ośmiela. W świetle czarnych świec młodzi kontestują porządek świata rodziców. Ale dorosli sami wydają się słabi i zagubieni. Przeciwno czemu więc warto jeszcze się buntować? Skoro jest wolność i demokracja, to polityczny bunt nie ma sensu. Seks, narkotyki, ostra muzyka i dziwne stroje – to wszystko już było w Jarocinie pokolenie temu, doprowadzone do ekstremum.

Jedyne, czym można jeszcze szokować w świecie „chrześcijańskich wartości”, to szatan.

„Na kopule stały świece, było fajnie, bez wiedzy rodziców” – powie potem na sali sądowej Katarzyna.

Słaby ojciec epoki transformacji nie jest dla młodych ani przewodnikiem, który byłby w stanie przeprowadzić ich do dorosłości, ani przeciwnikiem, przeciwko któremu warto byłoby się buntować. Ale jest inny Ojciec, którego strzeżona przez tradycję i Kościół potęga nie budzi wątpliwości. I inny przewodnik, który obiecuję siłę, moc i potęgę.

To wokół siły – której tak bardzo pożąda chłopiec, by stać się mężczyzną – krążą fantazje Tomasza. Moc panowania nad grupką znajomych ma zapewnić mu rytuał podpisywania się krwią na kartce z łacińską formułką. Jakby pragnął władzy, dominacji. Siły. A nowoczesny, dwudziestowieczny szatan Aleistera Crowleya i Antona Szandora LaVeya to nie romantyczny Lucyfer, cierpiący szatan Byrona czy Shelleya, odwieczny buntownik stojący po stronie przegranych i poniżonych, lecz właśnie nietzscheańska personifikacja siły, egoistycznej mocy nieliczącej się z nikim i niczym.

Inicjacja wreszcie oznacza poznanie, wejście w posiadanie tajemnej wiedzy. „Ja tylko chciałem poznać, co jest po drugiej stronie – zezna Tomasz. – Chciałem zobaczyć, co się dzieje po śmierci”.

Motyw inicjacyjnej śmierci powraca w rytuałach przejścia wielu kultur. Inicjowany do nowej roli musi umrzeć i narodzić się na nowo. Zstąpić do piekieł i wrócić. Dostanie wtedy nowe imię i będzie już kimś innym. Będzie dorosły.

Co myśleli chłopcy i dziewczęta z Halemby, kreśląc kredą pentagram na posadzce bunkra? Wierzyli w demona czy tylko bawili się w wywracanie porządku swoich starych? Czy w wydartym szarej rzeczywistości transformacyjnego Śląska bunkrze czuli na skórze dreszcz emocji? Czy z dala od rodziców, podochoćeni alkoholem, przez chwilę wydawali się sobie silni, odważni i dorośli?

„To była dobra zabawa, byłam smarkata” – powie Katarzyna.

„Ciekawość ludzka, chciałem zobaczyć, jak to jest na rytuale” – zezna Piotr.

„Robert mówił mi, że już z tym skończył, że to bajka – powie sądowi

Barbara. – A tydzień później zamordował”.

## 5

Latem 1998 roku Robert i Tomasz postępują w mrok jeszcze głębiej.

Nadają sobie imiona – wymyśla je Tomasz. Robertowi daje imię Syriusz. „To demon sprawujący władzę nad pewną hierarchią” – wyjaśni potem śledczym Robert. Piotr C., którego wabią w mrok za sobą, to Asbaldis. Tomasz zaś każe mówić na siebie „Adam Wielki”.

O to, czyj to był pomysł, będą się winić nawzajem: latem 1998 roku zaczynają rozmawiać o złożeniu ofiary z człowieka. Robert szczegółowo zezna, że Tomasz relacjonował mu, czego dowiadywał się w transie. Przy nim nigdy się nie wprowadzał w trans. Ale jest tak przekonujący, że Robert mu wierzy. „W trakcie jednego z transów Tomek dowiedział się, że abyśmy mogli dostać się do piekła, to musimy odbyć jeden rytuał. Powiedział, że do tego będą potrzebne ofiary z ludzi. Powiedział, że trzeba będzie kogoś zabić”.

Coraz intensywniej planują. Gdy zbliża się czas – a Tomasz oświadczył, że to musi się stać zimą, w styczniu, lutym lub marcu – rozmawiają o tym codziennie. Robert wydaje się tym całkowicie pochłonięty. Dopytuje o szczegóły, które Tomasz poznaje w transach.

W ich rozmowach powraca też temat samobójstwa. Kiedyś, jeszcze gdy wywoływali duchy talerzykiem, Robert zapytał Kamila, co byłoby najwyższą formą oddania się piekłu. Usłyszał, że odebranie sobie życia. Zapytał o to też Tomasza. Ten potwierdził.

Rozmawiają o samobójstwie, a równocześnie Tomasz zaczyna chodzić z Hanną. Zarzeka się, że już zerwał z wywoływaniem duchów. Dziewczyna opowie potem, że mówił jej kiedyś, iż chce ze sobą skończyć, bo tu nic go nie czeka. Nie brała tego poważnie.

Ofiara ma pozyskać im przychylność zła. Żeby mogli zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Dlatego, gdy ofiara się dokona, popełnią samobójstwo, które zwieńczy rytuał.

Tomasz zezna: „Miała to być ofiara dla tego czegoś, co jest po drugiej stronie. Nikt tego nie wie, co jest po drugiej stronie. Miała to być ofiara dla tego niewiadomego”.

Piotra C. naciskają, żeby poświęcił swoją dziewczynę. Gdy C. orientuje się, że to już nie zabawa, najpierw zaproponuje – jak będzie później przekonywał, na odczepnego – że złoży w ofierze Ireneusza D. Później zaczyna ich unikać. Wycofuje się. Ale nikomu nie powie o ich planach. Nie będzie potrafił wyjaśnić, dlaczego.

Robert wybiera Kamila W.

Od tej pory Robert zbliża się do Kamila. Chodzą na piwo, rozmawiają o rytuałach. Kamil lubi w nich uczestniczyć, Robert to wykorzystuje. O pomyśle ofiary z ludzi nic mu jednak nie mówi.

Dwudziestego siódmego lutego Tomasz i Robert jadą do Katowic, do sklepu z militariami. Kupują dwa noże. Sztylecik z czarną, plastikową rękojeścią. I finkę z rękojeścią zwieńczoną głową konia, trochę jak w figurze szachowej.

Tego samego dnia do Halemby na trzytygodniowe wakacje wraca z Anglii Karina.

Robert ją odwiedza.

Nie jest jasne, kto zaproponował, żeby to Karina była drugą ofiarą. W liście do Tomasza pisała, że jej fascynacja okultyzmem minęła, ale dopytuje też o tajemne znaki na bluzie, którą sobie kupiła, a przede wszystkim bardzo chce się spotkać z Tomaszem. On wie, że mu zaufa. I pójdzie z nimi do bunkra.

Robert nie chce jej skrzywdzić samemu, za dużo do niej czuje. Tomasz bierze to na siebie. Robert zgadza się na jej śmierć. Potem powie, że chciał zabrać ją ze sobą na drugą stronę.

Tomasz wie, że gdy on przejdzie na drugą stronę, Hanna zostanie tutaj. Może z innym facetem. Tomasz się do tego nigdy nie przyzna, ale według Roberta polecił mu, żeby wywabił jego dziewczynę na spacer w ustronne miejsce. I zabił jednym ciosem w kręgosłup. Hanna i Robert się przyjaźnią, na pewno mu zaufa, gdy Robert powie, że musi z nią pilnie pogadać.

Robert długo włóczy się z nią po okolicy. W kieszeni ma kupiony niedawno sztylet. Nie zada ciosu, nie odważy się. Tomaszowi powie, że kręciło się za dużo ludzi. Cały ten wieczór Hanna radzi mu, jak mógłby poderwać Karinę.

Ta wersja wydarzeń zostanie potwierdzona, gdy Hanna A. stanie przed

sądem jako świadek.

Sąd zaprotokółuje wtedy: „Stwierdza się z urzędu, że świadek płacze”.

Robert mówi Karinie, że wybierają się do bunkra z Tomaszem odprawić rytuał. Dziewczyna chce pójść z nimi. Może wciąż pociąga ją mrok. Na pewno pociąga ją Tomasz.

Rodziców informuje, że umówiła się z Robertem na wieczór. Że pójdą gdzieś posiedzieć, ma być też Tomasz. Ojciec prosi, żeby nie wracała za późno. Dziewczyna obiecuje, że wróci do 23.00.



To dzięki tej informacji śledczy idą prosto do Roberta, gdy nazajutrz, 3 marca 1999 roku, brat Tomasza znajduje zwłoki Kariny i Kamila W. Robert



zostaje zatrzymany w południe. Nie stawia oporu. Składa obszernie zeznania, mówi o morderstwie, zbrodni, nieudanym samobójstwie. Prokurator Lucyna Skrzypek od razu jedzie do szpitala na Goduli, w którym, z raną brzucha, leży Tomasz S.

Ten najpierw zaprzecza. Opowiada wersję nieco inną od tej, którą przedstawił matce i bratu: że szli z Kariną, Robertem i Kamilem do baru na Kłodnicy, po drodze Robert pochwalił się, że umie wywoływać duchy, więc skręcili do bunkra, chcieli spróbować. Że Robert polecił tamtym zostać na zewnątrz, a jego, jako najstarszego, zaprosił do środka w pierwszej kolejności. Kazał mu wyciągnąć rękę. Ciął go, ugodził w brzuch. Że Tomasz stracił przytomność, a gdy się ocknął, Karina i Kamil leżeli bez ruchu w sąsiedniej sali. Że Roberta już nie było.

Ale w trakcie składania zeznań nagle wszystko to odwołuje. I zaczyna mówić, co się wydarzyło. Ten jeden raz jego zeznania wydają się szczere.

## 6

Bunkier w lesie nieopodal ulicy Skośnej niknie w mroku. Od ziemi ciągnie marcowym, wilgotnym chłodem. Karina, Kamil i Robert rysują na podłodze bunkra pentagram. Rozstawiają świece w jego wierzchołkach.

Tomasz będzie przewodniczył. Rozkłada kartki z formułami, które sam ułożył z łacińskich słów. Brzmia magicznie. Pozostała trójka maluje na ścianach okultystyczne znaki, odwrócone krzyże, symbole bestii.

Robert i Tomasz biorą do rąk czarne świece. Cała czwórka staje w kręgu. Tomasz i Robert odczytują z kartek formuły.

– *Ego Adamus Magnus immolare ut infernum videtur age praesto...*

– Muszę zyskać na czasie – szepce do Tomasza Robert. – Nóż mam w torbie.

W mrocznym rytuale następuje przerwa na papierosa. Tomasz nie pali, zostaje w środku. Robert szybko wyciąga sztylet. Chłopcy palą, Karina trzyma świeczkę, bo jest ciemno. Robert ma już nóż w rękawie. Wracają do środka. Robert wchodzi ostatni.

Tomasz i Robert gaszą wszystkie świece z wyjątkiem tych, które trzymają.

– Karina, klękniij przede mną – poleca Tomasz.

– A ty przede mną – mówi do Kamila Robert. – Plecami do Kariny.

Karina i Kamil posłusznie klękają.

– Pochylcie głowy.

Tomasz i Robert stają nad nimi, twarzami do siebie.

– *Ego Adamus Magnus...*

W połowie formuły dobywają noży. Tomasz daje znak.

„Tak zazwyczaj jest na filmach, że do zabicia wystarczy jeden cios, w telewizji bez przerwy filmy takie lecą. Osobiście lubię filmy sensacyjne. Kiedyś lubiłem oglądać filmy o tematyce satanistycznej. Pożyczałem je z wideoteki. Były to zwykłe horrory” – zezna Tomasz S. rankiem 5 marca przed asesorem sądowym, który zdecyduje o jego tymczasowym aresztowaniu.

Nic nie jest tak, jak na filmach.

Spadają ciosy.

Kamil, zamiast paść martwy, podrywa głowę. Patrzy na Roberta. Ten wzdraga się cały. Wyrywa nóż z pleców ofiary. Kamil pada na wznak. Robert rzuca się na niego, uderza. Kamil kopie, osłania się kolanami. Robert znów uderza nożem. I znów.

Karina się zrywa. Krzyczy. Zasłania się. Tomasz próbuje ją złapać w pól. Dziewczyna się szarpie.

– Nie!!!

Szamoczą się. Tomasz tnie nożem, powala ją na ziemię. Przygniata swoim ciężarem.

– Ratuj mnie, Robert!!!

Kamil już nie wierzga. Jeszcze jęczy. Robert wbija mu nóż w brzuch, w bok, w plecy. Potem wstaje. Patrzy, jak Tomasz dźga Karinę. Jak ona się wyrywa. Jak spadają ciosy noża. Jak dziewczyna nieruchomieje.

Ciemność. Dwa oddechy.

– Zaciągnij ich tam – słychać głos Tomasza. Robert łapie za nogi ciało Kamila, potem Kariny. Ciągnie ich po podłodze do drugiej sali, aż jego sweter i jej irchowa kurtka podwijają się pod pachy. Zostawia ofiary leżące

na wznak. Tomasz pali kartki z formułami.

Ustawiają świece z powrotem na wierzchołkach pentagramu. Zapalają.

– Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś? – pyta Tomasz. – Już nie ma odwrotu.

Robert sięga po papierosa. Pali jednego za drugim. Biorą w dłonie swoje noże. Przymierzają je sobie do brzuchów.

– Tak zrobimy.

Robertowi zbiera się na mdłości. Wychodzi na zewnątrz. Siada przy okienku strzelniczym bunkra. Widać przez nie ogniki świec.

– Robert! – Tomasz wychyla się na zewnątrz. – Wracaj tu!

– Tylko pójść do sklepu – mówi Robert. – Po wódkę. Muszę.

– Wracaj!

Tomasz się odwraca. Klęka tyłem do niego.

– *Ego Adamus Magnus... caedere meum corpus... ut infernum ostendere...*

Wracaj tu!!!

Robert nie wraca. Widzi, jak Tomasz gwałtownie przyciska ręce do brzucha. Słyszy jego krzyk. Widzi, jak się odwraca.

– Robert! Wróć!

Zaczyna biec.

Tomasz wstaje, opiera się o wnękę, przeciąga nożem po swoim prawym nadgarstku.

– Wróć! Nie musisz sobie wbijać noża! Tylko patrz, jak ja...

Robert przybiega do domu około 23.00. Łyka wszystkie tabletki, jakie znajdzie. Ale znajduje biseptol i witaminy, więc nawet nie wymiotuje. Tylko rano ma zaburzenia równowagi.

Do podpalenia zwłok żaden z nich się nie przyzna.

## 7

Tomasz z ofiary staje się podejrzanym. Piątego marca zostaje tymczasowo aresztowany. Prosto ze szpitala trafia za kratki. O satanistycznym mordzie mówią już wszyscy.

„Nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Nie chwalił się, że jest satanistą.

Robert owszem, słuchał black metalu. Ale Tomek?” – wypowiadają się „chłopcy z osiedla w Halembie” do piątkowego wydania „Gazety Wyborczej”.

Rodzina, koledzy, dziewczyna – przecierają oczy. Czy to na pewno ten sam człowiek? A potem wszystko zaczyna się układać w całość.

„Wydaje się, że głównym kierującym był Tomasz – opowiada śledczym o wcześniejszych rytuałach Katarzyna. – On głównie wszystko organizował, to był jego pomysł. On ma dobre podejście do ludzi i potrafi każdego zbałamucić”. O manipulacji w stosunku do matki wspomina również kurator.

„S. był takim jakby ich przywódcą” – opowiada Ireneusz. „[Robert] prawdopodobnie czuł się przez niego [Tomasza] zdominowany” – doda inna uczestniczka rytuałów.

„Przez kolegów z klasy nie był izolowany, ale też z nikim nie nawiązał bliższych stosunków koleżeńskich” – stwierdza kurator. Jak to możliwe, skoro to wokół Tomasza skupiła się grupa żądnych wrażeń nastolatków? A może Tomasz wcale nie chce „nawiązywać stosunków koleżeńskich”? Może on – Adam Wielki – nie chce przyjaźni, tylko władzy?

Badanie psychologiczne przeprowadzone w kwietniu 1999 roku wykazuje: „Jest zdolny do oceny standardów zachowania i ocen w sferze moralno-etycznej. Rozbieżność między rozumieniem norm i ocen społecznych a obniżoną zdolnością przewidywania społecznego (najsłabiej rozwinięte) świadczą o cechach osobowości psychopatycznej, charakteryzującej się dużą ogładą społeczną”.

Tomasz mówi prowadzącemu badanie to, co – jak sądzi – ten chciałby usłyszeć: że rodzina to dla niego rzecz święta. Że nadal jest dobrym dzieckiem i rodzice nie mają powodu się wstydzić. W opinii sądowo-psychiatrycznej zanotowano, iż „niepytany podaje, że jest katolikiem praktykującym”. W sądzie wyrazi skruchę.

Ale śledczy w tę skruchę nie uwierzą. Dla nich wygląda to jak rozpaczliwy gest, żeby lepiej wypaść przed sądem, gdy wina nie budzi wątpliwości.

„W funkcjonowaniu społecznym deklaratywnie dobry, ale nie ma z tego wewnętrznej satysfakcji – kontynuuje biegły. – Jej brak powoduje występowanie dysonansu w osobowości – dwoistości natury. (...) Występuje

tłumiona agresja, słaba internalizacja norm społecznych i zaburzona uczuciowość wyższa”.

„Zaburzona uczuciowość wyższa” i brak empatii ujawniają się już wtedy, gdy w złożonym jeszcze w szpitalu zeznaniu mówi o momencie zabójstwa: „Poczułem ogromny strach, ogromny ból, nawet większy – prostuje – chyba większy, niż miała Karina”.

Jakby więcej współczucia miał dla samego siebie niż dla swojej ofiary. Owszem, później mówi: „gdyby można było cofnąć czas, nigdy bym tego nie zrobił”. Może żałuje, może przestraszył się konsekwencji.

„Jest praktyczny, z określonymi sądami i dużą samokontrolą” – pisze dalej biegły.

Gdy tylko się okazuje, że ze wspólnego samobójstwa nic nie wyszło, Tomasz gra na swoją korzyść. Rany, które sobie zadał, biegli oceniają jako powierzchowne. Sąd uzna, że raniąc się niegroźnie w brzuch, chciał upozorować działanie osoby trzeciej. Swoją nóż, ten z końską głową, wyrzuca w lesie, żeby na miejscu zbrodni został tylko sztylet Roberta. Matce opowiada, że został zaatakowany. W śledztwie przerzuca ciężar winy na Roberta, a jednocześnie w grypsach z aresztu przekonuje go, żeby wziął całą winę na siebie i zapewnia: „Jeśli wszystko będzie dobrze, to obiecuję ci bardzo dobrą pomoc materialną, a gdy będę na wolności, na sto procent cię stąd wytargam”.

Zeznania zmienia kilka razy. To przyznaje się, to wszystko odwołuje. Nie może się zdecydować. Jest dwoisty. W czasie przeprowadzonego w marcu przesłuchania żali się: „Ja miałem iść na studia, a teraz co? Ja w życiu nawet muchy nie skrzywdziłem”. Biegły psycholog zauważył: „Ma poczucie krzywdy w związku ze swoją obecną sytuacją, zaprzecza, pytany o poczucie winy. Zna przedstawiony zarzut, podaje, że to kompletna bzdura i wymysł chorej osoby”.

Jednocześnie w grypsie do brata kreśli plan ucieczki z więzienia: „Myślę, że wszystko masz już załatwione tak jak to omówiliśmy: «bazuką w mur» albo inną bronią, żeby była wyrwa i ta beczka spacerniakowa (zwykła blacha) się przewróciła”.

Roberta w innym grypsie instruuje, jak ma zeznawać: podając wersję wydarzeń, którą sam opowiedział śledczym, przekonuje go, że „dokumenty i pieniądze na wyjazd z Polski są już załatwione. (...) Robson, gdy będziesz

zdecydowany, powiedz P., a ludzie już będą coś robić w tej sprawie”.

Czy rzeczywiście są gdzieś jacyś „ludzie”, czy Tomasz żyje w świecie fantazji? W świecie ze swoich ulubionych filmów, w których na zawołanie pojawia się demon, a do zabicia człowieka wystarczy jeden cios w kręgosłup? Jakby w swojej głowie Tomasz był pierwszoplanowym bohaterem filmu grozy, który sam reżyseruje.

Do bunkra zakłada białą koszulę. Taką, w jakiej chodzi do kościoła z Hanną. Starannie wybiera rekwizyty i dekoracje. Nóż z głową konia. Czarne świece. „W tym dniu specjalnie ubrałem się odświętnie – opowiada potem. – Powiedziałem sobie, że jest to szczególny dzień, kiedy będę umierał, i chciałem elegancko wyglądać”.

Układa inkantacje tak, żeby wyglądały na starożytne, choć śledczym powie, że to były „wyrażenia pseudołacińskie, miało to tylko brzmieć jak łacina, nie zawierało to żadnej treści, były to takie krótkie wyrażenia jak «Ego Sum»”. Owszem, zawierały treść. Biegły – ksiądz, doktor teologii pastoralnej – będzie potem skrupulatnie interpretował ich formę i przesłanie. Zauważy ich podobieństwo do ślubów zakonnych, skomentuje poprawność językową: jest jasne, że Tomasz nie zna łaciny, że formuły przetłumaczył za pomocą słownika, ale nie ma pojęcia o gramatyce.

Biegły przekłada inkantacje. Pierwsza znaczy: *Ja Adam Wielki ofiarować aby [lub: skoro tylko] piekło jest widziane prowadź staję pierwszy [tzn. „jestem na usługach” / „wyróżniam się”] władcą ja będącego [„istniejącego” lub „zajaśniej”, przekład domyślny z uwagi na błąd literowy] i nic więcej ponad żadnego.*

Druga: *Ja Adam Wielki zabić moje ciało na ofiarę aby [lub: skoro tylko] piekło pokazać staję pierwszy [tzn. „jestem na usługach”] skoro tylko pokazać mi mój boskość [bóstwo, majestat lub rozkaz].*

Tomasz mataczy w kwestii samobójstwa: „K. truł mi głowę o samobójstwie od wielu lat i robił mi wodę z mózgu”, próbuje się usprawiedliwiać. „Pomysł, żebyśmy popełnili samobójstwo, padł od Roberta, on miał kłopoty z nauką i rodziną. Ja nie miałem kłopotów z nauką, z rodzicami wszystko było w porządku, chciałem tylko zobaczyć, co jest po śmierci”.

Zaprzecza, że jest satanistą, chociaż przyznaje się, że kiedyś pociągał go okultyzm. „Ja wierzę w Boga – przekonuje. – Chodzę do kościoła, na religię”. Znowu zainteresowanie satanizmem przypisuje Robertowi. Odmawia

udziału w wizji lokalnej.

W czasie badania psychiatrycznego biegły zanotuje: „Na temat motywów i oceny zbrodni odmawia odpowiedzi”.

Horror w głowie Roberta ma wyrazistą scenerię. „Piekło wygląda w ten sposób, że są góry, lasy, zamki, podobnie jak na ziemi. Różnica polega tylko na istotach w nich zamieszkujących – opowiadał w zeznaniu złożonym 16 marca. – Ja byłbym tam Syriuszem, bo takim ochrzciłem się”.

„Ja nie jestem satanistą – zeznał wcześniej, gdy prokurator Lucyna Skrzyczek przedstawiła mu zarzut zabójstwa w wyniku motywacji zasługującej na szczególne potępienie. – Ja chciałem zdobyć przychyłność złą, zabijając Kamila”.

Jakby obaj, ruszając na wyprawę z Halemby do piekła, uwierzyli, że świat okaże się niezwykły. I że podda się ich woli, że nad nim zapanują.

Świat okaże się zwykły.

## 8

Nagłówki w gazetach: *Liturgia sztyletów. Ofiary czarnej mszy. Prowincja szatana. Apage, Satana.*

Prasa na wypródkę cytuje członków komitetów obrony przed sektami i biur informacji o sektach. Donosi, że województwo śląskie jest najbardziej narażone na penetrację przez sekty, których w kraju działa od 500 do 1000. Wojewoda śląski rozważa powołanie pełnomocnika do spraw sekt. Parlamentarzyści Akcji Wyborczej „Solidarność” apelują o podjęcie działań. Policja rozważa program profilaktyczny we współpracy z katechetami.

Dziennikarze bez mrugnięcia okiem piszą: „Można sądzić, że w Polsce stale przybywa «wyznawców szatana», chociaż nie ma na ten temat oficjalnych danych”. Cytują anonimowy wywiad ze zwierzchnikiem Wiedzy Hermetycznej, który zapewnia, że „polscy sataniści mają swoich wyznawców i informatorów w szeregach policji”. Ujawniają, że Tomasz i Robert „jako członkowie subkultur od dłuższego czasu byli obserwowani przez policję”, choć w aktach sprawy nie ma śladu jakichkolwiek działań operacyjnych dotyczących chłopców z Halemby.

Chętnie cytują „zszokowanych i zbulwersowanych mieszkańców Rudy Śląskiej”. Starszego pana, który nie chce się przedstawić, bo się boi, i mówi: „Tutaj sataniści panują. Nie wiadomo, kogo wybiorą na następną ofiarę”. Albo Krzyśka we flajerce, który opowiada, że sataniści w Halembie nocami chodzą na cmentarz, odprawiają w piwnicach czarne msze, zabijają koty, a dwóch – co, jeśli chodziło mu o Ireneusza D., akurat jest prawdą – zniszczyło już nagrobki. Ale na szczęście w okolicy pojawia się coraz więcej skinów, którzy „wykoszą tych satanistów”.

Media powołują się na eksperta od sekt, który zarzeka się: „w każdej szkole, w której miałem prelekcję, był ktoś, kto zetknął się z tą sektą”. I instruuje, że od młodych ludzi w czerni noszących pentagramy znacznie bardziej niebezpieczni są sataniści, którzy ukrywają swoje przekonania. „Ubierają się jak każdy, a jednak zakładają wspólnoty satanistyczne, w których odprawiają krwawe obrzędy”.

Zespół KAT zapowiada pozew przeciw przewodniczącemu Ogólnopolskiego Komitetu Obrony przed Sektami za oskarżenia o nawoływanie do zbrodni. „Jeśli ktoś chce zakazać występów «Kata» ze względu na teksty piosenek, niech będzie konsekwentny. Niektóre polskie czołowe zespoły śpiewają «Zabij mnie, to nic nie boli» – mówi „Dziennikowi Zachodniemu” członek zespołu. – Czy to też jest nawoływanie do zbrodni?”.

Dziennikarz Dariusz Krawczyk, który o mordzie w rudzkim bunkrze poinformował jako pierwszy, twierdzi dziś, że tamta sprawa na zawsze zmieniła media. Jak rytuał przejścia, inicjacja do nowego sposobu pisania. Od tamtej pory jest czymś nie do pomyślenia, żeby tematem ważniejszym od morderstwa w satanistycznej scenografii był problem z dostępnością ośrodka zdrowia dla osób niepełnosprawnych.

Każdy szanujący się tygodnik publikuje artykuł o satanizmie. Rozmaici eksperci wypowiadają się na temat zawilosci ideologii satanistycznej, odwołując się i do czarnej magii rodem z podręczników dla inkwizytorów, i do skrajnie indywidualistycznej, ateistycznej wręcz wersji Antona Szandora LaVeya. Modernistyczna czarna msza z powieści Jorisa Karla Huysmansa wystąpi obok zdjęć z queerowych imprez sado-maso, *Raj utracony* Johna Milтона – obok piosenek zespołu KAT.

Ale ani Tomasz S., ani Robert K. Huysmansa czy Milтона raczej nie



czytali. Zapewne nie znali pism Williama Blake'a, nie słyszeli o aferze trucicielskiej na dworze Ludwika XIV, gdy po raz pierwszy w relacjach pojawia się czarna msza i ołtarz na ciele nagiej kobiety. Chociaż – nie licząc kupionej w szpitalnym sklepiku *Biblia Szatana* – ideologii LaVeya dogłębnie nie znali, to, paradoksalnie, postąpili zgodnie z jego zaleceniami.

LaVey nie wierzył w szatana. Za ostateczny wyznacznik tego co dobre i złe uznawał niczym nieograniczoną wolę człowieka. Satanistyczne rytuały były dla niego rodzajem psychodramy, mającej pomóc człowiekowi wyzwolić się z kulturowych okowów chrześcijaństwa, krępujących, jego zdaniem, ludzkie popędy. Według LaVeya, każdy ma prawo wymyślić sobie taki rytuał, jaki chce, byle osiągnąć cel, którym jest wyzwolenie. Każde zaklęcie – nawet pisane kaleką łaciną ze słownika – zadziała. Bo to człowiek jest bogiem w swoim świecie.

Gdy nastroje społeczne osiągają stan wrzenia, nie ma niczego cenniejszego niż tak uniwersalny winny jak czciciele szatana – gotowa odpowiedź na pytanie, co się stało. Winne są siły zewnętrzne: demony, sekty, horrory, ostra muzyka, wszechobecna przemoc.

Ci, którzy starają się sięgać głębiej, piszą o upadku wartości, erozji rodziny, powszechnym braku szacunku, nihilizmie młodych, braku perspektyw, cywilizacji śmierci. Ale przypisują też zdarzeniu bez precedensu znamiona symptomu poważnej choroby. Biorą wyjątek za regułę.

„Oni zachowywali się głupio, że wszyscy się z nich śmiali” – zezna o Tomaszu i Robercie Ireneusz D.

Tragicznie głupio.

## 9

Ostatecznie sąd ustalił jeden motyw zbrodni: rytualny.

Prokuratura i wszystkie instancje sądu podkreślają: to motyw zasługujący na szczególne potępienie. „W każdym systemie społeczno-prawnym zabójstwo człowieka dokonane w imię realizowania jakiegokolwiek ideologii zasługuje na szczególne potępienie, życie człowieka jest dobrem najwyższym – napisze Sąd Okręgowy w Katowicach w uzasadnieniu wyroku. – W niniejszym postępowaniu ustalono, iż oskarżeni życie

pokrzywdzonych złożyli jako ofiarę szatanowi dla pozyskania jego przychylności, innej motywacji działania oskarżonych nie ustalono”.

Ale jeśli nie pytać, dlaczego zabili, ale jak wybierali ofiary, być może okaże się to tragicznie banalne.

Sam Robert wyjaśnia w śledztwie: „Wybrałem jego [Kamila], bo chciałem się zemścić za wcześniejsze lata. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ale on wyjawiał kilka rzeczy, których nie powinien o mnie mówić”. Później, podczas przesłuchania 16 marca, doda, że gdy przyszło do wybierania ofiary, brał pod uwagę dziewczynę z Halemby, która „najwięcej złych rzeczy mówiła na jego temat”. Długo, introwertycznie, pielęgnował urazę, aż – jak wrzód – nabrzmiała. I pękła.

Tomasz też nigdy nie zapomniał, jak Kamil go kiedyś obraził. Trzej bracia w szatanie pokłócili się o udział dziewczyn w rytuałach. Robert zezna, że przy nich Kamil tylko udawał opętanie, kopał, szalał po bunkrze. Co innego, gdy byli sami: wtedy zdarzyło mu się poczuć dotyk zimnych palców na plecach. Ale w takich momentach Kamil zawsze widział więcej: objawiały mu się postacie, rozmawiał z demonami i odbierał od nich polecenia. Jak to, że w rytuałach mają brać udział dziewczyny. Robert i Tomasz uważali, że chodziło mu tylko o seks. Padały wyzwiska, poszarпали się.

Może Tomasz postrzegał Kamila jako rywala o prymat w rudzkim kręgu gwiazdy?

A Karina? Miała to, czego nie miał Tomasz. Samodzielność, wolność. Wyrwała się z Halemby.

Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej zapada 31 marca 2000 roku. Tomasz i Robert zostają uznani winnymi zabójstwa Kariny i Kamila „z motywacji zasługującej na szczególne potępienie, co wyrażało się w chęci złożenia ofiary z człowieka szatanowi w celu pozyskania jego przychylności”. Ponadto Tomasz zostaje uznany winnym podżegania do zabójstwa Hanny A.

Tomasz S. zostaje skazany na dożywotnie więzienie. Robert K. na dwadzieścia pięć lat.

Na satanizm powołają się nie tylko prokurator i sąd. Także obrońca Tomasza S. w apelacji podkreśli, że z propagandą satanizmu sprawcy

zetknęli się w bardzo młodym wieku, kiedy jest się szczególnie podatnym na wpływy – zwłaszcza gdy propaganda jest głoszona w atrakcyjny sposób: przez muzykę, kino, telewizję.

Adwokat Tomasza S. zauważy też, że w praktyce karnistycznej za motywacje zasługujące na szczególne potępienie uważa się zabójstwa na zlecenie za opłatą, w celu zagarnięcia majątku czy wywarcia zemsty – a zatem przynoszące korzyści. Tymczasem zbrodnia w bunkrze nic nie dała Tomaszowi i Robertowi, „a korzyści, jakie mieli osiągnąć i sprawcy, i ich ofiary, były zupełnie irracjonalne, mające źródło w chorej niewątpliwie wyobraźni zniewolonych umysłów”.

Sąd apelacyjny postanowieniem z 6 lipca 2000 roku utrzyma wyroki w mocy. W uzasadnieniu powtórzy, że zbrodni oskarżeni „dopuszcili się w wyniku motywacji zasługujących na szczególne potępienie, albowiem życie pokrzywdzonego stanowiło ofiarę złożoną szatanowi dla pozyskania jego przychylności”.

W kasacji obrońca Tomasza S. ucieknie się do argumentu, że skoro na zachowanie oskarżonych, jak napisano w uzasadnieniu wyroku, wpływ miało uczestnictwo w grupie satanistycznej, filmy i muzyka oddziaływująca „na podświadomość tych młodych ludzi”, to trudno mówić tu o ich świadomym czynie.

Sąd Najwyższy postanowieniem z 6 marca 2001 roku oddał kasację jako oczywiście bezzasadną.



## 10

Szatan pojawia się w momentach przełomów. I wyciąga ręce po dzieci.

Tak jak w XVI wieku, gdy przez Europę przetacza się reformacja, a wraz z nią wojny religijne. Feudalny porządek społeczny się rozmywa, wieśniacy migrują do miast, tworząc nowe grupy społeczne – mieszczan

i rzemieślników, duchowość zstępuje z ołtarzy do izb modlących się ludzi, średniowieczny Bóg, który dawał się przebłagać odpustami, zmienia się we wszechwiedzącego, srogiego Boga reformacji i kontrreformacji. Katolicy i protestanci na zmianę oskarżają się o czczenie szatana – bo Innego zawsze demonizowano. Po pobojowiskach wojny trzydziestoletniej grasują wilki, kruki i inne szatańskie stworzenia. Wtedy pierwsze symptomy hysterii pojawiają się wśród kobiet, a dotyczą – co powracać będzie jeszcze nie raz – dzieci.

Poród i połóg były wówczas niezwykle niebezpieczne, ciąża często kończyła się śmiercią matki, dziecka lub obojga. Do opieki nad położnicą wzywano stare kobiety. To one płonęły na stosach, gdy coś poszło nie tak. Dlaczego stare kobiety miałyby działać na szkodę swoich pracodawczyń i ich dzieci? Czy, jak podświadomie obawiały się położnice, z zazdrości o płodność, która czyniła kobietę potrzebną? Czy może z poduszczenia szatana, który domagał się krwi niewinnych? Na torturach rzekome czarownice wyznawały wszystko, co chcieli usłyszeć oprawcy: także to, że zawarły pakt z szatanem. Zło – i to powszechne, jak wojna, upadek obyczajów, katastrofy naturalne, i to powszednie, jak skisły ser, niegojąca się rana czy pech w interesach – zyskuje wytłumaczalne przyczyny: jest sprawką więdźmy, służki szatana.

Szatan zjawi się również w 1692 roku w surowym, purytańskim Salem, gdzie na nieznanym lądzie grupka osadników próbuje założyć nowy świat. Bogobojni, fundamentalistyczni wręcz chrześcijanie Apokalipsy spodziewają się co roku, osaczeni nie tylko przez Indian i Francuzów, ale i przez niedźwiedzie. Tu gorączkę polowań na czarownice rozpętują nastoletnie dziewczęta, oskarżając mieszkańców miasteczka obu płci o wyrafinowane tortury na odległość. W sądzie okaże się, że w Nowej Anglii czarownic i magów są dziesiątki. Zanim społeczność Massachusetts otrząśnie się ze zbiorowej hysterii, trzynastie więdźm i siedmiu czarowników zawisnie na szubienicach.

W świecie, gdzie nic nie jest pewne, a porządek społeczny wydaje się płynny i nietrwały, pojawia się fundamentalny lęk – że nie zdołamy zapewnić bezpieczeństwa własnym dzieciom.

Zadziwiająco podobną dynamikę ma *satanism scare*, który rozgorzeje w Stanach Zjednoczonych w przełomowych latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku, gdy po rewolucji seksualnej, „lecie miłości” 1967 roku, eksplozji kontrkultury i nowych kultów zmiany społeczne sięgają samego rdzenia „amerykańskiego stylu życia”: postępuje równouprawnienie, kobiety idą do pracy, zmienia się model rodziny i role poszczególnych jej członków. Praca kobiet oznacza też, że opiekę nad dziećmi trzeba powierzyć instytucjom, obcym ludziom. Czy w tak niestabilnym świecie można im zaufać? Jednocześnie zaczyna się mówić głośno o pedofilii, molestowaniu dzieci i przemocy wobec nich jako o problemach społeczeństwa i rodziny.

Znów dzieci znajdują się w centrum wydarzeń jako ofiary satanistycznego spisku. Nakręca się spirala oskarżeń wobec pracowników przedszkoli, opiekunek i nauczycieli o wykorzystywanie dzieci w obscenicznym, satanistycznym rytuałach. Samozwańczy policyjni eksperci mówią o dziesiątkach tysięcy dzieci składanych co roku w ofierze szatanowi. Gdy sceptycy pytają, czy nikt nie zauważyłby ich zniknięcia, ci odpowiadają, że przecież rodzą je porywane dziewczęta, zapładniane przez prominentnych satanistów, którzy dbają o to, żeby nic z ich sprawek nie wyszło na jaw. Ich skuteczność jest dowodem ich potęgi, jak w klasycznym myśleniu spiskowym. A dzieci konfabulują pod dyktando zaburzonych dorosłych, dorośli w hipnozie „przypominają sobie” swoje przeżycia z dzieciństwa, co później zostanie powiązane z tzw. „syndromem fałszywych wspomnień”. Ostatecznie w sprawach o *ritual abuse* nie uda się nikogo skazać. Histeria się wypali, jak trzysta lat wcześniej w Salem. Zostaną po niej *Dziecko Rosemary* i *Egzorcysta*.

Wiosną 1999 roku, po tragedii w bunkrze w Halembie, znów powracają podobne lęki. Tonem, w którym pobrzmięwa moralna panika, media pytają, co zrobiliśmy, żeby zapewnić bezpieczeństwo naszym dzieciom, na które czyhają sekty, kusząc muzyką, wyzwoleniem z norm świata dorosłych, ekstatycznymi doświadczeniami. Apelują o pilniejszy nadzór nad młodzieżą, pytają o sektę satanistów, która swe macki ma w rządzie i policji. Aż wreszcie oskarżają demona transformacji: „Lekceważenie młodego pokolenia to największy błąd nowej władzy od czasów «okrągłego

stołu». Młodym ludziom nie oferuje ona niczego poza brakiem szacunku. Rosną natomiast wymagania społeczne i wzrasta bariera ekonomiczna. Pojawia się myślenie: skoro na pomoc nie można liczyć z żadnej strony, to może w tym kapitalizmie lepszy będzie szatan?” – wypowiedzi się dla magazynu „Wprost” socjolożka z PAN.

Kolejny raz w czasach przełomu pozostawione samym sobie dzieci pobiegły w mrok.

Tyle że nic nie wskazuje na to, by nastolatki z bunkra należały do jakiejś „sektę satanistów”, by jakiś guru wyprał im mózgi. W poszukiwaniu mocnych wrażeń i odmiany w szarej, pozbawionej perspektyw rzeczywistości, młodzi ludzie nurzali się w satanizmie na zasadzie „zrób to sam”. Choć sami nazywali się dziećmi lub braćmi szatana, to i sprawcy, i ofiary byli po prostu dziećmi. Dziećmi swoich czasów.

Ale to nie szatan ani nie czasy przełomu przyniosły śmierć tamtej wiosennej nocy w bunkrze. Karinę i Kamila zabili Tomasz S. i Robert K.

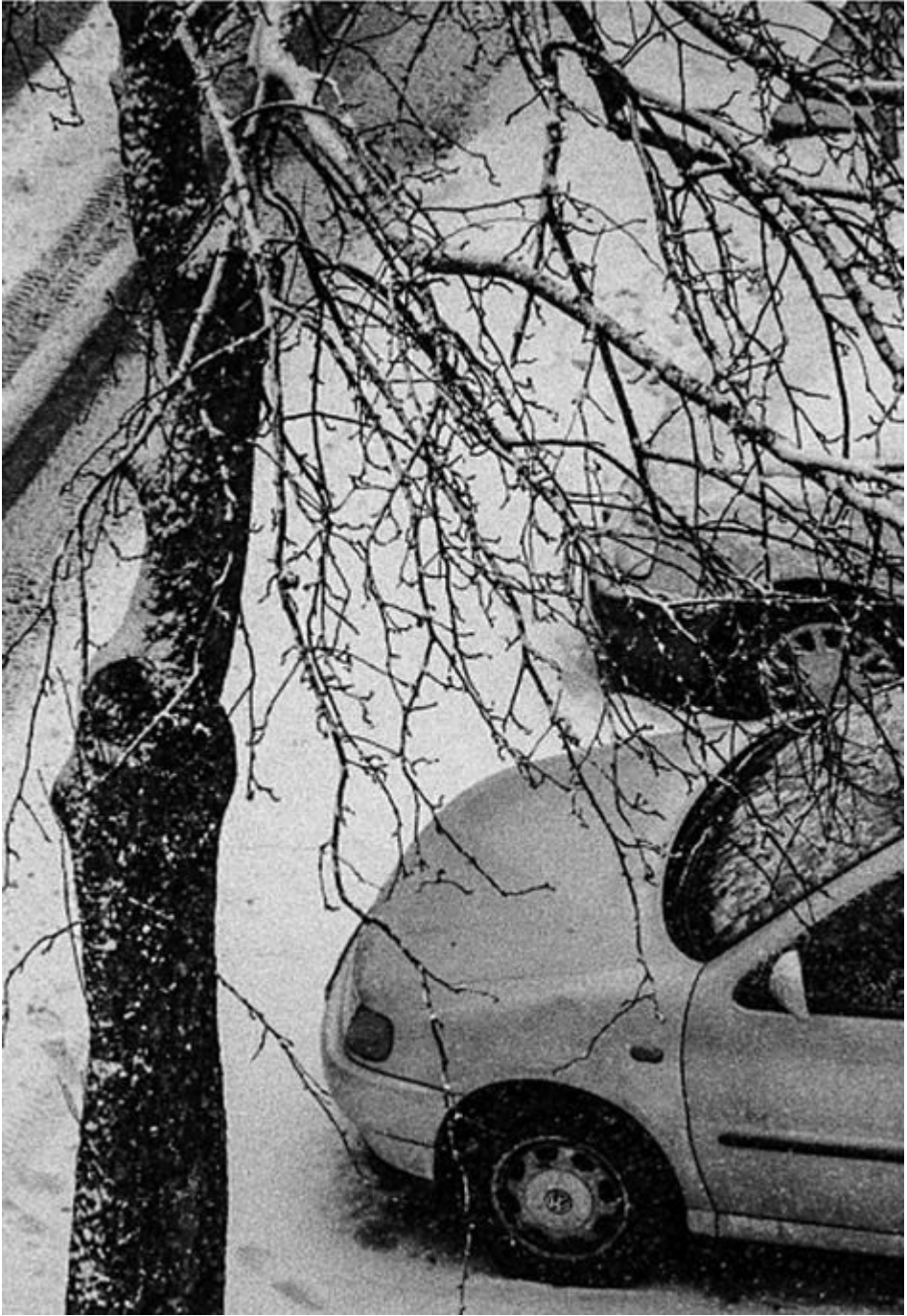
## 11

Tomasz S. podczas przesłuchania 19 marca 1999 roku: „My nigdy nie byliśmy żadną sektą, po prostu kolegowaliśmy się. Nie jestem satanistą. Nie wiem, dlaczego zabiliśmy Kamila i Karinę – to jest wszystko bez sensu”.

*Wypowiedzi i cytaty pochodzą z akt prokuratorskich i sądowych (zachowaliśmy ich oryginalne brzmienie) oraz z artykułów prasowych. Imiona najbliższych Tomasza S. i Roberta K. zostały zmienione.*







# **LINIA OBRONY**

**JOANNA**

**OPIAT-BOJARSKA**

# JOANNA OPIAT-BOJARSKA

Uznana autorka powieści kryminalnych. Dociekliwa i bezkompromisowa. Nie boi się niewygodnych tematów. W pisaniu stawia na realizm, emocje i matematyczną precyzję. Znudziły ją opowieści o dobrych policjantach i złych zabójcach, dlatego znalazła sposób na wniknięcie w struktury policji. Teraz o układach może powiedzieć wszystko. Poznała historie, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Część z nich opisała w serii „Kryształowi”.



**23 kwietnia 2002 roku**

Wszyscy siedzieli, a on stał. Wpatrywali się w niego, ale starał się o tym nie myśleć. Wiedział, że wychwycą każdy fałszywy ruch czy wykrzywienie twarzy i będą doszukiwać się w tym emocji. A Seba emocje zostawił w domu. Wyszedł z niego piętnaście miesięcy temu w towarzystwie umundurowanych policjantów. Nadal pamiętał, że kajdanki, które mu wtedy założyli, zacisnęły się na nadgarstkach tak mocno, że zanim dojechał do komisariatu, nie czuł już dłoni.

– Gdyby policja dotarła do Goški, to ona by potwierdziła, że to, co mówię, to prawda – powiedział to z wyrzutem.

– Jeśli to prawda, to dlaczego nie wspomniał pan o tym na wcześniejszych etapach śledztwa?

– Bałem się. Kurewsko się bałem. O siebie, ale i o moją rodzinę. I o dziewczynę też. Każdy z nas się bał. Rysiek też. ONI powiedzieli, że do nas dotrą.

– Oni? – dopytywała sędzina.

– Nie chcę. Nie mogę o nich mówić. Przyszli, zanim zgarnęły mnie psy, i powiedzieli, że psiarnia namierzyła telefon Małgorzaty i zaraz zgarnie Rycha. Skąd to, ku... – w ostatniej chwili zatrzymał słowo, którego nie powinien używać na sali sądowej. – Skąd wiedzieli? Mówili, że mamy dogadać jedną wersję – wersję, w której nie będzie o NICH ani słowa. A potem zaczęło dziać się wszystko to, o czym ONI mówili.

– Ale dziś zdecydował się pan o nich powiedzieć. Dlaczego?

– Bo nie mogę pójść do więzienia, ku..., za zabójstwo. Przecież ja tego nie zrobiłem. Miałem nadzieję, że cały proces... że sędzia... że dojdziecie prawdy, ale widać ONI są jeszcze wyżej postawieni, niż myślałem. Mogą wszystko.

– Proszę powiedzieć Wysokiemu Sądowi, co się stało dwudziestego drugiego grudnia 2000 roku.

Ktoś na sali zaczął kaszleć. Głośno. Seba nie oglądał się za siebie, ale odczekał, aż hałas ustanie. Wziął głęboki oddech. Sędzina domagała się, by

wrócił myślami do tamtego dnia. A on nie lubił wracać do przeszłości. Było. Minęło. Musiał sklecić kilka zdań. O wydarzeniach. Nie o emocjach. Emocji już nie pamiętał.

Kątem oka widział Rycha. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Miał zapadnięte policzki. Najwyraźniej nie służyło mu więzienne żarcie. Siedział w ławce obok swojego obrońcy i chyba jedyny z całej sali nie patrzył się na Sebę.

– To zaczęło się wcześniej. To znaczy wcześniej było wszystko dobrze. Robiłem z kimś interesy. Nie powiem, z kim. No i tak się zdarzyło, że znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Widzieliśmy coś. Nie mogę powiedzieć, co. Ale przez to musieliśmy dla NICH zacząć pracować. Wysoki Sąd wybaczy, ale nie powiem dla kogo, z kim i dlaczego się boję. Jedna z tych prac polegała na tym, żeby uprowadzić dziewczynę i wywieźć ją za granicę. Staralem się unikać kontaktu z NIMI, żeby bardziej się nie pogrążyć, ale się nie dało. ONI są bardzo dobrze zorganizowani i bez problemu znowu mnie znaleźli. Zawieźli nas do lasu. Grozili. I dali mi brązową butelkę. Powiedzieli, że w niej jest superpłyn. Wystarczy nasączyć nim chusteczkę i przyłożyć lasce do ust. Musiałem porwać dziewczynę. To, że to była Gośka, to przypadek. Bez sensu, że Rychu powiedział, że to było zaplanowane. Nie wiem, dlaczego tak powiedział. Nosilem butelkę przy sobie, w kurtce. Debatowaliśmy z Rychem o tym, jak to zrobić. Bez sensu było porwać przypadkową dziewczynę z ulicy. I wtedy nas olśniło. Bez sensu zgarniać laskę z ulicy, skoro można z jej samochodu.

\*

Seba nie przepadał za papugami. Prawnikom zawsze wydawało się, że zjedli wszystkie rozумы, a on jest jedynie prostym blacharzem samochodowym. Prawda była taka, że wiedział o prawdziwym życiu dużo więcej niż niejeden sztywniak w krawacie. Znał swoje miejsce w szeregu, a papugi potrzebował tylko do tego, by ktoś wysłuchał jego wersji i przekazał ją sędziemu w zwięzły, wiarygodny i nieobciążający go sposób.

Adwokat polecony przez Rycha różnił się od innych. Nie tylko dobrze słuchał, powtarzał i pilnował, by prawa Seby nie były łamane, ale jeszcze dodawał coś od siebie. Podrzucał wskazówki. Co, kiedy i jak powiedzieć,

żeby osiągnąć lepszy efekt.

– Piętnaście minut.

Seba usłyszał głos strażnika. Odwrócił głowę od małego okna zabezpieczonego kratami i spojrział w stronę drzwi. Pokój widzeń był tak mały, że adwokat, który właśnie wszedł, zrobił dwa kroki i znalazł się przy przykręconym do podłogi stole. Rzucił na blat wypasioną skórzaną teczkę, zupełnie jakby chciał się pochwalić, że za honorarium od klientów podobnych do Seby stać go na wszelkie zbytki.

– I jak mi poszło?

– Nie było najgorzej – pokręcił głową. – Chociaż...

– Co chociaż? – Seba oburzył się.

Gdyby sam miał wystawić sobie ocenę, byłaby to piątka z minusem. Z minusem – bo pewnie można by powiedzieć coś więcej albo mniej. Piątka – bo przedstawił sędzinie to, co miał jej przedstawić. Bez zająknięcia.

– Mam wątpliwości. Obserwowałem ławników i sędzinę. Jej miny... mnie zaniepokoiły.

– Jakie, kurwa, miny? Przecież to suka z lodowatym ryjem.

– Znam ją trochę lepiej niż pan. Niby nie okazuje emocji, ale gdy uważa, że ktoś kłamie, pociera sobie nos.

Seba roześmiał się, ale w pamięci próbował odtworzyć przebieg przesłuchania. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie, czy kobieta dotykała nosa. W tamtym momencie był za bardzo skupiony na sobie, żeby obserwować innych.

– No to git. Nie kłamałem przecież.

– Ona to oceni.

– Niech to zrobi właściwie. To, co powiedziałem, jest prawdą!

– Zwracałem pana uwagę na fakt, że wersja, którą chciał jej pan przedstawić, nie zawiera żadnych konkretów. Obawiam się, że to może być za mało, żeby zasiać wątpliwość.

– Jak, kurwa? Przecież powiedziałem wyraźnie, że żyła, gdy ONI ją zabrali.

– Oni. To sedno problemu. Jacy oni? Zero nazwisk. Zero konkretów. Nic, co można by zweryfikować – adwokat wykrzywił twarz.

– Mam nadzieję, że sędzina jest bardziej kumata niż ty. Jakie, kurwa, nazwiska? Myślisz, że tam się ktoś nazwiskami przedstawia?

– Ksywki, miejsca...

– Nie – Seba zaczął kręcić głową. – Nie! Tak, jak powiedziałem w sądzie. Nie mogę! Boję się. Nie ochronicie mnie. Ani mojej dziewczyny. Nie! – zakrył twarz rękoma. – I tak powiedziałem za dużo.

– Zdaje sobie pan sprawę z tego, że pan ich chroni?

– A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego – upodobnił ton do tego, jakim zwracał się do niego adwokat – że ONI są silni w chuj? Jeśli dowiedzą się, że ich wam wyjechałem, to mnie już nie ma. Mam, kurwa, nadzieję, że dowiedzą się z gazet czy telewizji, że nie powiedziałem, kim są. Że nie będą mieli powodu, by... kurwa mać! Ja to ja, ale Małgosia, moja laska? Przecież zgarną ją z ulicy i... Kurwa mać, mogłem nie gadać o nich. Kurwa!

## **22 grudnia 2000 roku**

Czas dłużył się dziś niemiłosiernie. Gośka wpatrywała się we wskazówki zegara wiszącego na ścianie i próbowała przesuwać je siłą woli. Nie reagowały. Niemalże stały w miejscu. Siedzenie w pracy w przedświąteczny piątek po piętnastej mijało się z celem. Przecież cały Poznań myślał już o karpiach w galarecie, kapuście z grzybami i wigilijnych pierogach, a nie o instalacjach i urządzeniach grzewczych.

Szef wyszedł dwie godziny temu, a ona tkwiła jak posąg za biurkiem i zastanawiała się, co tego roku przyniesie jej Gwiazdor. Mama delikatnie podpytywała, co chciałaby znaleźć pod choinką. Nie odpowiadała. Sama nie wiedziała. Było kilka rzeczy, które chciałaby mieć, ale wołała niespodziankę. Lubiła ten przyjemny dreszczyk niepewności towarzyszący odpakowywaniu prezentów.

Brzydka plastikowa choinka stojąca na biurku dawała namiastkę świątecznego nastroju. Z radia dochodziła stara, choć nadal popularna piosenka duetu Wham!. Gośka zamknęła oczy, ale nawet nie zdążyła wyobrazić sobie prawdziwej choinki, gdy zadzwonił telefon. Sięgnęła po słuchawkę.

– Halo?



– No cześć, Gośka – usłyszała radosny kobiecy głos. – Z tej strony Małgosia.

– Cześć, jeszcze siedzisz w robocie?

– Już właściwie wychodzę.

– Tobie to dobrze. A ja, kurde, do sze-sna-stej – celowo położyła nacisk na godzinę. – Zupełnie jakby ktoś miał przypomnieć sobie, że pilnie pod choinkę potrzebuje grzałki – zaśmiała się.

– Współczuję. Ale potem święta, odpoczniemy sobie, a po świętach... Barcelona! – krzyknęła tak, że Gośka odruchowo odsunęła słuchawkę od ucha.

Znały się z Małgosią od lat. Nie przyjaźniły się, ale ostatnio znajomość bardziej się zacieśniła. Gośka chciała jechać na Sylwestra za granicę, a wyjazd ze wspólnotą z Taizé był ciekawą opcją. Trochę to kosztowało, więc jej najbliższa przyjaciółka zrezygnowała, ale Małgosia miała pieniądze i ochotę, by wyskoczyć gdzieś poza Poznań.

– Już nie mogę się doczekać.

– A jak Seba?

– Bez zmian.

– Oswoił się już z tym, że nie spędzisz z nim sylwka?

– Nadal kombinuje. Ostatnio wymyślił, że pojedzie z nami. Czujesz to? – Małgosia wydawała się rozbawiona. – Seba na zlocie kościelnym?

– Oj tam, kościelnym. Taizé to wspólnota ekumeniczna. A my jedziemy na Europejskie Spotkanie Młodych. Słyszałam, że przynajmniej połowa uczestników zostanie przyjęta przez rodziny. Może, jak nam się uda, będziemy mieszkać w barcelońskiej rodzinie.

– Raczej hiszpańskiej, co?

– Nieważne. Będzie megaradość i ludzie z całego świata!

– No, ale Seba? Znasz go, Gośka, przecież on tam tylko by siarę nam robił.

– Wiadomo, nie jest nam potrzebny. Będzie megazabawa. Nie zabiera się drzewa do lasu.



Gośka spojrzała na plastikową choinkę. Jakoś tak jej się skojarzyła z lasem. Takim pełnym iglaków, przykrytych grubą warstwą śniegu.

– Musimy dokładnie ustalić, co która z nas zabiera. No i ile kasy potrzeba.

– Wiesz co, Gośka, ja już muszę kończyć, pogadamy o tym wieczorem, dobra? Zadzwońię. Będziesz w domu?

– Tak.

– Przed szesnastą muszę być w McDonalddie, siora na mnie będzie czekać. Idziesz z nami na zakupy?

– Dziś?

Goście mignął przed oczami obraz sprzed roku, kiedy zostawiła kupno jednego prezentu na ostatnią chwilę, wparowała do Jumbo na Franowie i pomyślała, że wyzionie ducha. Normalnie, w tygodniu, to był sklep, po którym można byłoby jeździć na rowerze między półkami. Tamtego dnia przed wigilią pękał w szwach. Zupełnie jakby ogłoszono stan wyjątkowy, a wszyscy mieszkańcy Poznania ruszyli do Jumbo, by zrobić zapasy na następne kilka tygodni.

– No przecież nie w niedzielę – zaśmiała się Małgosia. – Chcemy wpaść do Panoramy.

– Nie, dzięki. Nie mam ochoty przepychać się z całym Poznaniem, który na pewno szturmuje dziś centra handlowe. Obiecałam mamie, że pomogę jej pakować prezenty.

– Jak chcesz...

Smętny głos Małgosi kazał Goście zadać jeszcze jedno pytanie.

– Ale w temacie Barcelony zdania nie zmienisz? Nie wystawisz mnie?

– Nie.

– Na pewno? Nawet jeśli Seba ci się oświadczy albo zaproponuje jakąś fajniejszą imprezkę?

– W tym roku nie ma szans na fajniejszą. Jedziemy do Barcelony. Zapłaciłam przecież kasę. Nie chcę, żeby przepadła.

– A jeśli mówił serio? Że jak wyjedziesz, to będzie koniec waszej... – chciała powiedzieć „miłości”, ale ugryzła się w język. – Jeśli wystawi ci walizki za drzwi?

– Gośka, nie rozśmieszaj mnie. Seba czasem się wkurwia i gada głupie rzeczy. Ale powiedziałam mu, że nie wyobrażam sobie, żeby nasza miłość miała się skończyć z powodu takiej głupoty jak mój wyjazd z tobą.

\*

Gośka wyszła z budynku, a zimny wiatr owiał ją, przypominając, że zimą nie ma żartów. Widok Kolejowej i Gąsiorowskich nie napawał

optymizmem. Stare kamienice, kilka drzew i auta zaparkowane na chodnikach. Ulice były czarne. Nawet jeśli coś zaczynało padać, błyskawicznie się topiło. Od kilkunastu dni słupek rtęci nie schodził poniżej zera.

Wzięła głęboki oddech. Musiała jeszcze wpaść do banku na Głogowskiej, a potem mogła rozpocząć święta. Jeśli miała jakieś marzenie, to białe Boże Narodzenie. W telewizji zapowiadali, że śnieg ma się pojawić dwudziestego piątego grudnia. Cieszyła się. Najchętniej napisałaby list do Gwiazdora i poprosiła o białe święta oraz suchą i ciepłą kołcówkę roku. Zwłaszcza w Barcelonie.

Chciały z Małgosią zobaczyć parę miejsc. Tę wielką katedrę, co ją ciągle budują, wzgórze nad miastem i może jakieś kamienice Gaudiego. Przede wszystkim chciały jednak poznać ludzi. Taki wyjazd pozwoli im podejrzeć, jak w innych krajach żyją ludzie tacy jak one.

Dotarła do Głogowskiej i skręciła w prawo do banku. Małgosia poprosiła ją, by poszła do PBK i odebrała promocyjną zabawkę. Goście nie chciało się chodzić, ale nie mogła odmówić koleżance. Powoli zmierzchało.

W banku na szczęście stała choinka, i to prawdziwa. Duża, kolorowa i pachnąca lasem. To ona sprawiła, że Gośka przestała myśleć, że traci czas. Wróciła myślami do nadchodzących świąt i nim się zorientowała, wrzuciła zabawkę do torebki i wyszła na dwór.

– Gośka? – usłyszała męski głos.

Podniosła głowę. Z naprzeciwka szło dwóch mężczyzn. Mieli postawione kołnierze.

– Gośka! – mężczyzna powtórzył.

Dopiero teraz go poznała. Miał zwichrzone wiatrem blond włosy, ciemne oczy i charakterystyczne coś na policzku. Wyglądało to trochę jak ogromny pryszcz.

– Seba? Cześć – rzuciła, ale nie zamierzała się zatrzymywać. Było jej zimno.

Nie ubrała się na spacer po mieście, ale na jazdę w samochodzie i siedzenie w biurze. Nie założyła grubych skarpetek, a cienka podeszwa kozaków kupionych trzy tygodnie wcześniej w Panorami prezentowała się pięknie, ale nie była ocieplana.

– Cześć – odpowiedział i obaj z kolegą skierowali się w jej stronę. –  
Poznaj, to mój kumpel.

– Gośka.

– Rychu.

Kiwnęła do tego drugiego ręką. Przejście dla pieszych nie było najlepszym miejscem na zawieranie znajomości. Spojrzał na nią. Miał w sobie coś ciekawego. Nie potrafiła jeszcze powiedzieć, co.

– Co słysząc? – dopytywał się Seba.

Zdziwiła się. Zwykle mało ze sobą rozmawiali. Nie zlekceważyła go jednak. Chciała trochę bliżej przyjrzeć się Rychowi. Lubiła poznawać nowych ludzi. Zeszli z jezdni i zatrzymali się na chodniku.

– Po staremu.

– Gdzie idziesz?

– Do auta.

– Stoisz gdzieś blisko?

Kiwnęła głową.

– Podrzuciłabyś nas?

Spojrzała na Sebę. Uśmiechał się prosząco. Znała go, ale raczej za nim nie przepadała. Nie okazywała mu tego, ale nie okazywała też serdeczności. Był facetem jej kumpeli. Z Małgošką znały się od liceum. Miała okazję poznać kilku innych jej chłopów. Seba nie był według niej najlepszym wyborem. Być może robił dobre pierwsze wrażenie. Ale nie nadawał się na poważnego kandydata na męża. Miał zbyt wybuchowy charakter. Często robił awantury z błahych powodów. A przecież obie nie były już takie młode, żeby tracić czas na spotkania z byle kim.

– Dokąd?

– Do auta.

– Daleko?

Liczyła na to, że to będzie na tyle nie po drodze, że odmówi. Seba nie był może byle kim, ale nie układało się im z Małgosią. Potrafił ją uderzyć. Albo wyrzucić za drzwi. Małgosia wracała do niego, ale utrzymywała coraz większy dystans. Chociaż nadal wydawało się jej, że go kocha. A Gośka lubiła Małgosię i powinna lubić też jej chłopaka.

– Nie, tu, następny fyrtel. Przy Hetmańskiej. Seba zaparkował jak cwel, a mówiłem mu, że zbyt mocno piździ na piesze spaceru.

Rychu miał intrygujący głos i dobre, lekceważące podejście do Seby. Spodobało jej się to. Spojrzała na swoje czarne, niemalże nowe kozaki. Ciekawe, czy znał się na modzie i mógł docenić, że to najnowszy hit.

– Jasne. Ale musicie podejść ze mną, stoję przy hurtowni.

– To idź, my tu poczekamy – zdecydował Seba bez zastanowienia.

Spojrzała najpierw na mężczyzn, a potem na widniejący za nimi biurowiec. Nowoczesna bryła, dużo szkła i piękna elewacja. Wiedziała już, czego będzie sobie życzyć, wznosząc toast noworoczny w Barcelonie. Najpierw zmiany pracy, a potem odnalezienia tego jednego, właściwego mężczyzny. Niczego więcej nie potrzebowała do szczęścia.

### **14 marca 2003 roku**

Seba siedział na twardej ławce i wpatrywał się w kobietę odczytującą wyrok. Być może była najważniejszą osobą na sali, ale nie bardzo rozumiał, czemu miała decydować, co będzie dalej. Miał nadzieję, że podjęła dobrą decyzję. Jego adwokat był dobrej myśli.

W dziewięćdziesiątym czwartym roku też tak siedział i stresował się, że pójdzie za kratki. Artykuł 158. kodeksu karnego zakładał, że za udział w bójkę może siedzieć nawet kilka lat, a dostał tylko półtora roku, i to w zawieszeniu na cztery lata. Wtedy stresował się zupełnie niepotrzebnie, dlatego teraz nie zamierzał. Czekał. Porwanie dziewczyny było niczym w porównaniu z tym, co chciano mu udowodnić.

Rychu siedział w ławce ze swoim obrońcą i miał zwieszoną głowę, jakby zamierzał do końca życia przeproszać za to, że znalazł się w złym miejscu o złej porze. Seba go znał. I wiedział, że to tylko maska. Gra. I że jeśli cokolwiek żałuje, to tylko tego, że połasił się na parę stówek za telefon Goški. Gdyby go nie sprzedał, policja nigdy by do nich nie trafiła.

– Sąd uznał...

Pierwsze słowa rozbrzmiały w sali, a Seba skupił całą uwagę na sędzinie. Spojrzał na jej usta. Otwierały się i zamykały. Wyglądała na znudzoną. Jakby nie interesowało jej, co się z nimi stanie. Zupełnie jakby odczytywała

na głos zeszłoroczny program telewizyjny.

– ... za całkowicie niewiarygodne wyjaśnienia oskarżonego złożone przed sądem, w których oskarżony wywodził, że nie doszło do pozbawienia życia Małgorzaty, a jedynie jej porwania i przekazania „ludziom”, których oskarżony się boi. Takiemu przebiegowi zdarzeń przeczą nie tylko inne dowody zgromadzone w sprawie w postaci zeznań Ryszarda i opinie biegłych, ale także zasady doświadczenia życiowego i zeznań świadków.

## **22 grudnia 2000 roku**

Stali w bramie na ulicy Gąsiorowskich, kilka metrów od hurtowni, w której pracowała Gośka. Rychu dreptał w miejscu, jakby było mu zimno. Opowiadał o ostatniej imprezie, ale Seba go nie słuchał. Był skupiony. Wyglądał na zewnątrz. Chciał mieć pewność, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Fragment ulicy, który obserwował, wydawał się całkowicie pusty. Od czasu do czasu przejechał jakiś samochód. Ludzi było jak na lekarstwo. Jakaś kobieta obciążona siatkami stąpała jak słoń. Miała na sobie wełnianą czapkę, która przy każdym kolejnym kroku coraz bardziej zsuwała się jej na czoło. Seba pomyślał, że zanim kobieta dojdzie do miejsca, w którym on stoi, czapka zasłoni jej oczy.

– Musisz, kurwa, iść z nami. No wiesz, następnym razem. Zobaczysz...

– Co następnym razem?

Spojrzał na Rycha. Kumpel uśmiechał się, a w jego oczach żarzyły się iskry. Znali się na tyle, żeby Seba domyślił się, że chodziło o dziewczyny.

– Impreza! Słuchasz mnie w ogóle?

– Słucham, ale jednocześnie pilnuję. Nie chcę, żeby nam uciekła.

– Skąd wiesz, że nie wsiądzie od razu do auta, tylko pójdzie do banku?

– Wiem – wzruszył ramionami. – Wiem wszystko. W końcu mamy robotę do zrobienia, a ja lubię być przygotowany.

– Tylko, kurwa, pamiętaj. Nie może być świadków.

– Luz. Gadaliśmy już o tym. Gdybyśmy zwijali ją z ulicy, to byłoby ryzyko. Wyrwałyaby się, krzyczała. Świadkowie wtedy by się znaleźli. Ale tak w ogóle nie zwrócą na nas uwagi. Uprzejmie wsiądziemy do auta. Nikt

nawet tego nie zapamięta.

Spojrzał na zegarek. Minutę przed szesnastą wychylił się z bramy. Kobieta w czapce minęła już bramę i szła w dół ulicy. Zapatrzył się na nią, a kiedy oderwał wzrok, zobaczył, że dziewczyna o blond włosach wyszła na ulicę.

– Kurwa, jest – syknął. – Jest.

Prawie by ją przeoczył. Miała na sobie jasne džinsy i czarną kurtkę i szła w stronę Głogowskiej. Wszystko toczyło się według planu.

– Idziemy?

– Tylko żeby nas nie widziała, Rychu! Jak wyjdzie z banku, to ją zagadam.

Wyszli z bramy. Jak na komendę obaj postawili kołnierze. Szli wolno, skupieni, zachowując bezpieczny dystans. Seba zdał sobie sprawę, że nie przegadał z Rychem, co mają robić w sytuacji, gdy dziewczyna nagle się odwróci i ich zauważy.

Dotarli do skrzyżowania Gąsiorowskich z Głogowską. Gośka przeszła przez pasy. Odprowadzili ją wzrokiem do banku. W młodości Seba często bywał w tej okolicy. Rodzice co niedzielę zabierali go do kawiarni Hortexu, w której były najsmaczniejsze w mieście desery i koktajle owocowe.

– Zaraz wracam – rzucił Rychu i zniknął w sklepie.

Wrócił z paczką papierosów. Otworzył ją, wyjął jednego, wetknął do ust i zaczął poklepywać się po kieszeniach.

– Masz ogień? – spytał.

W tym samym momencie drzwi banku otworzyły się, a Gośka pojawiła się na ulicy.

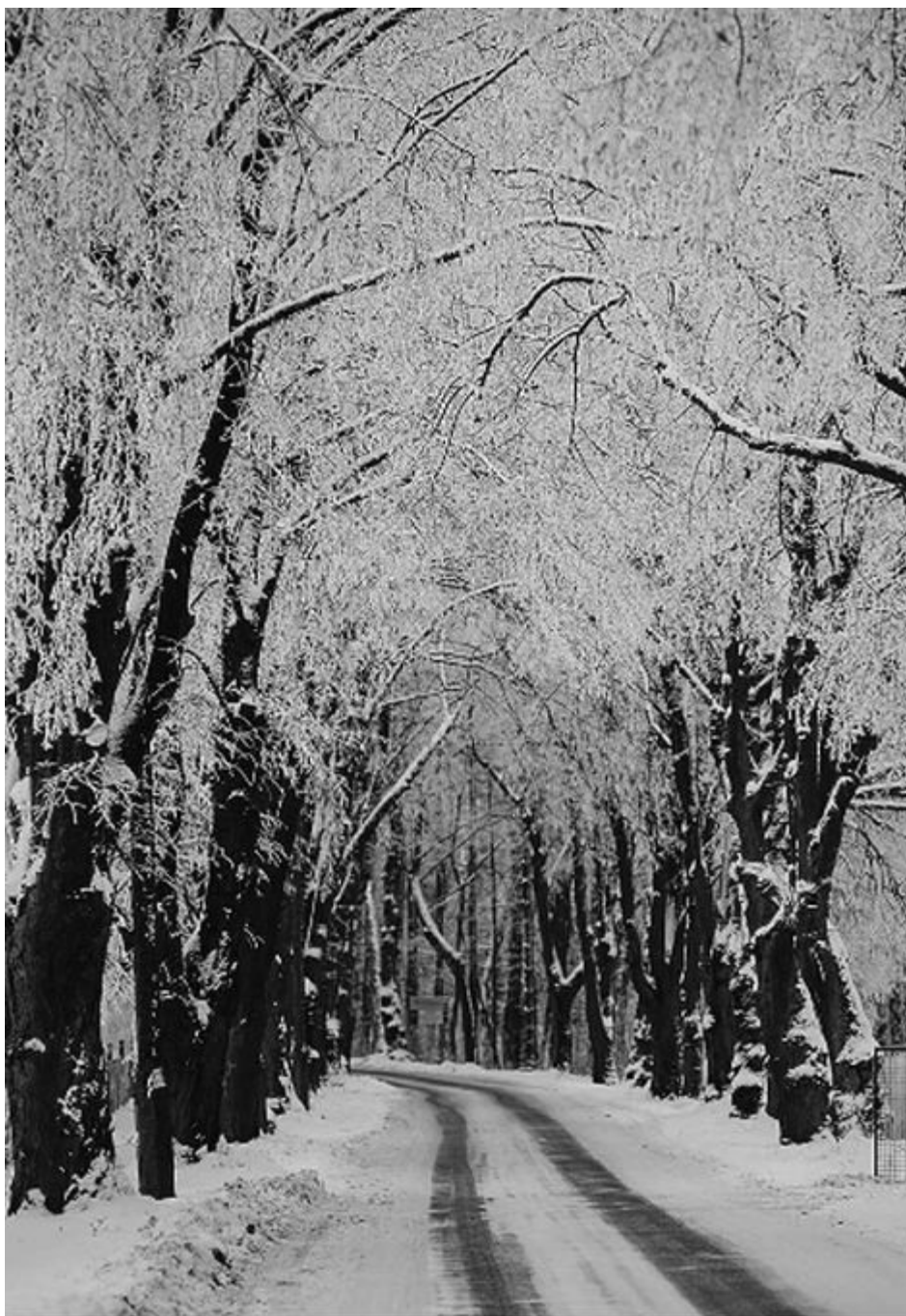
– Zapalisz później. Idziemy – warknął Seba.

Kątem oka zauważył, że Rychu chowa papierosy i bierze głęboki wdech. Zaczynało się. Byli po przeciwnych stronach ulicy. Dzieliło ich tylko przejście dla pieszych.

Seba czuł ssanie w żołądku i mrowienie w dłoniach. Jeszcze mogli zrezygnować. Minąć dziewczynę na tym przejściu dla pieszych, na które właśnie weszli, i pójść w swoją stronę. Gdyby tak zrobili, Gośka zabrałaby Małgosię na sylwestra do Barcelony, a Seba zostałby sam w tę najważniejszą noc w roku. Nie mógł do tego dopuścić.



– Gośka? – zagadnął ją, gdy mijali się na środku ulicy, idąc w przeciwnie strony. – Gośka!



Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Zupełnie jakby nie mogła odnaleźć go w pamięci. Nie widywali się zbyt często, Małgosia wiedziała, że za sobą nie przepadają, i nie zmuszała ich do przebywania w swoim

towarzystwie. Ale codziennie gadała z nią przez telefon i codziennie opowiadała mu, co u niej słycać. Nie było dnia, żeby nie słycała: Gośka to, Gośka tamto, Gośka powiedziała, Gośka zrobiła, Gośka proponowała. Miał tego dość.

– Seba? – otworzyła szeroko oczy, jakby zdziwiła się, że się do niej odezwał. – Cześć.

– Cześć. Poznaj, to mój kumpel.

Wrócili na chodnik. Musiał odezwać się i sprawić, żeby nie odeszła. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

– Co słycać?

– Po staremu.

– Gdzie idziesz?

– Do auta – odpowiedziała na odczepne.

Zrobił wielkie oczy i uśmiechnął się, jakby spadła mu z nieba. Z Rychem odgrywali nie takie teatrzyki, ale mimo to miał nadzieję, że po wszystkim Rychu doceni jego zdolności aktorskie. Naprawdę starał się być miły, uprzejmy i zaskoczony spotkaniem.

– Stoisz gdzieś blisko?

Kiwnęła głową.

– Podrzuciłabyś nas?

– Dokąd?

– Do auta.

– Daleko?

Spojrzeli z Rychem na siebie. Trzeba było działać. Nie mogła im się teraz wywinąć, tłumacząc, że to jej nie po drodze.

– Nie, tu, następny fyrtel – odpowiedział Rychu, wskazując kierunek. Jego ręka zrobiła tak duży łuk, że mógłby właściwie wskazywać pół Poznania. –

Przy Hetmańskiej. Seba zaparkował jak cwel, a mówiłem mu, że zbyt mocno piździ na piesze spaceru.

Gośka spuściła głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoje czarne kozaki.

– Jasne. Ale musicie podejść ze mną, stoję przy hurtowni.

– To idź, my tu poczekamy – powiedział tak, żeby przypadkiem nie

próbowała dyskutować.

Zrozumiała. Odwróciła się i odeszła bez słowa.

Realizacja pierwszego etapu przebiegła bez niespodzianek. Mieli chwilę, by zaczerpnąć powietrza i przejść do etapu drugiego.

\*

Czerwone cinquecento pojawiło się na ulicy. Powoli dojechało do skrzyżowania i stanęło. Przednia szyba była oczyszczona ze szronu, ale lusterka boczne nadal były brudne. Seba pomyślał, że laski nie powinny być kierowcami. Otworzył drzwi i odchylił siedzenie pasażera. Rychu wcisnął się do tyłu, a Seba usiadł z przodu. Trzasnął drzwiami.

Ruszyli.

– To gdzie stoisz?

– Tam – wskazał jej kierunek. Byli na Gaşiorowskich, więc machnął ręką w tył. – Zawrócisz?

Nie odpowiedziała, ale zrobiła to, co chciał.

– A teraz?

– Na razie prosto.

– Prosto? – spytała.

– Ymh – przytaknął.

Rychu siedział z tyłu i w ogóle się nie odzywał. Seba czuł, że powinien coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział, co. Nie mieli wspólnych tematów. Nie wiedział, o co może ją spytać. Na szczęście przyszła mu z pomocą.

– Co u Małgosi?

– Spoko.

– Święta spędzacie razem?

– Jak odbędziemy wszystko u rodziców, to tak. Tu w prawo.

Skręcili w Kanałową. A potem w lewo w Głogowską. Rozmowa się nie kleiła. Światła na skrzyżowaniu były jakieś krótkie. Musieli odczekać dwa cykle, zanim przecięli Hetmańską. Seba spojrział w boczne lusterko, ale nadal nie było w nim nic widać. Westchnął ciężko. Na tyle ciężko, że Gośka musiała to zauważyć.

– Nie przejmuj się, Seba.

– O co ci chodzi? – spytał.

– No nic. Po prostu mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że porywam ci Małgosię?

– Co, kurwa? – o mało się nie zakrztusił.

– No, na sylwka. Porywam ją do Barcelony – powtórzyła z premedytacją.

– W prawo! – krzyknął, a Gośka skręciła ostro kierownicą.

Wjechali w Winklera. To było bardzo dobre miejsce. Wąska ulica. Stare domy jednorodzinne. Okazałe drzewa. Nikt nie powinien zwrócić na nich uwagi. Seba wypatrzył posesję, na której nie świeciło się światło.

– Zatrzymaj się tu!

– Tu?

– Co ty, kurwa, nie słyszysz? – nie potrafił dłużej powstrzymać emocji.

– To kawałek jednak był. – W jej głosie rozbrzmiewała radość i ulga.

Cinquecento zjechało na chodnik.

– Wyłącz silnik – warknął Rychu.

– Po co?

– Wyłącz.

Zrobiła, co kazał. Seba wyjął kluczyki ze stacyjki. Otworzyła usta – pewnie żeby zadać kolejne pytanie – ale uderzył ją. Raz. Potem drugi. Zaczęła machać rękoma. Złapał je i wykręcił do tyłu.

– Trzym ją, Rychu.

Kumpel zareagował jak trzeba. Miał już gotową taśmę. W kilka sekund unieruchomił Gośkę.

– O co chodzi? – pytała.

Nie miała możliwości ruchu. Zaatakowali ją. Musiała widzieć, że to nie są żarty, ale nie panikowała. Nie płakała. Nie wyrażała skruchy.

– O co ci, Seba chodzi?

Pytała w kółko o jedno. Zupełnie jakby chciała, żeby w końcu przyznał, że jest zły, bo „porywa jego dziewczynę”.

\*

Jechali przez centrum miasta. Mijali mnóstwo samochodów. Na

szczęście żaden z kierowców nie był w stanie zauważyć, co dzieje się we wnętrzu cinquecento. Rychu niemalże leżał na Goście, którą Seba wrzucił na tylne siedzenie, ale jej nogi znalazły przerwę między przednimi siedzeniami i przedostały się przodu.

– Rychu, kurwa! Trzymaj ją!

Seba panikował, bo dziewczyna wierzgała nogami, uderzając w co popadnie. Rychu dwoił się i troił, ale nie był w stanie unieruchamiać pleców i rąk dziewczyny, a jednocześnie obciążać jej nóg.

Uderzył ją w plecy, na wysokości nerek. Nogi opadły na dźwignię biegów. Seba przesunął je i wrzucił trójkę. Rychu zerknął za okno. Właśnie skręcali w Śniadeckich. Korzystając z tego, że Gośka się uspokoiła, spojrzął na zegarek. Od wyruszenia z Winklera minęło dokładnie dziesięć minut. To było najtrudniejsze dziesięć minut w jego życiu.

Po prawej stronie zobaczył okazały gmach szkoły. Nie pamiętał jakiej, ale szerokie i długie schody sprawiały wrażenie, że to bardzo ważna jednostka. Jakiś uniwersytet albo zespół szkół ekonomicznych. W tej chwili jednak najważniejsze było to, że w przedświąteczny piątek koło godziny siedemnastej nie kręcili się przy nim ludzie.

Cinquecento zjechało na lewo i zaparkowało obok dostawczego volkswagena. Seba wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Odchylił fotel kierowcy i wskazał Rychowi swoje miejsce.

– Ja jadę eltekiem, ty za mną.

Jak zwykle podjął decyzję w sekundę. Imponował tym Rychowi. On potrzebował dłuższej chwili nawet na wybór obiadu w knajpie.

– Ja z nią? – powtórzył Rychu, wysiadając z auta.

– A ja swoim.

– Popierdoliło cię. Nie ma mowy.

– Kurwa, Rychu!

Rozmawiali o tym, że jakoś muszą przewieźć Gośkę na działkę, ale nie doprecyzowywali szczegółów. Nie mogli stać w środku miasta i dyskutować. Mieli w aucie skrępowaną kobietę. To, że w tej chwili byli sami na ulicy, nie znaczyło, że tak będzie w nieskończoność. W takich sytuacjach wystarczył jeden przypadkowy przechodzień, by cały plan wziął w łeb.

– Nie wpierdolisz mnie w to, Seba. Przecież, kurwa, na wylotach z miasta często lubią stać.

– Nie mów, że boisz się zwykłego patrolu policji.

– Mam zawiasy, kurwa mać. Wpierdolą mnie od razu za kratki. Nie wytłumaczę się z tego, że wiozę zakrwawioną i skrępowaną taśmą laskę.

– Rychu, kurwa mać. Zawiasy masz za pobicie. Nie za porwanie. Przecież nie umiesz jeździć eltekami!

Seba próbował spojrzeniem zmusić kumpla do zmiany decyzji, ale Rychu nie zamierzał się poddawać. Czuł, że jazda z dziewczyną, którą porwali, to zbyt duże ryzyko. Rychu miał wiele wad, ale jedną ogromną zaletę. Zawsze wiedział, jak się ustawić.

\*

Seba spędzał w warsztacie dużo czasu. Małgosia myślała, że zajmuje się tam porządkami. Często powtarzała, że dba o to miejsce bardziej niż o nią. Śmiał się wtedy na głos, ale nic nie mówił. Nie dbał o warsztat. Zwyczajnie w nim pracował. Ale nie o wszystkich robotach mógł mówić swojej dziewczynie. Na rękę mu było, by myślała, że jeździ tam sprzątać.

W warsztacie jak zawsze panował bałagan. Stanęli na środku. On, Rychu i Gośka. Nic nie mówiła. Pchnął ją w kierunku niebieskiej plandeki, która zasłaniała zejście do piwnicy. – Na dół! – warknął.

Nawet nie drgnęła.

Odsłonił plandekę i kopnął Gośkę w tyłek.

– Idziesz, kurwa!

Ruszyła. Powoli. Schodek po schodku. Jakby zastanawiała się, czy istnieje jakaś możliwość ucieczki. Drugi poszedł Rychu. Seba zasłonił plandekę i poszedł za nimi.

– Ale o co chodzi? – spytała, gdy stanął obok niej.

Zacięła się. Od Śniadeckich powtarzała ciągle tylko jedno pytanie. Czasem dodawała, że ma ją puścić i nie robić jej krzywdy. Wkurzała go. Porwana, skrępowana i wieziona nie wiadomo dokąd, nadal miała chęć mówić mu, co powinien, a czego nie powinien robić.

– Ale o co chodzi? Powiedz mi, Seba.

Traktowała go jak furiata, któremu o coś chodzi, którego sprowokuje do rozmowy i mu przejdzie. Nie odpowiadał. A ona się nakręcała. W końcu chyba dotarło do niej, że to nie przelewki. Zaczęła krzyczeć i wołać po pomoc.

– Boisz się, kurwa, co? Bardzo dobrze. Masz się nas bać! Jesteś tylko popierdoloną szmatą i możemy zrobić z tobą wszystko. Wszystko, kurwa!



Seba straszył ją, a ona krzyczała „ratunku”. Nie przejmował się tym. Warsztat znajdował się w Komornikach. Kawalek za miastem. Właściwie pośrodku niczego. Latem można tu było spotkać ludzi, ale zimą... To było idealne miejsce na różnego rodzaju lewe robótki.

– Zamknij się, kurwa – Rychu pchnął Gośkę tak mocno, że zatoczyła się i o mało nie upadła.

– Gleba! Kładziesz się na glebę! – Seba uznał, że to dobry pomysł, żeby leżała na ziemi.

Podszedł i próbował ją przewrócić, ale usztywniła się i stawiała opór.

– Odpierdoliło ci, Seba!

– Zamknij się, kurwo!

Chyba trafił w sedno, bo spojrzała na niego w taki sposób, że zrozumiał. Żarty się skończyły. Przewrócił ją na ziemię. Upadła na plecy, a on skoczył na nią i usiadł na jej biodrach.

– Rozpalaj – powiedział do Rycha, wskazując głową na okrągły piec.

– Pojebało cię! Co chcesz zrobić? Znam ludzi, którzy cię zniszczą! – wrzeszczała. – Zniszczą cię! Przestań!

To był szczyt bezczelności. Porwał ją z ulicy i zaciągnął do piwnicy, a ona nadal próbowała przekonać go, że jest od niego lepsza. To dlatego po każdym spotkaniu Małgosi z Gośką czuł, że Małgosia wymyka mu się z rąk. Coraz wyraźniej się buntuje. Czerpie wzorce z przyjaciółki.

Jej głos wwiercał mu się w głowę. Był przeraźliwie irytujący. I jakby cały czas nabierał na sile. Seba nie mógł pozwolić na to, by go straszyla i naśmiewała się z niego w obecności kumpla. Rychu nie odstępował go przecież na krok.

Nie wytrzymał. Uderzył ją z całej siły pięścią w brzuch. Przestała krzyczeć. Zwinęła się, a on uderzył jeszcze raz. Otwartą ręką w twarz. Nie mógł akceptować braku pokory.

Wstał i spojrzał na Rycha. Kumpel podszedł do Gośki i kopnął ją. Ten to potrafił bić. Nie tak jak większość, byle jak. Wiedział, gdzie uderzyć, żeby bolało. Gośka zawyła i zwinęła się z bólu.

– Zapomnij, kurwo, o jebanej Barcelonie – Seba zdziwił się, że wypowiedział na głos to, o czym myślał od dawna.



Gośka wypluła coś na posadzkę. Spojrzał. Czerwony płyn.

– Zniszczą was – syknęła.

Zaśmiali się. Rychu stał jakieś pół metra od niego. Miał podwinięte rękawy. Czekał. Na ciąg dalszy.

Seba nie chciał czekać. Odwrócił się. Na bojlerze leżał nóż. Złapał go, żeby wyglądać na groźniejszego. Staął nad Goską. Chciał zrobić na niej wrażenie, bo znowu zaczęła się szarpać. Chwycił ją wolną ręką za włosy. Skrzywiła twarz z bólu.

Dorosły człowiek musi umieć ponosić konsekwencje swoich czynów, przypomniał sobie słowa swojego ojca. Ta głupia cipa też powinna o tym wiedzieć. W obecności Rycha powiedziała, że porwa Sebie dziewczynę. Naśmiewała się z niego. Kpiła z jego zazdrości. Małgoska musiała jej opowiedzieć o ostatnich kłótniach. A tyle razy mówił jej, że to, co się dzieje między nimi, ma zostać w czterech ścianach. Przez Goškę wyszedł na ciotę. A ona, głupia, cały czas udawała, że nie wie, o co chodzi. Nawet teraz, gdy leżała w piwnicy.

– Zamknij się, głupia szmato!

– Jesteś chory! Małgosia cię zostawi, odejdzie od ciebie, kiedy....

Przycisnął jej głowę do podłogi i wbił nóż w odsłonięty fragment szyi. Docisnął. A potem zobaczył krew. Dużo krwi. A potem Gośka w końcu zamilkła.

\*

Rychu wyszedł na dwór. Było już całkiem ciemno. Mroźne powietrze przyjemnie chłodziło twarz. Cały czas miał przed oczami ten nóż. Drewnianą rękojeść i ostrze wbijające się w szyję. Weszło głęboko. Na co najmniej dziesięć centymetrów. A potem powoli przeszło wzdłuż gardła. Krew wypływająca z żyły bulgotała, a Gośka walczyła o oddech, topiąc się we własnej krwi.

Nie znał dziewczyny. Nie łączył go z nią żaden emocjonalny stosunek. Jednak widok otwieranych ust i krwi zalewającej wszystko dookoła był mocny. Na tyle mocny, że przegapił moment, w którym przestała oddychać. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że krew przestała bulgotać, a jej strumień wyraźnie zwolnił. Jakby już mu się nie spieszyło. Bo nie miało

znaczenia, jak długo będzie krwawić, jeśli nie żyje.

– Daj fajkę – z budynku wyszedł Seba.

Był pobudzony. Wytrzeł ręce o kurtkę i wyciągnął dłoń w kierunku Rycha. Na dworze panowała przyjemna cisza. Rychu sięgnął do kieszeni po papierosa.

Seba wziął jednego, zapalił, zaciągnął się, a potem odetchnął z ulgą. Jakby z jego serca spadł głąz.

– Seba, kurwa, co ty odpierdalasz?! Jesteś rozjebany!

Kumpel wzruszył ramionami.

– Seba, przecież plan był inny. Miałeś ją trzymać na tej działce aż do Nowego Roku.

– Był, ale się pojebał. Wkurwiła mnie.

– Zajebicie. I co teraz?

Seba znowu wzruszył ramionami. Zupełnie jakby zrobił to, co musiał, a teraz chciał wrócić do domu.

– Nie możemy tego tak zostawić. Trzeba posprzątać. Wsiedliśmy do jej auta, kurwa mać. W centrum miasta. Dotrą do nas. Ja nie mam zamiaru iść siedzieć.

– Bez nerw, Rychu. Posprzątam.

Dla Seby wszystko było takie proste. Rychu potrząsnął głową. Coś trzeba było wymyśleć. Usunąć ciało i ślady krwi.

– Może zadzwonię po chłopaków – zaproponował.

– Gdzie? Kurwa! Im mniej ludzi o tym wie, tym bardziej jesteśmy niewinni. Już sprzątam. Bez nerw, Rychu.

– Komórka, kurwa, jej komórka! – pyta Rychu. – Ma? Żeby jej nie namierzyli.

Rychu rzucił się do czerwonego cinquecento. Pod siedzeniem leżała torebka. Wyjął z niej komórkę. Chwilę zajęło mu wyciągnięcie z niej karty sim.

– Wrzuć to, Seba, do pieca. Aparat opchniemy, parę stówek za niego dostaniemy. Auto... nie może tu zostać. No i ciało. Mogłeś mnie, kurwa, uprzedzić...

– Ciekawe, kurwa, kiedy? A chuj! Zaraz wszystko ogarnę. Daj mi, kurwa,

chwilę. Trzy minuty relaksu i już, kurwa, myślę. Tylko, Rychu, nie sprzedawaj tego telefonu. Zniszcz go.

\*

– O, ja pierdołę.

Rychu dobrze podsumował widok, który zastali po powrocie do piwnicy. Gośka leżała dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawili. Ciemny koc, który Seba podłożył pod ciało, wchłonał trochę krwi, ale i tak na posadzce widniała czerwona kałuża.

– Skąd, kurwa, aż tyle?

– Była wampirem. Mówię ci.

– Seba, kurwa, mnie tu nie było. Sam ją przywiozłeś.

– Wyluzuj!

– Jeśli ustalą, że tu przyjechałeś, to znajdą krew.

– Chuja mi zrobią. Bez nerw, Rychu.

Seba nie przewidział w swoim planie takiego rozwoju wypadków, ale przecież nie mógł wpaść teraz w panikę. Nie był taki głupi, żeby zostawić w warsztacie ślady krwi. Nie zamierzał myć podłogi wodą z mydłem.

– Pomóż mi.

Rozprostowali koc, na którym leżała Gośka, a potem owinęli ciało, jak owija się ser naleśnikiem.

– Ciężka, kurwa – jęknął Rychu, gdy złapał ją za nogi.

Seba ustawił się przy głowie, złapał mocno i uniósł ciało. Blond włosy zwisały, przypominając mu, kogo niesie.

– Do cienkiego z nią – zarządził.

Wynieśli ją do samochodu i wrócili do piwnicy. Ciało mieli z głowy, ale plama została. Wpatrywali się w nią przed długą chwilę. Seba zastanawiał się, czy ten kształt coś mu przypomina i czy zapamięta go na dłużej. A potem sięgnął po stojący najbliżej kanister z ropą i polał nią plamę. Kiedy upewnił się, że ropa zakryła całą krew przyniósł wiadro z piaskiem i posypał nim plamę.

– Co ty, kurwa, odpierdalasz?

– Uspokój się Rychu. Piasek nasiąknie. Wybiorę go i wyrzucę. Nie będą

chyba szukać krwi na polu, co? – roześmiał się.

\*

Było już całkiem ciemno. Droga, przy której zaparkowali, nie była zbyt uczęszczana. Zwłaszcza o tej porze roku. Pół kraju brało właśnie udział w przedświątecznej pogoni po sklepach. Dokupowali brakujące produkty spożywcze w ilościach, które sugerowałyby, że nadchodzi koniec świata. Druga połowa spędzała czas w domach, skupiając się na usuwaniu kurzu, pieczeniu pierników, serników i gotowaniu ryb. A Sebę otaczał przyjemny spokój.

Kochał wodę. Godzinami mógłby na nią patrzeć. Imponowała mu jej dwoistość. Z jednej strony była tak bardzo wrażliwa, że nawet najmniejsze jej dotknięcie wywoływało drgania. Małe, rozchodzące się fale. Z drugiej – woda była najpotężniejszym żywiołem. Potrafiła przyjąć wszystko. Nawet kilkudziesięciokilowe ciało. I ukryć je – albo wyrzucić na brzeg w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Seba z ciekawością śledził pojawiające się co jakiś czas doniesienia o zwłokach wyławianych z Warty. I śmiał się pod nosem z debili, którzy myśleli, że wrzucając ciało do wody, pozbywają się problemu. Zimą woda była lodowata i hamowała procesy rozkładu ciała, ale gdy nadchodziła wiosna, a po niej lato, za sprawą nagromadzonych w rozkładającym się ciele gazów zwłoki wypływały na powierzchnię. Chyba że debil miał szczęście i wcześniej zahaczyły o jakiś konar na dnie.

Seba nie liczył na szczęście. Poza tym Warta była zdradliwa. Nie przepadał za nią. Wolał zamknięte zbiorniki.

Zaczął wynurzenie. Nie czuł oporu wody. Wystawił głowę nad powierzchnię. W oddali majaczyły dwa samochody – czerwone cinquecento Goški i volkswagen–dostawczak jego ojca. Być może nie powinny stać obok siebie, ale kto miałby je zobaczyć, zapamiętać i skojarzyć? Kto miałby ich tu szukać?

– No, nareszcie! – Rychu podbiegł do brzegu. – Długo cię nie było.

Seba wzruszył ramionami. Rychu zachowywał się tak, jakby się bał, że zaraz ktoś go złapie, a on nie zdoła wytłumaczyć się z auta, w którym są ślady krwi Goški. Obecność Seby dodawała mu odwagi.

– Bez przesady, Rychu. Nawet nie poczułem, że piździ.

Pianka, którą miał na sobie, pozwalała mu na przebywanie pod powierzchnią lodowatej wody nawet do trzydziestu minut bez uczucia chłodu.

– Gdzie ją schowałeś?

– A co? Rozmyśliłeś się i jednak chcesz zabrać ją ze sobą? – zaśmiał się.



Rychu też. Trochę się rozluźnił. I dobrze. Nie musiał wiedzieć, gdzie są zwłoki. Przecież każdy głupi słyszał, że dopóki nie ma zwłok, nie ma zbrodni.

– Nie wiem, kurwa, ale ja bym ją zrzucił w Rogalinku, z mostu. Po drodze. Trzy minuty i po krzyku.

– Po chuj? Żeby wypłynęła?

– Obciążylbym kamieniem albo cegłą.

– Wiesz co, Rychu, pewne rzeczy zostaw mądrzejszym.

– Jak tak, to spierdalaj, jadę do chaty, działaj sobie sam, skoro taki, kurwa, mądry jesteś.

– Pięknie – Seba rozejrzał się. Byli w czarnej dupie. Poza miastem. Bez dostępu do komunikacji. Rychu dreptałby pieszo do swojego domu pewnie z pół dnia. – Jak chcesz, to spierdalaj! Aaa, zapomniałeś, że nie masz tu swojego auta. Możesz piechotą. Do Poznania. Albo wiesz, co? Idź na stopa. Na pewno ten, co cię będzie wiozł, nie zapamięta ciebie, a kiedy policja przypadkiem zapuka do jego drzwi, nie będzie potrafił powiedzieć, że cię zabrał. I skąd. A jak dowiedzą się skąd, to od razu wykminiają, co tu robiłeś.

– Nie bądź takim cwaniakiem – Rychu się wkurzył. – Ty za to masz dwa auta.

– Tylko jedno jest moje.

– Ale w drugim są twoje paluchy na kierownicy.

– Podpalę je.

– Tu?

– No kurwa, wiadomo, że nie...

– Czyli, kurwa, ty potrzebujesz mnie, ja ciebie. Jesteśmy na siebie skazani.

– Taki wyrok – zaśmiał się Seba – jakoś przeżyję. Weź spierdalaj, zróbmy, co mamy zrobić i zacznijmy te jebane święta. Jeszcze kurtkę muszę sobie wyprać.

Przestali dyskutować, bo na drodze prowadzącej do Poznania pojawiły się światła. Nikłe, ale zbliżały się do nich. Było ciemno, więc teoretycznie nikt nie powinien ich zauważyć, ale rozumieli się bez słów. Nie potrzebowali dodatkowego ryzyka. Świadkowie. Już dawno ustalili, że to najślabsza strona każdego przestępstwa i że oni obejdują się bez słabych stron. Spojrzeli na siebie i automatycznie skoczyli w krzaki.

– Widział nas?

– Bez szans.

– Jedziemy?

– Odczekajmy, Seba, chwilę, tak na wszelki wypadek. Robotę sobie zrobiłeś z tym zanoszeniem jej na dno. Gdybyśmy ją wrzucili, też by opadła.

– Jasne. Chciałem jednak być z nią do końca – Seba zaczął zdejmować kombinezon.

Nie zamierzał tłumaczyć Rychowi, że przecież ciało wrzucone do rzeki prędzej czy później wypłynie, a on nie zamierza psuć sobie życia. Dobrze znał ukształtowanie dna tego jeziora. Podczas nurkowania znalazł kiedyś małe wgłębienie. Dziś sobie o nim przypomniał. Było idealne na skulone ciało. Stamtąd nie miało szans wypłynąć przypadkiem.

– Ktoś mógł nas widzieć na Głogowskiej? – dopytywał Rychu.

– Wpadasz, kurwa, w paranoję. Powtórzę jeszcze raz. Bez nerw. Czy ktoś zapamiętałby, że dwóch gości w centrum miasta wsiada do auta? Nie sądzę.

– Seba się zamyślił. – Ale wiesz co, faktycznie to najslabszy element dzisiejszej akcji. Trzeba opracować jakiś plan, w razie gdyby jakaś nudząca się babcia siedziała właśnie w oknie i zapisała w zeszycie numery auta Goški i nasz wygląd. Wiesz, coś na wypadek, gdyby psiarnia zapukała do naszych drzwi. Dobrze, gdybyśmy złożyli wyjaśnienia i wyszli. Jakiś papuga by się nam przydał.

– Mam jednego.

– Sprawdzony?

– Zawiasy dzięki niemu mam.

– No, ale drugich ci nie załatwi.

– Weź, kurwa! On powie nam, co mówić. Dobry jest.

\*

Minęli miejscowość Świątniki. Po obu stronach drogi pojawiły się drzewa. Seba jechał pierwszy. Rychu siedział za kierownicą elteka i radził sobie świetnie. Wpatrywał się w tył cinquecento i czuł, że powoli schodzi z niego napięcie. Nie mieli już ciała. Zostało tylko zakrwawione auto Goški. Wystarczyło się go pozbyć i mogli rozejść się do domów.

Seba wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Rychu zrobił to samo. Zatrzymali się i wysiedli z samochodów. Stali przez dłuższą chwilę, starając się ocenić, czy to dobre miejsce. Drzewa zapewniały idealne schronienie przed wścibskimi spojrzeniami. W okolicy nie było żadnych domów,



pieszych ani rowerzystów. Nie jeździły tamtędy żadne samochody.

– Nieźle nam zeszło – Rychu spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Mniej więcej cztery godziny temu wsiadali do auta Goški. – Głodny już jestem.

– Masz kielbaski? Rozpalamy grilla – Seba otworzył bagażnik elteka i wyjął kanister.

– O zesz, kurwa, mieliśmy kupę mięcha, ale poszła się utopić – Rychu odpowiedział śmiechem. – Seba, a co, jak się pół lasu od tego zjara?

– Bez nerw, Rychu. Zima jest – Seba powoli polewał cinquecento zawartością kanistra. – Nic się nie zjara. Drzewa musiałyby być suche.

Seba imponował Rychowi. Powolne ruchy. Porażająca pewność siebie. Zupełnie jakby miał doświadczenie i robił to nie pierwszy raz.

– Skoro tak mówisz... Ile będziemy mieli czasu?

– Do wybuchu? Niewiele – pusty kanister wylądował z powrotem w bagażniku, a Seba wytarł dłonie o kurtkę i zabrał Rychowi kluczyki do elteka. – Czekaj, przestawię auto. Ojciec by mnie zajebał, gdybyśmy przypadkiem zjarali też jego wózek.

– Widziałem na filmie, że taki wybuch to, kurwa, chwila i po wszystkim. Im więcej benzyny w baku, tym większy wybuch.

– Nie licz na fajerwerki, Rychu. W cienkim świecił się już żyd. Dobra, do roboty. To ja odpalam elteka, a ty podpalasz auto Goški.

## **14 marca 2003 roku**

Znowu ta sama sala sądowa. Te same twarze. Seba miał dość. Sędzina wydawała się kobietą, która nie potrafi wyrażać emocji. Mógł się założyć, że w domu była tak samo lodowata jak tutaj. Orzekała kary swoim dzieciom tonem nieznoszącym sprzeciwu i udawała, że resocjalizacja ma sens. To jej przydałyby się badania psychologiczne, nie jemu.

Potem jego wzrok padł na adwokata reprezentującego Rycha. Facet wyglądał jak kopia adwokata Seby. Byli podobni do siebie jak dwie krople wody. Nie było w tym nic dziwnego. Rychu zorganizował im dwóch obrońców – ojca i syna. Mieli te same geny.

Od kilku tygodni Seba zastanawiał się, czy również skuteczność mają

taką samą. Dla niego sprawa była jasna. Tak samo jak wyrok, który za chwilę usłyszy. Tylko on i Rychu wiedzieli, jak było naprawdę. Cała ta sądowa szopka była przerażającym absurdem. Żeby jakiś człowiek miał prawo rozsądzać, kto mówi prawdę?

Według Seby jedyne, co mogła zrobić sędzina, to przyznawać noty za umiejętności kłamania, przemilczania, odwracania kota ogonem. Kłamanie było przecież wpisane w naturę ludzką. Każdy człowiek kłamał. Nawet w przykazaniach boskich nie pojawiło się takie, które mówiłoby: nie kłam. Bóg nie był idiotą. Wiedział, jacy są ludzie. Gdyby tego zakazał, wszyscy by się od niego odwrócili. To było tak sprzeczne z naturą człowieka, jak zalecenie: nie oddychaj.

Rychu był dobry. Umiał to robić. Oddychać pełną piersią i kłamać, patrząc ludziom w oczy. Chociaż schudł. Seba nie pamiętał już dokładnie ich ostatniego spotkania na wolności. Byli dobrymi kumplami. Nie mówiłby byle komu, że Gośka go wkurwia.

Rychu wkurwił go na serio tylko raz. Gdy wyrwał się ze sprzedażą telefonu Gośki. Zupełnie jakby nie miał mózgu. Był odpowiedzialny tylko za jedną rzecz i ją spierdolił. Gdyby zniszczył go, tak jak mu kazał Seba, to rodzice Gośki do dziś myśleliby, że wyjechała za granicę.

Pieprzona zagranica. Gdyby Gośka nie ciągała ze sobą Małgosi, wszystko byłoby dobrze. Może nawet wyjechałaby do tej Barcelony sama, poznała jakiegoś Hiszpana, Włocha czy innego dzianego gacha i została tam na zawsze. I wtedy między nim i Małgosią rozkwitłaby miłość. Taka jak na początku.

„Porywam ci Małgosię” – tak powiedziała, a duma, jaka z niej wtedy emanowała, była przerażająca. Gdyby Małgosia chciała odejść do innego, obiłby mu mordę. Pokazałby jemu, jej i kumplom, że jest prawdziwym facetem. A tu, zamiast godnego przeciwnika, pojawiła się ona – zawsze otwarta na zawieranie nowych znajomości Gośka.

– Proszę wstać...

Adwokat kopnął Sebę pod stołem. Podniósł się więc z krzesła.

– ... Sąd wymierzył oskarżonemu Ryszardowi za czyn opisany w artykule 239. paragraf pierwszy kodeksu karnego karę czterech lat pozbawienia wolności, za czyn opisany w artykule...

Sędzina odczytywała kolejne paragrafy, a Seba skupiał się na tym, jaki łączny wyrok zgarnie Rychu.

– ... Sąd uznał, że kara łączna ośmiu lat pozbawienia wolności jest adekwatna do stopnia winy oskarżonego w zakresie całego jego działania. Sąd wziął również pod uwagę jako okoliczność łagodzącą jego przyznanie się do popełnienia zarzucanych mu czynów...

Seba wstrzymał oddech. Osiem lat. Dwa już odsiedzieli. Adwokat powiedział, że sąd zaliczy im na poczet zasądzonej kary okres spędzony za kratkami w oczekiwaniu na wyrok. Zostanie jeszcze sześć. To raczej dużo. Czy Małgosia na niego poczeka?

– ... odnośnie do zarzutu zabójstwa Małgorzaty, sąd wobec uznania, że Ryszard tego czynu nie popełnił, uniewinnił go od stawianego mu zarzutu.

Seba spojrzał na kumpla. Rychu spuścił głowę. Nie uśmiechnął się, ale przecież musiał być zadowolony. Przez salę sądową przebiegł szmer oburzenia.

– ... Jednocześnie wobec uznania oskarżonego Sebastiana Sobali za winnego popełnienia tego czynu, sąd wymierzył mu karę dożywotniego pozbawienia wolności i środek karny w postaci pozbawienia go praw publicznych na okres dziesięciu lat.

\*

Coś poszło nie tak. Seba czuł na swoich nadgarstkach kajdanki. Zupełnie jak wtedy, gdy policjanci przyjechali po niego do domu. Tylko że wtedy miał przed sobą perspektywy. Dobrego adwokata. Skuteczną linię obrony. Szansę na szybki powrót na wolność.

Spojrzał przed siebie i zauważył matkę Goški. Patrzyła na niego czerwionymi od płaczu oczami. Nie znalazł w nich potępienia. Raczej nadzieję. Ledwo tłące się przeświadczenie, że być może jej córka żyje. Nie wytrzymał wzroku kobiety. Spuścił głowę.

Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Tak powtarzał adwokat Seby. Podkreślał, że jeśli policja nie znajdzie ciała Goški, to nie będą mogli skazać go za zabójstwo. Bo przecież, skoro nie ma pewności, że kobieta umarła, to rozmowa o pozbawieniu jej życia nie ma sensu.

Coś jednak poszło nie tak. I to bardzo. Dysproporcja między wyrokami

Rycha i Seby była ogromna. Sędzina uznała, że Rychu nie przyczynił się do śmierci Goški. Dobrze sobie. Ten sam Rychu, który od początku do końca brał we wszystkim udział. Który bił, trzymał i krzyczał. Pomagał w sprzątaniu, ukrywaniu zwłok, transporcie.

Rychu nie zabił. Nie zadał śmiertelnego ciosu, ale też nie zaprotestował, nie próbował zatrzymać Seby, nie zawahał się. Nie poszedł do domu. Rychu nie był dupą wołową, jak usiłował wmówić sędzinie. Nie siedział z boku, gdy działy się takie rzeczy.

Seba nie potrafił powiedzieć, czy gdyby był na Głogowskiej sam... Gdyby nikt, poza nim, nie usłyszał, że Goška z taką lekkością i uśmiechem na twarzy mówi o tym, że porywa Sebie dziewczynę... Czy zagryzłby wtedy usta i poszedł dalej, czy zabrałby ją ze sobą?

Wszystko mogło potoczyć się inaczej. Już na Winklera Rychu mógł wyjść z cinquecento i pójść w długą. Nie zrobił tego, a podczas składania zeznań zgrywał niemego świadka.

Adwokat, którego załatwił Sebie, miał być dobry. Dopiero teraz Seba zrozumiał, że był dobry. Zapoznał Sebę z linią obrony. Ale to nie była linia obrony Seby, tylko gra na to, by uniewinnić Rycha. Wszyscy się jej trzymali. Rychu, jego adwokat i adwokat Seby.

Tylko jeden Seba naiwnie wierzył w bajkę, że jeśli zmieni zeznania, jeśli nie będzie obciążał Rycha, to ugra więcej. Dał się oszukać. Spędzi w więzieniu całe życie, a Rychu za chwilę wyjdzie i będzie bujać się po mieście nowymi furami.

Coś poszło nie tak. Nie tak miał wyglądać koniec tej sprawy. Opuszczając salę sądową, Seba pomyślał, że gdyby tylko zechciał, mógłby zafundować wszystkim zwrot akcji. Wystarczyło przecież powiedzieć, gdzie ukrył zwłoki, żeby je wyłowili, zbadali i znaleźli na nich ślady. Jego i Rycha.

I wtedy wszyscy dowiedzieliby się, że z Sebą się nie zadziera.

# POWIEM CI ZBRODNI





**NIE MA SPRAWY**

**KATARZYNA  
PUZYŃSKA**

## KATARZYNA PUZYŃSKA

Urodzona w 1985 roku. Z wykształcenia psycholog. Przez kilka lat pracowała jako nauczyciel akademicki na wydziale psychologii. Teraz całkowicie skupiła się na swojej największej pasji, czyli pisaniu. W wolnych chwilach biega i zajmuje się swoim czworonożnym stadem – psami, kotem i końmi. Uwielbia Skandynawię i Hiszpanię. Kocha muzykę punkową i metalową. Mówi się, że jest najbardziej wytatuowaną polską pisarką. Od lat jest wegetarianką, teraz również weganką.

Debiutowała doskonale przyjętą książką *Motylek*, która rozpoczyna sagę o policjantach z niewielkiej wsi Lipowo. Seria o Lipowie to nie tylko trzymające w napięciu klasyczne kryminały psychologiczne, ale także powieści z rozbudowanym wątkiem społecznym i obyczajowym, porównywane do książek Agathy Christie i Camilli Läckberg. Prawa do publikacji powieści Puzyńskiej sprzedano do ponad dwudziestu krajów. Puzyńska jest też autorką książek non-fiction pt. *Policjanci. Ulica* i *Policjanci. Bez munduru*, w których razem ze swoimi rozmówcami przedstawia służbę funkcjonariuszy Polskiej Policji od zupełnie innej strony niż robiono to do tej pory..





914

PR0160C

FUJIT

PR0160C

FUJIT

## **Przesłuchanie**

**Warszawa, 14 września 2009**

Przesłuchanie trwało już jakiś czas. Co gorsza, wcale nie wyglądało na to, żeby miało zakończyć się sukcesem. Wszyscy byli zmęczeni. Tym bardziej że mieli za sobą cały dzień intensywnych poszukiwań. Komary, duchota babiego lata i wielogodzinna praca dały się wszystkim we znaki. Każdy myślał już tylko o tym, żeby wrócić do domu, zrzucić przeupocone ubranie i się położyć.

– Czy jako wydział mieliście sprawę podobną do tej? – padło zupełnie nieoczekiwane pytanie. Trudno było uniknąć wrażenia, że pobrzmiwa w nim przechwałka. Albo nawet buta.

– Nie – przyznał policjant powoli. – Nie mieliśmy.

– W takim razie będzie o tym głośno. Przecież i tak zwłoki się nie znajdą.

Przez chwilę w pokoju przesłuchań panowała prawie idealna cisza. Przerywało ją tylko ledwo słyszalne tykanie zegarka na rękę jednego ze śledczych. Cztery trupy. Żadnego ciała. Musieli je znaleźć, żeby mieć punkt zaczepienia do dalszych czynności.

Ale teraz najlepiej czekać. Czasem to było najskuteczniejszą metodą, żeby zmusić podejrzanego do mówienia.

– Jeśli uznam za stosowne powiedzieć, gdzie są zwłoki, to powiem. Skoro nie ma ciała, to nie ma sprawy.

Nie ma sprawy? Cztery trupy w ciągu trzech lat oznaczały, że zdecydowanie jest sprawa. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Nawet jeżeli miałyby to oznaczać nadgodziny i zdenerwowanie czekającej w domu żony. Niektórych dochodzeń żaden porządny glina odpuścić nie może.

To było właśnie jedno z nich.

## **Część Pierwsza**

**Małgorzata**

## **Warszawa, 1988**

Starej Woli nie dało się nie lubić. Budynki miały swoją historię. Czuło się to, spacerując w cieniu bloków. Małgorzacie najbardziej podobał się kościół z czerwonej cegły i pięknie zadbane plac wokół niego. Trawa zawsze zieleniła się pysznie. Skwerek wyglądał jak z obrazka.

Ślub wzięli właśnie tam. To w tej parafii Zbigniew aktywnie udzielał się w kościelnym chórze. Mąż miał piękny głos. Małgorzata lubiła słuchać, jak śpiewa. Na jego szczupłej twarzy malował się wtedy wyraz niezwykłego spokoju.

Teraz usiadła w drugiej ławce, żeby być jak najbliżej. Głosy śpiewających niosły się wysoko, aż do sklepienia świątyni. Brzmiały cudownie, wyolbrzymiane przez echo. Czuła się szczęśliwa. Pogładziła się z czułością po brzuchu. Delikatny uśmiech przebiegł po jej twarzy. W jej ciele powstawało nowe życie. Czy może być coś piękniejszego niż jej córeczka?

Od początku ciąży Małgorzata czuła, że to będzie dziewczynka. Wiedzieli już nawet, jak ją nazwą. Ola. Cudowne, proste imię. Uniosła wzrok i raz jeszcze spojrzała na świeżo poślubionego męża. Zbigniew uśmiechnął się szeroko, nie gubiąc przy tym ani rytmu, ani melodii. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, ale śpiewał, jakby miał znacznie większe doświadczenie.

Odpowiedziała Zbigniewowi uśmiechem. Tyle jeszcze przed nimi, pomyślała. Tyle szczęścia i radości. Małgorzata nie wiedziała jeszcze, że się myli.

I to bardzo.

## **Warszawa, 1996**

Osiem lat. Czasem ciężko było jej uwierzyć, że tyle wytrzymała w tym małżeństwie. Małgorzata nie potrafiła zrozumieć, jak mogła się tak pomylić. Może to dlatego, że była taka młoda i zakochana. Teraz już wiedziała lepiej. Życie nauczyło ją, że piękne pozory czasem kryją ponurą prawdę.

Pozory. Na tym właśnie od dłuższego czasu opierało się jej małżeństwo ze Zbigniewem. Z zewnątrz wszystko wyglądało doskonale. Sama o to zadbała. Uśmiechała się, nawet odrobinę za często. Rzecz miała się zupełnie

inaczej, kiedy zamykali za sobą drzwi mieszkania. Wtedy zaczynał się strach i niepewność.

Mąż zmieniał się stopniowo. Pierwsze sygnały pojawiły się niedługo po narodzinach Oli. Małgorzata poznała drugie oblicze Zbigniewa. To, którego nie chciał pokazywać światu. Był zręcznym manipulatorem. Nikt na pewno nie domyśliłby się, że on, żarliwy katolik, spotyka się z mężczyznami.

Początkowo starał się to ukrywać. Również przed nią. Z czasem jednak robił się coraz bardziej odważny. Doszło do tego, że zaczął sprowadzać swoich kochanków do domu. Co gorsza, Małgorzata podejrzewała, że byli to ludzie z kościoła. Niekoniecznie z tego, do którego chodzili co niedzielę. Być może Zbigniew bał się, że ktoś się domyśli i wołał nie ryzykować działania na swoim gruncie? Płonęły jej policzki, kiedy słyszała dźwięki dochodzące z sypialni.

Już sama zdrada byłaby upokarzająca, ale to, co się działo... Z dwojga złego Małgorzata chyba wolałaby, żeby chodziło o inną kobietę. A w tej sytuacji czuła się niepełna. Jakby nie sprostała oczekiwaniom.

A potem przyszło jeszcze gorsze. Zbigniew uznał, że powinna dzielić z nim jego fantazje seksualne. Kiedy powiedziała mu, że nie chce w tym uczestniczyć, wściekł się.

– Zrobisz to!!!

Pamiętała dokładnie krzyk Zbigniewa. Nie był mocnej postury, ale i tak miał więcej siły od niej. Zmusił ją. Od tamtej pory zdarzało się to nagminnie. Przemoc fizyczna, psychiczna i seks, którego absolutnie nie chciała. Bywało, że wstydziła się spojrzeć sąsiadkom w oczy, gdy schodziła na dół do sklepu. Miała wrażenie, że z jej twarzy można wszystko wyczytać.

Kiedy Małgorzata o tym myślała, dreszcz przebiegał jej po całym ciele. Osiem długich lat. Tyle właśnie wytrzymała. W ostatnim czasie czuła, że nie podola dłużej. Ale przecież kochała Zbigniewa. Musiała go kochać. Nie mogło być inaczej. Powtarzała to sobie prawie codziennie, bo czasem miała wrażenie, że gdyby przyznała przed sobą, że uczucie dawno wygasło, to wszystko stałoby się naprawdę nie do zniesienia. Zgadzała się na to wszystko z miłości. Jeżeli miała przetrwać, musiała trzymać się tej myśli – i tyle. Nie było innego wyjścia.

Dobrze, że przynajmniej miała wspaniałą córeczkę.

– Wyglądasz cudownie – powiedziała do Oli.

Dziewczynka obróciła się tanecznym ruchem. Zaśmiała się rozradowana, kiedy biała komunijna sukienka zafalowała. Wyglądała jak mała księżniczka. Już Małgorzata o to zadbała. Przynajmniej tyle mogła zrobić, żeby wynagrodzić jej to, co działo się w domu.

– Muszą być państwo bardzo dumni – powiedział ksiądz Piotr. – Komunia to ważne wydarzenie w życiu każdej rodziny.

– Jesteśmy niezmiernie dumni – potwierdził natychmiast Zbigniew. – I bardzo szczęśliwi.

– To cudownie – rozpromienił się kapłan. – Takie zgrane rodziny jak wasza to rzadkość w dzisiejszych czasach.

Małgorzata lubiła księdza Piotra. Był zawsze uśmiechnięty i otwarty. Miała ochotę wykrzyczeć mu, co dzieje się w jej domu. Łatwo się z nim rozmawiało. Może i o tych sprawach mogłaby mu powiedzieć? Może potrafiłby pomóc? Może położyłby kres jej cierpieniom? Zbigniew miał przecież poważanie dla księży. Tak wiele by dała, żeby jej życie wyglądało normalnie. Żeby nie musiała się ciągle bać.

– Chciałbym, żeby państwo kogoś poznali – powiedział tymczasem ksiądz, zmieniając temat. Nie był przecież świadomy jej rozterek. – To młody chłopak. Życie go nie szczydziło. Teraz jest u nas ministrantem. Śpiewa też w scholi. Staram się mu pomóc. Nazywa się Mariusz.

Ksiądz Piotr wskazał nastolatka w komży, który właśnie sprzątał po mszy. Chłopak był wysoki i dobrze zbudowany. Dzięki silnej posturze wyglądał prawie jak dorosły, choć musiał mieć dopiero ze szesnaście, może siedemnaście lat. Na pewno nie więcej. Tylko twarz miał nadal dzieciinną.

Małgorzata zerknęła w stronę męża. Odniosła wrażenie, że Zbigniewowi aż zaświeciły się oczy. Ksiądz nawet nie wiedział, że właśnie skazał biednego chłopaka na cierpienie. A wszystko przez to, że milczała. Znowu poczuła, że się czerwieni.

## **Mariusz**

**Warszawa, 1996**

Mariusz zdjął ubranie. Bardzo powoli. Koszulka, spodnie, potem

bielizna. Został w samych skarpetkach. Czuł, że nie powinni tego robić. Ba, był tego nawet pewien. Mimo to pozwolił, żeby Zbigniew przejechał dłonią po jego klatce piersiowej. Ruch był delikatny i niemal czuły. Inny niż te, które chłopak dotychczas znał. Co nie zmieniało faktu, że równie grzeszny. Mariusz odetchnął głębiej, żeby się uspokoić. Zamknął oczy i poddał się pieszczotom.

– Chciałbym, żebyś się do nas wprowadził – powiedział Zbigniew szeptem. Pocałował chłopaka w ramię. Jego oddech był ciepły. Za ciepły. Nieprzyjemny.

Mariusz otworzył oczy.

– Co?

Zbigniew zaśmiał się wesoło, rozbawiony zaskoczeniem chłopaka.

– To, co słyszałeś. Wprowadzisz się do mnie i Małgorzaty.

Słowa Zbigniewa nie brzmiały już jak prośba. Raczej jak rozkaz. Mariusz spojrział na mężczyznę. Zapomniał nawet, żeby zasłonić najbardziej intymne części swojego ciała. Na to i tak było za późno. Zgrzeszył.

– Ale pani Małgosia nie będzie miała nic przeciwko?

– Oczywiście że nie. Gosia będzie szczęśliwa, że do nas dołączysz na stałe.

Mariusz szczerze w to wątpił. Żonę Zbigniewa widywał już kilkakrotnie. Zawsze wydawała się udręczona. Nic dziwnego, zważywszy na to, co działo się w jej domu. Chłopak podejrzewał, że swoim pojawieniem się w ich rodzinie przysporzy jej dodatkowych cierpień. Wcale nie chciał. Zdążył ją polubić.

Co teraz? – zastanawiał się chłopak gorączkowo. Z jednej strony ogarniało go obrzydzenie do siebie, że w ogóle rozważa propozycję Zbigniewa. Z drugiej – gdzieś głęboko czuł kuszące laskotanie nadziei. Było delikatne jak promienie słońca w pierwsze wiosenne dni.

Jeżeli zamieszka ze Zbigniewem i Małgorzatą, nadal będzie musiał robić to, czego nienawidził. Będzie musiał zaspokajać żądze perwersyjnego mężczyzny. Ale z drugiej strony może to była szansa na lepsze życie? Mariusz wyrwałby się wreszcie z maleńkiego mieszkanka matki. Ze swojego środowiska. Mieszkałby wygodnie. Miałby normalne życie.

Zbigniew znów go pocałował. No, może prawie normalne, dodał w duchu Mariusz, kiedy kolejne pocałunki zbliżyły się do jego ust. Czuł teraz

wyraźnie zapach czosnku. Kochanek musiał niedawno jeść obiad.

Mariusz zacisnął powieki. Podjął decyzję. Wiedział, że będzie musiał płacić za to wyrzutami sumienia i grzechem, ale może wreszcie jego życie się odmieni. Na nic lepszego i tak nie miał co liczyć, prawda?

– Dobrze – szepnął. – Dobrze.

## **Małgorzata**

### ***Stara Miłosna, 1999***

Małgorzata z trudem weszła po schodach. To był ostatni miesiąc ciąży i czuła się naprawdę bardzo zmęczona. Przystanęła, żeby odetchnąć i wyrównać przyspieszone bicie serca. Dziś dzień był chłodny, więc włożyła pod płaszcz sweter. Teraz tego żałowała. Pot spływał jej wąską stróżką po plecach.

– Wiktoria kopie – oznajmiła Ola, dotykając jej brzucha.



Córkę fascynowały ruchy dziecka od kiedy tylko stały się wyraźnie wyczuwalne. Małgorzata bardzo się z tego cieszyła. Początkowo miała obawy, że jedenastolatka nie zaakceptuje młodszej siostrzyczki. Wyglądało jednak na to, że Małgorzata niepotrzebnie się martwiła. Ola kochała Wiktorię z całego serca.

Bo że to znów będzie dziewczynka, było więcej niż pewne. Nie pomyliła



się za pierwszym razem, nie pomyli się i teraz. A Wiktoria to takie dumne imię. Jak zwycięstwo. W pewnym sensie Małgorzata faktycznie czuła się, jakby wygrała. Była przecież zakochana. A zupełnie się już nie spodziewała, że kiedykolwiek obudzą się w niej jeszcze takie uczucia.

– Chodźmy – powiedziała do Oli.

Ruszyły po schodach w górę. Małgorzata jeszcze nie przyzwyczała się do nowego bloku. Zbigniew wziął kredyt i kupił tu mieszkanie, kiedy okazało się, że ich rodzina się powiększy. We czwórkę w starym by się nie zmieścili.

Ola przystanęła i spojrzała niepewnie na Małgorzatę. Były już prawie przy swoim mieszkaniu. Zza drzwi dobiegały krzyki, a więc Zbigniew i Mariusz znów się kłócili. Od jakiegoś czasu chłopak miał dosyć układu, w którym żyli przez ostatnie trzy lata. Szukał nowego mieszkania. Zbigniew był wściekły, więc często kończyło się to awanturą.

Wściekłość męża wynikała po trosze z tego, że Mariusz chciał odejść. Powód mógł jednak być też zupełnie inny. Małgorzata z westchnieniem przejechała ręką po brzuchu.

Przecież była jeszcze Wiktoria.

### **Stara Miłosna, 2002**

Wytrzymali kolejne trzy lata, choć wydawało się to zupełnie niewyobrażalne. Małgorzata praktycznie codziennie miała wrażenie, że któreś z ich trójki wybuchnie. Nie tylko mężczyźni. Ona też wielokrotnie się hamowała, żeby czegoś nie powiedzieć. Czasami nerwy były silniejsze niż strach, który wcześniej odczuwała.

Na pewno odwagi dodawała jej obecność Mariusza. Nie była już przecież sama. Zbigniew był zręcznym manipulatorem. Przez pierwsze osiem lat, dopóki tkwili w tym sami, zawsze miał nad nią władzę. Zmuszał ją do tych wszystkich swoich perwersji. A potem sprowadził do ich domu stałego kochanka. Nie przewidział jednak jednego – że pomiędzy nią a chłopakiem zrodzi się uczucie. Miłość, o której żadne z nich nie śmiało nawet marzyć. Gdyby nie ona, pewnie nie wytrzymaliby tych sześciu wspólnych lat.

– Naprawdę się wyprowadzasz? – szepnęła do Mariusza.

– Muszę. Sama dobrze wiesz, że już wystarczy takiego życia – odpowiedział równie cicho. – Będzie dobrze. Mój kuzyn, Krzysiek,

przyjedzie. Zaczniemy we dwóch własny biznes. Jakoś się ułoży. Przecież wiesz, że będę zawsze kochał ciebie i Wiktorię. Tylko wy się liczycie.

Małgorzata uśmiechnęła się szeroko na te słowa. Pozornie dzieliło ich wszystko. Począwszy od wspólnych okropnych doświadczeń, a skończywszy na tym, że była od Mariusza aż trzynaście lat starsza. Ale to im nie przeszkadzało się kochać. Teraz już wiedziała, co to tak naprawdę znaczy.

Mariusz próbował przytulić Olę, ale dziewczyna go odtrąciła. Nie naciskał. Pocałował Wiktorię w czoło. Córeczka zachichotała. Była do niego taka podobna. Formalnie nosiła nazwisko Zbigniewa, ale wystarczyło choćby przelotnie jej się przyjrzeć, żeby zobaczyć, kto tak naprawdę jest jej ojcem.

– Wypierdalaj! – wrzasnął Zbigniew, wbiegając do przedpokoju. Wielkie oczy, które kiedyś tak się Małgorzacie podobały, teraz wydawały się paść tylko nienawiścią. – Nie chcę cię tu więcej widzieć, kutasie.

– Do widzenia – powiedział Mariusz, zerkając w jej stronę. Zbigniewa zupełnie zignorował.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Małgorzata podjęła decyzję. Mariusz miał rację. To nie może się dłużej ciągnąć. Przecież w końcu wszyscy powariują. Małgorzata zabierze Olę i Wiktorię. Przeprowadzi się do matki. Niech Zbigniew zostanie tu sam. Zasłużył na to. Już nikogo nie będzie straszył. Już nic złego się nie stanie.

Małgorzata nie wiedziała, że grubo się myli. Za cztery lata dwie osoby z ich piątki będą martwe.

## **Aleksandra**

### **Warszawa, 10 kwietnia 2006**

Ola była pewna, że doskonale sobie to wymyśliła. Pomysł musiał wypalić. Zresztą, nie było innego wyjścia.

– Jeżeli powiem, że obiad jest u babci, to wtedy wy dzwonicie na policję – powiedziała jeszcze raz do koleżanek. Chciała mieć pewność, że dobrze zrozumiały, żeby po południu wszystko poszło gładko. – Zadzwonicie do mnie w trakcie i jeżeli to powiem, to wzywacie pomoc. Okej?

– Jesteś pewna, że to bezpieczne? – zapytała jedna z nich.

Nie wyglądała na przekonaną. Ola westchnęła. Kogo oszukiwała? Sama też nie była przekonana, czy dobrze robi. Nie zamierzała jednak z nikim się tymi spostrzeżeniami dzielić. Tak samo jak tym, że się bała.

Nie mieszkała z nim już cztery lata, a nadal po prostu się go bała. Był coraz bardziej agresywny. Posunął się przecież nawet do szantażu. A teraz, jakby nigdy nic, zapraszał na kolację, niby żeby wszystko wyprostować. Żeby porozmawiali i ostatecznie spróbowali ułożyć relacje w ich skomplikowanej rodzinie.

Skomplikowanej to mało powiedziane, zaśmiała się gorzko w duchu dziewczyna. Gdyby nie młodsza siostra, to Ola pewnie wyprowadziłaby się z miasta – albo i jeszcze dalej. Dokądkolwiek, byle stąd uciec. Ale nie chciała zostawiać Wiktorii samej w tym całym bałaganie.

– Chyba powinnaś jednak zadzwonić na policję – spróbowała znów koleżanka. – To może być jakiś podstęp. A co, jeżeli on ma złe zamiary?

– Nie będę dzwonić na policję – ucięła Ola.

Wkrótce miała się przekonać, że podjęła złą decyzję.

### **Warszawa, 10 kwietnia 2006**

Odkąd wyprowadziły się we trzy od ojca, nie było lepiej, tylko gorzej. Ola miała wrażenie, że oddalają się od siebie z matką. Przyczyna zdawała się oczywista. Mariusz. To on stał pomiędzy nimi. Małgorzata nadal się z nim spotykała, choć mieszkali już wszyscy oddzielnie.

Ola nienawidziła, kiedy przychodził. Ciągle się wtedy kłócili. W końcu nie wytrzymała i dwa lata temu postanowiła wyprowadzić się do babci. Nadal miała jednak na oku Wiktorię. Choć akurat z dziewczynką Mariusz miał doskonałe relacje. Raczej nic jej nie groziło.

– Jesteś pewna, że chcesz iść ze mną? – zapytał Zbigniew.

Spojrzała na ojca. Pogorszenie relacji z matką sprawiło, że Ola ponownie zbliżyła się do niego. Widywali się dosyć często. Chodzili nawet razem do klubów. Dzięki niemu dziewczyna poznała swojego chłopaka. Ojciec był równym gościem. Woląca nie słuchać matki, która cały czas wmawiała jej, jak bardzo Zbigniew umie nimi wszystkimi manipulować. Oli by przecież nie okłamał.

– Tak – odparła.

A co, jeśli wymyślił całą historię z tym porwaniem? – szepnął jakiś cichy głosik w jej głowie. Może jednak kłamał? Zbigniew opowiedział jej, że Mariusz tydzień wcześniej go porwał. Podobno pomagał mu ten jego kuzyn, który chodził za nim jak cień i robił wszystko, co mu kazano.

Ojciec mówił, że go związali i zmusili do ubezpieczenia się na życie. I to na dwa miliony złotych. Strasznie filmowo to brzmiało, powiedział znów głosik w jej głowie. Takie rzeczy przecież nie dzieją się naprawdę. A jeśli matka miała rację? Jeśli ojciec naprawdę umiał manipulować i z chęcią to robił?

Ola odetchnęła głębiej. Zbigniew uśmiechnął się do niej półgębkiem. Było w tym uśmiechu coś dziwnego, czy tylko zaczynała panikować?

– Chodźmy – powiedziała.

Komuś przecież musiała wierzyć. Zresztą byli już na klatce. Prawie przed drzwiami. Zaraz mieli wejść na ten cholerny obiad. Za późno na wątpliwości. Tylko że ona nie była już pewna, czy cały czas nie bała się nie tego mężczyzny, którego trzeba.

Może to nie Mariusz był wrogiem, ale jej własny ojciec.

## **Zbigniew**

### ***Pułtusk, 10 kwietnia 2006***

Samochód podskoczył na wybojach. O ile Zbigniew mógł dojrzeć w ciemności, dojeżdżali właśnie do jakichś ogródków działkowych. Miejsce wydawało się bardzo odosobnione. Raczej nikogo tu nie było. Zapewne o to właśnie chodziło.

– Wyłaź! – rozkazał Mariusz.

Zbigniew posłusznie wysiadł z samochodu. Po wcześniejszym porwaniu wiedział już, do czego jest zdolny młody mężczyzna. Kto by przypuszczał te dziesięć lat temu, że muskularny nastolatek znajdzie w sobie tyle siły, żeby się przeciwstawić.

– Przecież zrobiłem już to, czego chcieliście – wydusił Zbigniew.

Tydzień wcześniej Mariusz i jego kuzyn go porwali. Chcieli pieniędzy z ubezpieczenia. Zbigniew zrozumiał jednak szybko, że nie dla siebie. Chodziło o Małgorzatę. Najwyraźniej chłopak robił to dla niej.

Chciał, żeby wszystko było zapisane na Gośkę. Ubezpieczenie. Do tego połowa pieniędzy za mieszkanie w Starej Miłosnej. Mariusz prowadził z kuzynem jakieś szemrane interesy i wołał, żeby kobieta, którą kocha, była w razie czego zabezpieczona. Ostatnim jego życzeniem było, żeby Zbigniew oficjalnie zrzekł się praw do Wiktorii. Cała ich trójka wiedziała przecież, czyją dziewczynka jest córką. Po co ciągnąć tę farsę?

W tym Zbigniew całkowicie się z Mariuszem zgadzał. Kiedy minął pierwszy szok, doszedł do wniosku, że żądania byłego kochanka są uzasadnione. Mimo wszystko Małgorzacie coś się za te lata należało. Poza tym w razie czego to będzie też dla dziewczynek. Zbigniew czuł się więc zdeterminowany, żeby przeprowadzić pomysł ubezpieczenia do końca.

Nie wziął jednak pod uwagę, że Mariusz będzie chciał je spieniężyć szybciej, niż można było przypuszczać. A także, że w to wszystko zostanie zamieszana Ola. Samochód, którym wiozł ją tu za nimi kuzyn Krzysztof, właśnie nadjechał.

– Idziemy do środka! Już!

Mariusz wskazał niewielki domek działkowy. Młody mężczyzna stał na tyle blisko, że mimo ciemności Zbigniew widział w jego oczach, że żarty się skończyły.

– Zostawcie Olę w spokoju – poprosił mimo to. – Ona nie jest niczemu winna.

Zbigniew był wściekły na siebie. Nie powinien był w ogóle mówić córce, że Mariusz zaprosił go na ten obiad, który ostatecznie okazał się pułapką. A już na pewno nie powinien był zgadzać się na plan Oli. Jaki ojciec pozwala, żeby córka mu towarzyszyła, kiedy ma się spotkać z potencjalnie niebezpiecznym człowiekiem?!

– To sprawa między mną a tobą – dodał jeszcze Zbigniew. Czuł, że musi chociaż spróbować wyratować córkę z opresji. – Proszę.

Mariusz patrzył teraz na niego szeroko otwartymi oczami. O dziwo, wyglądało na to, że rozważa to, co przed chwilą usłyszał. Może była jeszcze szansa? Zbigniew poczuł, że budzi się w nim nadzieja. Z nim niech będzie, co ma być. Byle Oli nic się nie stało.

**Aleksandra**

## **Pułtusk, 10 kwietnia 2006**

Ola poczuła, że między nogami robi jej się mokro i lepko. Teraz?! Naprawdę?! Ze wszystkich możliwych momentów to musiało nastąpić właśnie teraz?! Próbowwała zaciskać mięśnie, choć i tak wiedziała, że to zupełnie bez sensu.

– Dostałam okres – poinformowała, poddając się w końcu.

Stało się dokładnie to, czego się obawiała. Zaproszenie na obiad i rozmowę o ich rodzinie było pułapką. Małgorzaty nie zastali w mieszkaniu. Czekali tam za to Mariusz z kuzynem. Chcieli znów porwać Zbigniewa. Nie spodziewali się, że będzie z nim Ola, ale i z nią szybko sobie poradzili. Nie zdążyła nawet przeprowadzić planu, który ustaliła z koleżankami.

Wpakowano ich do dwóch oddzielnych samochodów i przywieziono tutaj, do tego śmierdzącego stęchlizną domku działkowego. Siedzieli w środku już kilka godzin. Krzysztof pilnował jej, a Mariusz był z ojcem w drugim pokoju.

Co jakiś czas dolatywały stamtąd niepokojące dźwięki. Jakby odgłosy bijatyki. Ola początkowo starała się wołać o pomoc, ale potem zrezygnowała. To i tak nic nie dawało. W okolicznych ogródkach działkowych nie było jeszcze nikogo.

– Mam okres – powtórzyła.

Poczuła, że robi się czerwona na twarzy. Krzysztof też cały spłonął.

– No i co? – zająknął się. Był wyraźnie zmieszany. Ona zresztą też.

– Muszę pojechać do domu – mruknęła. – Wszystko mam we krwi. Muszę się umyć. Dziewczyny tak mają, wiesz?

Krzysztof wyglądał, jakby się zastanawiał. Poczucie krępującej lepkości między nogami sprawiało, że ciężko było jej się skupić na czymkolwiek innym. Myślała tylko o tym, żeby wrócić do domu i się umyć. Dokładnie tak, jak powiedziała przed chwilą.

– Proszę, puśćcie mnie do domu – zawołała. Nie mogła się powstrzymać.

– Zamknij się! – warknął Krzysztof wściekle.

– Proszę! Jutro tu wrócę. Tylko muszę się umyć. Błagam.

– Zamknij się! – wrzasnął jeszcze raz kuzyn Mariusza.

– To kup mi chociaż podpaski! Przecież to chyba potrafisz?!

Chłopak szarpnął ją silnie za ubranie. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Ola żałowała teraz, że go sprowokowała.

## **Krzysztof**

### ***Pułtusk, 11 kwietnia 2006***

Krzysztofowi wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, że kuzyn tak po prostu puścił dziewczynę do domu. Gdy Ola powiedziała wczoraj, że dostała okresu, był kompletnie zaskoczony. Nie znał się na tych dziewczynskich sprawach i Bogiem a prawdą nie miał większej ochoty się w nie zagłębiać. Podpaski, czy jak to tam. Raz, że go to obrzydzało. Dwa – decyzja i tak nie zależała od niego.

Poszedł do pokoju, gdzie Mariusz zajmował się Zbigniewem. Ojciec Oli był cały zakrwawiony, ale wciąż żył. Kiedy Krzysztof zaczął przedstawiać Mariuszowi sytuację, facet bez przerwy jęczał, żeby puścili Olę wolno, że to nie jej wina i tak dalej. Wydawał się zdeterminowany, żeby jego córka opuściła działkę.

Nieoczekiwanie Mariusz zgodził się odwieźć Olę do Warszawy. Warunkiem było, że dziewczyna obieca wrócić tu jutro i nic nikomu nie mówić. Krzysztofowi wydawało się to kiepskim pomysłem. Uznał jednak, że nie będzie się wtrącać. Mariusz z reguły miał we wszystkim rację. Lepiej więc było się nie wychylać.

Krzysztof zerknął w stronę samochodu, w którym siedziała nastolatka. No i proszę. Mariusz po raz kolejny miał rację. Jakiś czas temu kuzyn pojechał po nią do miasta i przywiózł z powrotem na działkę. Kazał jej czekać w aucie, a sam poszedł do ledwo żywego już Zbigniewa. Krzysztofa zostawił w roli strażnika na zewnątrz.

Krzysztof starał się jak najlepiej spełnić powierzone mu zadanie. Szczerze mówiąc, nie było ono zbyt trudne. Nie wyglądało na to, żeby dziewczyna próbowała zrobić cokolwiek głupiego. Teraz widział to, co Mariusz dostrzegł już wczoraj: za bardzo się o ojca bała, żeby kombinować. Zrobi, co się jej każe. Świadczył o tym chociażby grzeczny powrót do swoich porywaczy.

Drzwi domku skrzypnęły głośno. Mariusz stał na progu. Wycierał dłoń o dłoń, jakby bolały go palce po wysiłku. W jego twarzy było coś takiego, że Krzysztof się wzdrygnął. Czuł, że jest już po wszystkim. Przynajmniej dla faceta, który zniszczył Mariuszowi życie. W gruncie rzeczy Zbigniewowi należała się kara. Wykorzystał swoją pozycję i wiek, żeby skrzywdzić jego kuzyna, a potem jeszcze chciał odebrać Mariuszowi Małgorzatę i Wiktorię. Haniebne zachowanie.

– Chodź do środka, Ola – powiedział Mariusz, podchodząc do samochodu. – Pogadasz z ojcem.

Krzysztof uniósł brwi, zupełnie zaskoczony. Był pewien, że Zbigniew nie żyje. Po co w takim razie ciągnąć do środka Olę? Chyba że...

Ola się nie opierała, ale Krzysztof i tak ruszył za Mariuszem i dziewczyną na wypadek, gdyby był potrzebny. Dziewczyna weszła posłusznie do domku. Najwyraźniej naprawdę uwierzyła, że ojciec czeka na nią w środku.





Kiedy tylko przestąpiła próg, Mariusz zaatakował. Dusił ją gołymi rękoma tak długo, aż wydała ostatnie tchnienie. Krzysztof nie mógł oderwać oczu od tej sceny. Był pewien, że nie potrafiłby znaleźć w sobie tyle siły co kuzyn. I chodziło nie tylko o siłę fizyczną. Sam przecież nie był chucherkiem. Ale patrzeć na śmierć dziewczyny...

– Jedź stąd, Krzysiek – powiedział Mariusz delikatnie, kiedy było już po wszystkim. Chyba dopiero teraz zobaczył kuzyna w drzwiach domku. – Ja się ich pozbędę. Ty tylko tu jutro posprzątaj, żeby twój ojciec się nie zorientował. W końcu to jego domek i pewnie latem tu zajrzy. Dobrze? Dasz radę?

Krzysztof skinął głową. Był wdzięczny Mariuszowi, że nie będzie musiał dotykać ciała tej dwójki. Porwanie to jedno. Pozbawienie kogoś życia to

jednak coś znacznie gorszego. Liczył się z tym, że może dojść do zabójstwa, ale teoretyczne rozważania to nie to samo co patrzenie na czyjąś śmierć. Chyba nie dałby rady. Kuzyn naprawdę był wyrozumiały, że pozwolił mu odetchnąć po tym wszystkim i sam zajął się zwłokami.

Krzysztof wycofał się do samochodu. Ciekaw był tylko jednego: jak na to wszystko zareaguje Małgorzata? Zbigniew to Zbigniew. Nie kochała już przecież byłego męża. Ale Ola? Co Małgorzata robi, gdy dowie się, że jej córka nie żyje?

## **Przyjaciółki Oli**

### **Stara Miłosna, 2006**

Dziewczyny pokręciły głowami niemal jednocześnie.

– Nie, to jest zupełnie niemożliwe! – powiedziały chórem.

– Nie wyjechałaby tak po prostu – dodała najbliższa przyjaciółka Oli. – Powiedziałyby nam.

Pozostałe pokiwały głowami. Rozmawiały o tym godzinami i żadna nie wierzyła, żeby coś takiego w ogóle wchodziło w grę. Nie, nie ich Ola. Może i czasem się kłóciły. Może nie we wszystkim się zgadzały, ale gdyby miała uciekać za granicę, to na pewno by im powiedziała. A nawet jeśli nie od razu, to do tej pory już by się z nimi skontaktowała.

– Wiem, że może trudno w to uwierzyć, ale niestety Ola i mój były mąż wyjechali – powiedziała Małgorzata ze smutnym uśmiechem.

Powtarzała to samo przez cały czas. Odwiedzały ją w Starej Miłosnej kilka razy. Mama Oli przeprowadziła się z Mariuszem i Wiktoria do mieszkania Zbigniewa prawie równo tydzień po tym, jak Ola i jej tata zniknęli.

– Ja też nie mogę się z tym pogodzić – dodała Małgorzata. – Najbardziej na świecie chciałabym wiedzieć, gdzie oni są.

– Ale dlaczego w ogóle mieliby uciekać?

– Już wam kilka razy tłumaczyłam. Zresztą policji też. Zbigniew miał długi. Niestety już wcześniej był za to karany. Same wiecie, że ja i Ola się oddaliśmy. Była blisko ze swoim tatą... Po prostu uciekli we dwoje... Zostawili nas...

Głos mamy Oli się załamał.

– Ale ona nie odezwała się ani do nas, ani do chłopaka – upierały się koleżanki.

– Wiem, wiem. Ja też to bardzo przeżywam.

Dziewczyny spojrzały po sobie. Śledczy chyba wierzyli pani Małgorzacie, ale one miały wątpliwości. Zresztą jeden policjant chyba wspomniał, że paszporty nie zniknęły. Jak w takim razie Ola i jej tata mogli wyjechać za granicę?

Poza tym była też przecież tamta wcześniejsza sprawa. To porwanie, o którym opowiadała przyjaciółka. No i ten nieszczęsny obiad, podczas którego miały dzwonić i czekać na znak. Znak, którego Ola w końcu nie dała.

Dziewczyny spojrzały podejrzliwie na panią Małgorzatę. Miały już swoją teorię. Miłość do kochanka musiała być silniejsza niż uczucie do Oli, skoro nie próbowała nic ze sprawą robić. Tak właśnie musiało być.

O ile w tej kwestii mogły mieć rację, to zupełnie nie zdawały sobie sprawy, że przed upływem dwóch lat zginą jeszcze dwie osoby.

## **Część Druga**

### **Mariusz**

#### ***Warszawa, 2007***

Od śmierci Zbigniewa i Olki minął już rok. Nikt nie podejrzewał, że Mariusz miał z tym cokolwiek wspólnego! Czyli konsekwencji nie będzie. Pozbył się ciała, zatarł ślady, nikt nic nie znajdzie. Nawet te wścibskie przyjaciółeczki Olki nic nie wskórają. Nie mówiąc już o policji. Przechytrzył je po kolei. Jedną po drugiej. Szkoda tylko, że nikomu nie mógł się tym pochwalić. Wielka szkoda. Oj, wielka. Pozostawała tylko wewnętrzna satysfakcja.

Uśmiechnął się. Tak. Wszystko układało się wręcz idealnie. I nie chodziło tylko o to, że śmierć Zbigniewa i Olki pozostanie na zawsze niewyjaśniona. Najważniejsze było, że wreszcie wszystkie chore układy się skończyły. Byli

tylko we trójkę. On, Gosia i Wiktoria. Rodzina. Tak, jak być powinno. A nie jakieś trójkąty. Mariusz zrobił to, co musiał. Zrobił to, żeby chronić swoją rodzinę.

W tym jednym akurat dobrze rozumiał Zbigniewa. Do tej pory pamiętał jego desperację, kiedy błagał, żeby puścili Olkę do domu. Mariusz się zgodził, bo wyobraził sobie siebie i Wiktorię. Pewnie na miejscu Zbigniewa błagałby tak samo.

To była jednak tylko chwila słabości. Potem całe szczęście doprowadził wszystko porządnie do końca. I teraz był tu. W bardzo dobrym momencie swojego życia.

No, prawie bardzo dobrym.

– Henryk mówił mi, że kupił nowy zegarek – entuzjazmowała się właśnie Małgorzata. – Powinieneś być go zobaczyć. Niesamowity! Naprawdę niesamowity. Oczywiście on może sobie na takie rzeczy pozwolić. Jest cenionym fachowcem.

Mariusz poczuł, że ogarnia go gniew. O Henryku od tańców słyszał już tak dużo, że niemal rzygał na myśl o tym, że będzie musiał usłyszeć choć jedno zdanie więcej. Henryk to, Henryk tamto. Henryk taki wysportowany i zadbany. Henryk dostanie taką a taką odprawę. Henryk urządził takie a takie przyjęcie.

Henryk. Henryk. Henryk. Nie było innego tematu, od kiedy Małgorzata zapisała się na te cholerne tańce towarzyskie. I pomyśleć, że Mariusz jej na to pozwolił. A nawet namawiał, żeby rozwijała swoje pasje. A teraz? Henryk nie tylko z nią tańczył, ale najwyraźniej zawrócił jej też w głowie. A to oznaczało jedno. Rodzina znów była w niebezpieczeństwie.

– Henryk... – zaczęła znów Małgorzata.

Nie. Tego było już za wiele. Zdecydowanie za wiele! Mariusz dłużej nie słuchał. Wiedział, co musi zrobić.

## **Henryk**

**Warszawa, 7 marca 2007**

Henryk zamknął drzwiczki samochodu. Przyjrzał mu się z zadowoleniem. Toyota Avensis prezentowała się całkiem nieźle. Więcej.

Była symbolem statusu. Kto wie, może niedługo kupi jeszcze lepsze auto? Miał przecież dostać premię na odchodne. Zerknął na zegarek. Też nowy i drogi. Jak wszystko, co posiadał. Dochodziła właśnie dwudziesta trzecia. Późno, ale żona wiedziała, że w środy chodzi na lekcje tańca. Pewnie nie będzie miała mu za złe spóźnienia.

Ruszył w stronę swojego bloku lekkim, tanecznym krokiem. Czuł się szczęśliwy. Kiedy dorastał na wsi, nie przypuszczał nawet, że tyle w życiu osiągnie. Że będzie mieszkał w stolicy. Że będzie dużo zarabiał. Że będzie miał rodzinę.

No i że pozna Małgorzatę, przebiegło mu przez myśl. Uśmiechnął się automatycznie. Nie wiedział jeszcze, jak o Gosi myśleć. Kochanka to jednak chyba za wiele powiedziane. Przynajmniej na tym etapie. Jedno było pewne. Czuło się, że oboje mają się ku sobie. To nie było tylko po jego stronie. Widział przecież, jak na niego patrzyła.

– Przepraszam! – usłyszał za plecami.

Odwrócił się. W jego stronę szedł wysoki muskularny mężczyzna.

– Mariusz, partner Małgosi – przedstawił się nieznajomy. Wyglądał na roztrzęsionego. – Pan Henryk?

– Tak. Coś się stało?

Henryk zapytał bardziej pro forma. Podejrzewał, że wie, o co chodzi. Partner Małgorzaty zwąchał pewnie, że coś się między nimi dzieje i postanowił pogadać jak mężczyzna z mężczyzną. Trzeba było przygotować się na konfrontację. Niekoniecznie przyjemną.

Szkoda, że doszło do tego tu, pod blokiem. Henryk wolałby, żeby ani żona, ani żadna z córek nic przypadkiem nie zobaczyły ani nie usłyszały. Przecież między nim a Małgorzatą do niczego nie doszło. Źle by było, gdyby pomyślały sobie, że jest inaczej.

Zerknął w stronę okien ich mieszkania. Były ciemne. Najwyraźniej rodzina już spała. Dobrze i to. Mniejsze ryzyko. Chociaż Iwona wstawiała teraz w nocy. Do kotki. Dopiero co się okociła i trzeba było zajmować się maluchami. Oby tylko akurat teraz nie miauczały zbyt głośno! Oby tylko nie obudziły córki!

– Małgosia miała wypadek! – powiedział Mariusz. Przez jego twarz przebiegł grymas bólu. – Potrzebuje pomocy! Gosia potrzebuje pomocy!

Tego Henryk zupełnie się nie spodziewał.

– Co się stało?!

– Niech pan jedzie ze mną. Proszę!

Henryk zerknął jeszcze raz w stronę swojego bloku. Okna w jego mieszkaniu nadal były ciemne. Żona i córki na pewno już się położyły. Nie zauważają, że wróci trochę później. A przecież nie mógł tak Małgorzaty zostawić, skoro coś się stało. Po prostu nie mógł.

Wsiadł szybko do samochodu Mariusza.

– Co się stało? – zapytał, kiedy jechali już w stronę Płońska. Przedtem obaj milczeli, pogrążeni w swoich myślach.

– Coś jest z kołem! – rzucił Mariusz.

– Nie, nie. Chodzi mi o Małgosię. Co jej się stało?

Mariusz zjechał na pobocze.

– Coś jest z kołem – powiedział, ignorując Henryka. – Pomoże pan?

Henryk wysiadł za nim na ciemną drogę. Marcowa pogoda nie rozpieszczała. Było niewiele cieplej niż w lutym. Wiosny w powietrzu na razie się jeszcze nie czuło.

– Tu – poprosił Mariusz. – Niech pan zobaczy oponę. Szybko, bo Małgorzata czeka!

Henryk ruszył do koła, żeby się przyjrzeć.

– W ciemności nic nie widać.

Chciał dodać, że potrzebna będzie latarka. Nie zdążył. Poczul dłonie zaciskające się na szyi. Jak mógł tak się dać podejść? Przecież cała sytuacja od początku była podejrzana. Mariusz nie chciał zdradzić żadnych szczegółów!

Palce młodego mężczyzny zacisnęły się jeszcze mocniej. Ciężko było złapać oddech. Henryk nie zamierzał jednak tak łatwo się poddać! Musiał się bronić. A najlepszą obroną jest atak! Mariusz jeszcze pożałuje, że z nim zadarł! Zobaczymy, który z nich dwóch zginie w ciemności!

O konsekwencje Henryk w razie czego będzie martwił się potem.

**Iwona**

**Warszawa, 13 marca 2007**

Iwona odłożyła telefon. Małeńkie kotki miauczały cicho w legowisku. Normalnie popatrzyłaby z czułością, jak kotka się nimi zajmuje. Teraz jednak miała inne sprawy na głowie. Właśnie dostała SMS od taty. To był trzeci od kiedy Henryk zniknął w środę.

Najpierw w piątek napisał, żeby się nie martwiły, bo ma trochę spraw do załatwienia. Nie wytłumaczył, o co chodzi.

„Iwonko, ze mną wszystko dobrze – przeczytała na głos, sięgając znów po komórkę. – Muszę załatwić pewne sprawy i nie będzie mnie przez około dwa tygodnie. Nie martwcie się i nie gniewajcie, że odzywam się dopiero teraz. Całuję, tata”.

O jakie sprawy mogło chodzić? Brzmiało to co najmniej podejrzanie. Wczoraj tata napisał znowu. Tym razem, że potrzebuje pieniędzy. Iwona próbowała połączyć się z numerem, którego teraz używał, ale połączenia były odrzucane.

Małutkie kotki miauczały cichutko. Córka Henryka pomasaowała skronie, żeby bardziej się skupić. Jeszcze raz otworzyła wiadomość, którą otrzymała przed chwilą. Trzeci SMS. „Jutro mam ostateczny termin oddania pieniędzy, jeśli ich nie będzie, to już nie będę mógł więcej się odzywać. Proszę, wpłaćcie je, już dłużej nie wytrzymam”.

Iwona pokręciła głową. To brzmiało dziwnie. Bardzo dziwnie. Zresztą już pierwsza wiadomość jej się nie spodobała. Wcale nie dlatego, że dziewczyna wykluczała, żeby ojciec nagle gdzieś zniknął. Szczerze mówiąc, to było bardziej prawdopodobne niż żeby nazwał ją Iwonką. A już na pewno nigdy nie kończył wiadomości słowami: „całuję, tata”. Coś próbował jej w ten sposób przekazać? Czy może...

– Ile mamy zwierząt w domu? – wystukała szybko.

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że SMS-y mógł pisać ktoś inny. Może porywacz? Przecież ta ostatnia wiadomość wyraźnie mówiła o pieniądzach. To mogło być porwanie dla okupu. Ojciec był majątny i chętnie się z tym obnosił. Mama mówiła, że to pewnie wynikało z jego pochodzenia. Wyrwał się ze wsi, lubił więc pokazywać swój status i to, do czego doszedł ciężką pracą. Być może właśnie płacił za to wysoką cenę.

Tak więc zaraz się przekonamy, pomyślała Iwona, czy to tata prosi

o pieniądze, czy ktoś się pod niego podszywa. Ewentualny porywacz nie mógł przecież wiedzieć, że kotka niedawno się okociła. Chyba że tata tam jest i mu podpowie. Iwona czekała z telefonem zaciśniętym w dłoni.

Odpowiedź nie nadeszła.

## **Mariusz**

### ***Warszawa, 5 grudnia 2008***

Mariusz zakończył połączenie. Z jakiegoś powodu przypomniało mu to sytuację sprzed roku. Krzysiek kupił stary telefon od jakiegoś znajomego. Użyli tego aparatu, żeby wysyłać wiadomości do córki Henryka od tańców. Facet rzecz jasna już nie żył. Dostał, co mu się należało, mimo że próbował się bronić.

Początkowo chodziło tylko o to, żeby rodzina nie zaczęła szukać Henryka zbyt wcześnie. Potem Mariusz uznał, że nie ma powodu, żeby na śmierci tancerzyka jeszcze trochę nie zyskać. Dopisali więc wiadomość o pieniądzach.

Niestety, podstęp najwyraźniej został przejrany. Iwona najpierw nie odpowiadała, a potem zadała jakieś zupełnie niezwiązane z niczym pytanie o domowe zwierzaki. Mariusz nie zamierzał dać się podejść, więc odpuścił.

Nie przeszkadzało im to skorzystać z kart bankomatowych Henryka. Podjęli z Krzyśkiem szesnaście prób wypłacenia kasy z bankomatów. Udało się raz, ale za to od razu trzy tysiące. Dobre i to. Czasem trzeba wiedzieć, kiedy przestać.

Mariusz spojrział na telefon, który trzymał w dłoni. Tak. Warto wiedzieć, kiedy odpuścić. Ale to nie był ten moment. Minął rok od śmierci Henryka, ale doskonale wiedział, że ktoś jeszcze musi zginąć. Decyzja zapadła.

Wszystko stanie się jutro. W mikołajki.

### ***Warszawa, 6 grudnia 2008***

– Pojedźmy moim samochodem – zaproponował Mariusz. – Po co brać dwa.

Starał się mówić spokojnie i rzeczowo. Szło mu doskonale. Miał przecież doświadczenie. Trzy trupy, a policja nawet nie zorientowała się, że może



być w to w jakikolwiek sposób zamieszany. Tym razem też sobie poradzi.

– Dobrze.

Odpowiedź była niechętna. Podszyta podejrzliwością. Mariusz uśmiechnął się więc, żeby zatrzeć złe wrażenie. Teraz najważniejsze było, żeby jego kolejna ofiara nie zorientowała się, że zaraz umrze.

Wszystko do tej pory szło dobrze, więc nie chciał, żeby szyki popsuło mu idiotyczne wołanie o pomoc albo coś równie prozaicznego. Już ta bezsensowna sytuacja z okresem Oli nauczyła go, że nie powinien ulegać chwilowym emocjom. Trzeba było postępować w sposób zorganizowany i precyzyjny. Nie zamierzał kolejny raz ryzykować.

– To nie zajmie długo – dodał, ponownie się uśmiechając, żeby jeszcze bardziej uspokoić swoją ofiarę. – Chcę tylko porozmawiać.

Wsiedli do omegi Mariusza. Zamierzał pojechać w stronę ogródków działkowych. O tej porze nikogo tam nie było. Będzie mógł zrobić swoje w spokoju. Zakończy wreszcie to, co powinno było być zakończone już dawno.

## **Z orzeczeń biegłych**

***Warszawa, 11 kwietnia 2014***

Dlaczego Mariusz zabijał?

Zdaniem biegłych psychologów motywacja do zabicia Zbigniewa była złożona. Tak, jak cała relacja Mariusza, Małgorzaty i jej męża. Starszy mężczyzna uwiódł nastoletniego wówczas Mariusza. Później żyli razem, dzieląc się jedną partnerką. Była też córka Wiktoria. Formalnie uznana przez Zbigniewa, ale jej biologicznym ojcem był Mariusz. Sytuacja stała się w końcu nie do zniesienia. Świadomość, kto jest kim w tym niebezpiecznym trójkącie, zaczęła się zacierać. Do momentu, kiedy coś w Mariuszu pękło.



Śmierć Oli wynikała zapewne głównie z chęci wyeliminowania świadka. Jednak było tu też coś więcej. Ola była przecież jedyną osobą, która łączyła jeszcze Małgorzatę ze Zbigniewem. Kiedy dziewczyny zabrakło, pozostała tylko ich trójka. Mariusz, Małgorzata i Wiktoria. Jeden ojciec, jedna matka, jedna córka.

Henryk zginął, bo w Mariuszu zrodziło się uczucie niepojętej wręcz zazdrości. Do tego doszła oczywiście chęć materialnego zysku. Natomiast czwarta ofiara to była zupełnie inna historia. Pojawiła się motywacja emocjonalno-odwetowa.

Najtrudniejsze było przekroczenie tabu, czyli dokonanie morderstwa po raz pierwszy. Kiedy Mariusz zabił już trzy razy, czwarty wydawał się mu zapewne naturalną kolejną rzeczą i jedynym rozwiązaniem wszystkich

problemów.

Również tych, o których przez lata usiłował zapomnieć.

## **Mariusz**

### ***Warszawa, 6 grudnia 2008***

Mariusz zaciskał ręce na szyi księdza Piotra. Kapłan próbował się wyrwać, ale szło mu to znacznie gorzej niż rok temu Henrykowi. Zresztą tym razem Mariusz niczego nie ryzykował. Zanim doszło co do czego, związał swojej ofierze ręce i nogi opaskami uciskowymi. Zakleił też usta i oczy taśmą. Teraz ksiądz był aż nazbyt łatwą ofiarą. Zupełnie jak Mariusz wtedy, wiele lat temu. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych.

Palce zacisnęły się jeszcze mocniej wokół szyi księdza.

– To za wszystko, co mi zrobiłeś – mruzczał Mariusz. Bardziej do siebie niż do swojej ofiary.

Został skrzywdzony. Bardzo skrzywdzony. Ksiądz wydawał się mentorem i powiernikiem, a nadużył zaufania, kiedy Mariusz był w najtrudniejszym momencie swojego życia. Był tylko zagubionym nastolatkiem, kiedy został wykorzystany. Nie jeden raz. Wiele razy. Teraz wreszcie ksiądz za to odpowie.

– Niby taki świętoszek – zaśmiał się Mariusz, kiedy ofiara znieruchomiała.

W parafii, w której Ola przyjmowała pierwszą komunię świętą, ludzie uważali księdza Piotra za człowieka towarzyskiego i otwartego. Wszyscy, którzy tak sądzili, byli ślepymi głupcami! To było tylko pierwsze wrażenie. Gdy człowiek poznawał go bliżej, dowiadywał się o jego problemach z alkoholem i o... czasopismach, które kapłan lubił w tajemnicy przeglądać. Mariusz się wzdrygnął. To były okropne rzeczy. Widział je kilka razy. Wolał nie pamiętać.

Splunął w stronę ciała. Jeszcze to jedno, zanim go zakopie. Niech będzie zhańbiony. Skrzywdził Mariusza. Mariusz miał więc prawo odpowiedzieć tym samym. Sprawa zamknięta. Nikt się nie dowie. Ciało zniknie. Tak jak wszystkie poprzednie. I tyle. Niech szukają wiatru w polu.

Nie ma ciała, nie ma sprawy.

## **Policja**

**Warszawa, 14 września 2009**

Komenda Stołeczna była w trakcie czynności dotyczących wyjaśnienia śmierci Henryka, kiedy do śledczych trafiły akta dwóch kolejnych spraw. Jedna dotyczyła zaginięcia Zbigniewa i Aleksandry. Druga, najświeższa, zniknięcia księdza Piotra. Nieoczekiwanie wszystkie tropy zaczęły prowadzić do Mariusza i jego kuzyna, Krzysztofa. Zostali więc szybko zatrzymani.

Mariusz początkowo nie przyznawał się do niczego. W końcu jednak coś się zmieniło. Biegli tłumaczyli to później chwilą słabości lub odwrotnie, potrzebą epatowania okrucieństwem dokonanych przez siebie zbrodni.

– Pokażę miejsca związane ze śmiercią ich wszystkich – oznajmił podejrzany.

Policja zabrała go na miejsce jeszcze tego wieczora. Ciał nie było we wskazanych lokalizacjach.

– To jest jakaś gra – powiedział jeden z doświadczonych śledczych. Następnego dnia okaże się, że miał rację.

## **Prokurator**

**Warszawa, wrzesień 2009**

– Policja zmusiła mnie do złożenia zeznań – szepnął Mariusz. Wyglądał na roztrzęsionego.

– W jaki sposób? – zapytał prokurator.

Widział już niejedno. I z jednej, z drugiej strony. Zamierzał więc zachować bezstronność. Taka była jego rola.

– Zostałem pobity. Wykręcano mi ręce... Duszono mnie – głos mężczyzny się załamał. – Duszono mnie... To było straszne. Straszne!

– W jaki sposób?

– Jak to?

– W jaki sposób pana duszono? – uściślił prokurator.

Chciał sprawdzić, ile szczegółów będzie umiał podać podejrzany. To mógł być pierwszy krok, żeby spróbować sprawdzić prawdziwość jego słów.

– Zakładano mi torbę na głowę... Worek na śmieci...

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Gdyby mnie nie torturowano, do niczego bym się nie przyznał. Jestem niewinny.

Prokurator przejechał ręką po brodzie. Nie był pewien, co o tym myśleć. Ciało nadal nie było, a przecież tak naprawdę jeszcze nic konkretnego na Mariusza nie mieli. Czy to możliwe, że mężczyzna jest jednak niewinny?

## Sąd

### **Warszawa, 11 kwietnia 2014**

Wersja Mariusza została stosunkowo szybko obalona. Najwyraźniej chwycił się ostatniej deski ratunku, próbując zrzucić wszystko na przesłuchujących go policjantów. Sąd zwrócił też uwagę na to, że, odwołując zeznania, Mariusz nie próbował nawet sugerować, jaki, jego zdaniem, był prawdziwy przebieg wydarzeń.

Dokonano analizy zgromadzonych materiałów dowodowych: protokołów przesłuchań świadków, billingów telefonicznych, nagrań z kamer monitoringu, śladów osmologicznych i wielu innych. Według biegłych psychologów Mariusz przejawiał zaburzenia osobowości o charakterze psychopatycznym, a nawet wiele cech charakterystycznych dla seryjnych zabójców typu zorganizowanego. Miał niski poziom empatii i skłonności do manipulowania otoczeniem.

Przyznanie się do winy – a potem próba wycofania zeznań – doskonale wpisywały się w ten schemat. Mogły być też momentem słabości, z którego Mariusz próbował potem wybrnąć, albo chwilową potrzebą pochwalenia się swoimi makabrycznymi dokonaniem. Jedno za to było pewne. Gdyby nie został zatrzymany, być może robiłby to dalej.

Sąd uznał też, że szczególna mogła być w tym wszystkim rola Małgorzaty. Była wdową po Zbigniewie, matką Oli, ale jednocześnie wieloletnią partnerką podejrzanego. Zapewniała mu alibi, mimo że sprawa dotyczyła także śmierci jej córki. Sędzia uważał, że być może trzeba będzie

rozważyć, czy kobieta nie składała fałszywych zeznań i ją za to ukarać.

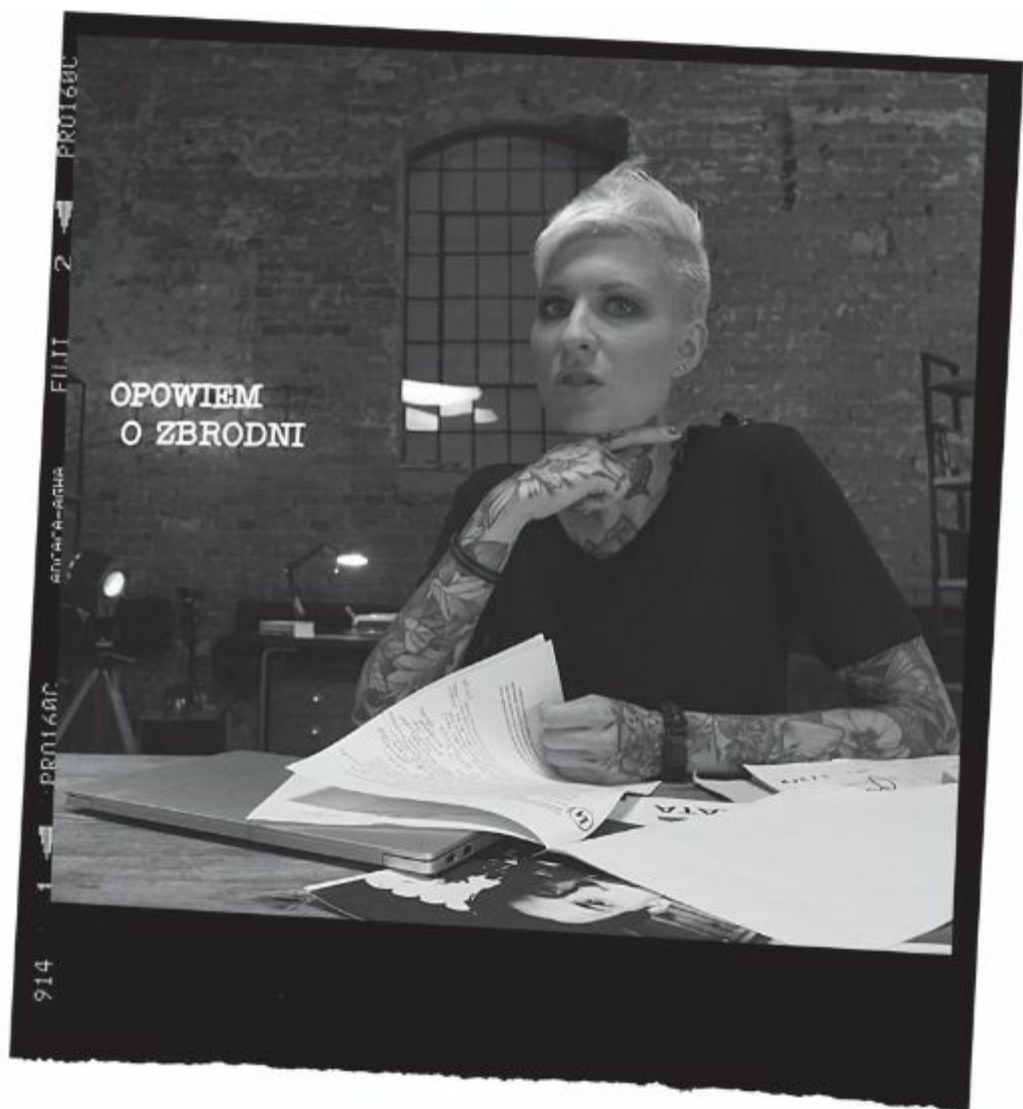
### **Warszawa, 2014–2018**

Pierwszy wyrok w sprawie Mariusza zapada 11 kwietnia 2014 roku, czyli dokładnie osiem lat po pierwszym morderstwie. Wobec mężczyzny orzeczony zostaje wyrok dożywocia. Jego kuzyna, Krzysztofa, skazano na sześć lat pozbawienia wolności. Sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących.

Wyrok został zaskarżony przez obrońcę Mariusza. Ostateczny zapadł w październiku 2018 roku.

Winny.

Kiedy sędzia ogłaszał swoją decyzję, rozpaczała tylko jedna osoba. Wiktoria. Córka mordercy.



OPOWIEM  
O ZBRODNI

914

PROLOG

energia-aktiva

FIJIT

2

PROLOG

# Przypisy

[\*] Fragment wiersza Tadeusza Różewicza *Czas na mnie*, umieszczony na płycie nagrobnej Patryka.